

- Dlaczego Ostróda może być czystym miastem? — str. 1 i 6
- Polska i Polacy w oczach Holendra — str. 12
- Łódzki Grand Hotel od kuchni — str. 13
- Opowiadanie kryminalne „Jestem wolny!” — str. 14



Nr indeksu 36762
PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 38 (1486) ROK XXIX

20 WRZEŚNIA 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Chwyt odwetowy (1)

(Korespondencja z Meksyku)

Nie byłem tym razem na Mistrzostwach Świata. Przyleciałem do Meksyku miesiąc po Wielkim Finale, dokładnie: szóstego sierpnia 1986 roku o godzinie dziewiątej z minutami. Mógłbym w zasadzie rozpocząć opowieść od momentu lądowania, ale sprawa zaczęła się już na pokładzie samolotu, którego trasa, począwszy od Moskwy, biegła przez Shannon (irlandzki port wolnocłowy) i Hawanę.

Przed startem, kiedy zapinałem pas, a transatlantyk Radzieckich Linii Lotniczych rozgrzewał z piekielnym hukiem silniki na stołecznym lotnisku Szeremietiewo, usiadłem obok mnie po drugiej, prawej, przeznaczony dla ludzi niepalących stronie pokładu pewien niewysoki i krepły mężczyzna, który był już zapewne dobrze po czterdziestce, ale jeszcze przed straszliwym uderzeniem pięćdziesiątki.

Człowiek ten bez wstępów i nadmiernych ceregieli oświadczył, że mnie zna. Pochlebilo to, rzecz jasna, mojej próżności, nie wdawałem się z nim jednak póki co w dyskusję, bowiem miałem po lewej ręce towarzystwo dwóch innych, młodych Polaków, z których pierwszy, ten przy oknie, milczał wprawdzie jak głaz zatoniony w jakichś niewesołych myślach, drugi wszelako, znany lotnik sportowy, rozprawiał z ożywieniem o problemach nawigacji. Stwierdził, nawiasem mówiąc, iż miejsca, które za-

jeliśmy w ogonie samolotu, są najgorsze — największy tu hałas, największa wibracja, ciasno jak diabli, no i bezpośrednie sąsiedztwo ustępów. Wbrew obiegowej opinii lepiej słaść w przedziale za kabiną pilotów, który Aeroflot nie bierze powodu rezerwy dla pasażerów pierwszej klasy, lub tuż za skrzydłem i przy wyjściach awaryjnych, gdzie jest więcej przestrzeni dla nóg.

Przyznałem mu rację.
— Jesteś też dostaniemy na końcu — powiedział.
— Oczywiście.

Kiedy wystrzelał się ze wszystkich swoich młodzieńczych rewelacji, podjąłem leniwą rozmowę z mężczyzną, który mnie znał i który był krepły. Lot z Moskwy do Shannon trwał prawie sześć godzin. Dowiedziałem się w tym czasie, że krepcuszek pracował do niedawna w jednym ze sportów ciężkich, o czym świadczył zresztą dowódnie jego nos i jego masywne bary, opięte tylko lekką nylonową koszulką bez rękawów, tak jakby facet nie czuł chłodu, podczas gdy inni pasażerowie — liczna grupa Włochów i Latynosów oraz pejedynczy Europejczyk i Amerykanie podróżowali w swetrach albo nawet zaclagali się kocami.

Stać było gościa, aby kupić od radzieckich stewardes alkohol po atrak-

7

Pływanie po łące

JACEK KOPROWSKI

W sytuacji, gdy alarmuje się ze wszech stron o pogrążaniu kraju w brudzie, zanieczyszczenie skrawka czystej ziemi odczystej powoduje popadnięcie w stan zadowolenia, ale i niedowierzania. A gdy skrawek ten okazuje się wcale duży, dobrze zagospodarowany, właściwie zorganizowany i prawidłowo zarządzany — wtedy zadowolenie pęcznieje i nadyma się do stanu szczęścia w pełni. Gdy jednak stwierdzimy, że otaczają nas również piękne „okoliczności przyrody”, czyste jeziora, także powietrze czyste i spokojne — zaczynamy się niepokoić i podejrzewać, że jakiś wymiar czwarty, który przenosi w czasie i przestrzeni, rzucił nami o inny kraj lub inne stulecie. Szczypiliśmy się więc w słabiznę, by stwierdzić, że to nie sen ani żadne tajemne siły: jesteśmy tam, gdzie być mieliśmy czyli na ziemi ostródzkiej, latem 1986 roku.

Obserwując w czasie miesięcznego pobytu zwyczajne życie przeciętnego miasteczka, niepośpieszne, dobrze zorganizowane — popadaliśmy co i rusz w zadziwienie, osłupienie niemalże nad tym, co wszędzie winno być najzwyczajniejszą codziennością, a nie jest. Odkrywaliśmy rzeczy oczywiste, świadczące, że można stać na nogach a nie na głowie, że głowy mają inne zadania i tutaj wykorzystane są właściwie.

To zdumiewanie się nad możliwością normalnego, właściwie zorganizowanego życia świadczy, jak daleko zabrnęliśmy w absurdy administracyjno-organizacyjne, głupotę, ogólną niemożność, bylejaką, brak wyobraźni, niekompetencję, niekonsekwencję, wszelkie inne niedowłady, chamstwo, grubiaństwo, arogancję (i to po obu stronach urzędowego biurka) i co by tam chciał ktoś jeszcze: przykłady przynosi codzienność poprzez tuby masowego przekazu oraz autopsję.

Nie będzie w tej relacji żadnych niewiarygodnych rewelacji. Przykłady dobrej organizacji czyli poprawnego myślenia dotyczą spraw codziennych, zwykłych. Tym smutniejsze wnioski csną się do głowy, rejestrującej, co i jak można gdzie indziej i porównującej z tym, co i jak jest na naszym łódzkim bruku.

OSTRÓDA WITA NAS

codziennie ciepłym, pachnącym, pysznym chlebem. Dowożony jest do sklepów regularnie, o tej samej porze, dwa razy dziennie. I ten popołudniowy również jest ciepły i pachnący. Przeciwnie niż np. w Łodzi, gdzie wypieka się pieczywo od razu czerstwe, co jest osiągnięciem wy-

6



Foto: Grzegorz Gałasiński

NR 38 (1486), XXIX, 20 WRZEŚNIA 1986 R.

Pomimo odwołania (zawieszenia, odłożenia) wizyty Ericha Honeckera w Republice Federalnej Niemiec (koniec września 1984 r.) odnotowuje się w ostatnich miesiącach powolne uprzedzenie, ale systematyczne zbliżenie między obu państwami — powiedział mi w lutym 1985 r. doc. dr F. Halm, zastępca dyrektora Instytutu Międzynarodowych Studiów w Uniwersytecie Im. Karola Marksa w Lipsku. — Obie strony są wciąż zainteresowane kontynuacją dialogu.

Fakty i wydarzenia potwierdzają niewątpliwie ową tendencję zbliżenia między obu państwami niemieckimi, czemu szczególnie uważnie przygląda się wszystkie kraje socjalistyczne. Faktem jest też to, że charakter stosunków między NRD i RFN utworzonymi na gruzach III Rzeszy niczym nie różni się od — tak było również w przeszłości — stosunków między RFN a pozostałymi krajami socjalistycznymi. Polityka zachodniemieckiego państwa od chwili powstania nacelowana była na rewizję układów poczdamskich i układu pokojowego w Europie, ustalonego zgodnie z racjami historii i realiami politycznymi. Przy władzy znajdowała się chadecja, która przyjęła od początku najostrejszy kurs negacji wschodnich granic i państw socjalistycznych. Rząd Konrada Adenauera zmierzał poprzez izolację i ignorowanie istnienia do wchłonięcia NRD, tym samym cofnięcia historii. Były to lata, w których formalno-prawna fikcja istnienia Rzeszy Niemieckiej była w narodzie pogłębianą, powodując odywanie w społeczeństwie nastrojów nacjonalizmu. Były to także lata, w których pod płaszczykiem dziejowej misji kulturalnej na Wschodzie wysuwano roszczenia terytorialne, które w efekcie miałyby stać się terenem działania niemieckiego imperializmu, tego, który był źródłem najstraszniejszej z wojen. Problem „Wiedervereinigung” był wprowadzanie traktowany priorytetowo przez wszystkie zasilające w Bundestagu partie, to jednak chadecja do realizacji zamierzonego celu zjednoczenia narodu niemieckiego przystąpiła ze szczególną konsekwencją. Plany zjednoczeniowe zakładały wchłonięcie obszaru NRD, nazywanego strefą wschodnią albo radziecką strefą okupacyjną...

Polityka wschodnia Willy Brandta zastąpiła doktrynę Hallsteina, dającą RFN prawo uzurpowania sobie bezwzględnej wyłączności reprezentowania całego narodu niemieckiego. Zawarcie układu o podstawach stosunków między NRD a RFN poprzedziły dwa (istotne przede wszystkim dla RFN, jak przyznał wielokrotnie Heinrich Windelen, minister ds. stosunków wewnętrzniemieckich w obecnym rządzie chadeckim) porozumienia szczegółowe: umowa komunikacyjna z 28 maja 1972 roku regulująca problemy komunikacji między obu państwami oraz tranzytowa umowa międzyrządowa „o sprawie przewozu osób cywilnych i towarów między RFN a Berlinem Zachodnim” z 17 grudnia 1971 roku, będąca konsekwencją Porozumienia Czterech Mocarstw w sprawie Berlina Zachodniego z 3 września 1971 roku (wezła ona w życie 3 czerwca 1972 r.).

Pomimo zawarcia układu organa rządowe i konstytucyjne RFN nie zaprzestały kroków udziających w zbliżenie, jak i postępujący proces normalizacji nie tylko między obu państwami niemieckimi, ale i w Europie. Przykładem jest wyrok Federalnego Trybunału Konstytucyjnego z 31 lipca 1973 r., który w sprawie układu z NRD między innymi uchwalił: „W kwestii czy uznanie granicy między dwoma państwami jako granicy państwowej da się pogodzić z Ustawą Zasadniczą decydującą jest kwalifikacja granicy państwowej między obu państwami, której specyfika polega na tym, że istnieje na fundamencie trwającego jeszcze państwa Niemiec, jako całości, a więc chodzi o granicę państwową podobną do granic przebiegających między krajami Republiki Federalnej Niemiec”.

I jeszcze: „Zadnemu organowi konstytucyjnemu Republiki Federalnej Niemiec nie wolno zrezygnować z politycznego celu, jakim jest przywrócenie jednoci państwowej do dawnego stanu. Ponowne zjednoczenie jest wymogiem konstytucyjno-prawnym”.

W latach 70. zawarto kolejne uzgodnienia, z których najważniejsze to porozumienie: o rozbudowie dróg lądowych i wodnych do i z Berlina Zachodniego (1975, 1978, 1980), o współpracy w zakresie służby zdrowia (1974), które gwarantuje podróży z drugiego państwa bezpłatną pomoc ambulatoryjną i szpitalną; o niekomercyjnym obrocie płatniczym i przeliczeniowym (1974, 1978, 1983) zapewniające w określonych przypadkach transfer środków na utrzymanie i środków z posiadanych kont; w sprawie eksploatacji złóż węgla brunatnego i gazu ziemnego w rejonach przygranicznych (1978 i 1979), a także umowa pocztowa (1976), oraz zgodnie opracowana dokumentacja przebiegu granic (z wyjątkiem stulkilometrowego odcinka).

NASTĄPIŁ ROZWÓJ RÓŻNYCH FORM WYMIANY.

W ostatnich kilku latach, rozwojowi stosunków ekonomicznych nie towarzyszyła jednak rzeczywista poprawa atmosfery politycznej, co było wynikiem nie tylko pewnego oziębienia stosunków na linii Waszyngton — Moskwa, ale także objęcia rządów przez chadecję. Tej poprawie nie sprzyjała chociażby wspólna rezolucja czterech frakcji parlamentarnych Bundestagu CDU/CSU, FDP i SPD z 9 lutego 1984 r. w sprawie polityki niemieckiej. Stwierdzono w niej m.in.:

„Nasz kraj jest podzielony, ale naród niemiecki istnieje nadal. Naszym zadaniem pozostaje działanie w kierunku takiego stanu pokoju w Europie, w którym naród niemiecki w swobodnym samostanowieniu odzyska jednosc”.

W podobnym duchu brzmiało oświadczenie sekretarza stanu w ministerstwie spraw zagranicznych Aloisa Mertesa, złożone 31 marca 1984 r. w Mozurcji podczas obchodów 25-lecia istnienia krajowego oddziału Związku Wypędzonych Nadrenii — Palatynatu:

„Szczególnie boleśnie musieli doświadczyć sprzecznego z naturą i sprzecznego z prawem rozbicia Europy dokonanego przemocą wszyscy, którzy w następstwie wojny zmuszeni byli opuścić swoją ojczyznę. Wasze uczucia są wysoce zrozumiałe i nie wymagają żadnych apeli. Dla was nie są to żadne obowiązkowe deklaracje, które trzeba powtarzać przy świątecznych okazjach...”

Każdy, kto z czułym sercem i z wyczuciem historii obserwuje współczesną Europę pojmując, że Europa i Niemcy są dzisiaj podzielone wbrew naturze i wbrew prawu. Przeciwnym się stanowczo cynicznemu twierdzeniu, że Niemcy na wschód od granicy wewnętrzniemieckiej (która jako najbardziej nieludzka granica na ziemi wciąż jeszcze dzieli nasze Niemcy i naszą Europę) oraz narody wschodnie i środkowoeuropejskie urzeczywistniły prawo do samostanowienia.

Stosunki między NRD i RFN

Polityka „małych kroków”

WACŁAW OPACKI

wienia niejako w formie historycznie doskonałej, ponieważ wykorzystano je dla przeformowania walki klasowej i zapewnienia tak zwanej sprawiedliwości społecznej”.

Po odłożeniu wizyty Honeckera pierwszy zjawił się w NRD nowy szef Urzędu Kancelarskiego, Wolfgang Schaebel (grudzień 1984 r.), który wprawdzie przestrzegł przed nadmiernymi nadziejami (z wyjątkiem dla rozgłosu „Bayrischer Rundfunk” z 15 grudnia 1984 r.) zapowiadając prowadzenie bardziej realistycznej polityki, to jednak oficjalnie potwierdził faktyczne zbliżenie. Następnie przebywał w NRD premier Nadrenii Północnej — Westfalii, Johannes Rau. „Die Zeit” w wydrukowanym artykule Carla

wozie przedmiotów (dotychczas 20 marek przy krótkim i 100 marek przy pobycie powyżej 5 dni; obecnie: 100 i 200 marek). Dla rencistów i emerytów wprowadzono obniżkę obowiązkowej wymiany z 25 DM do 15 DM. Także przedłużono okres pobytu w NRD z 30 do 45 dni w roku. Jednocześnie nastąpił wzrost ruchu osobowego. W 1979 r., ostatnim roku przed znaczącym podwyższeniem przez NRD wysokości obowiązkowej wymiany (9.10.1980 r.) do tego pań-

stwa przyjechało około 3,6 mln obywateli RFN. W latach następnych liczba ta spadła do 2,9 mln, by w roku 1984 powrócić do poziomu z roku 1979. W 1985 r. już została przekroczona. Z kolei do RFN udało się w 1984 r. prawie półtora miliona osób w wieku poprodukcyjnym. Liczba ta utrzymała się w 1985 r., w tym znajdowało się ponad 50 tys. osób w wieku produkcyjnym, które zgodę na czasowy wyjazd do RFN otrzymały z powodu „pilnych spraw rodzinnych”.

Mimo że od początku nic nie wskazywało na ustępstwo NRD przed szantażem swoich obywateli okupujących ambasadę RFN na Pradze, to jednak w rządowych kołach RFN panował

Bez wątpienia ważnym osiągnięciem minionego roku było uzgodnienie tekstu Umowy Kulturalnej między RFN a NRD i opublikowanej jak zwykle przez wscibską „Die Welt” (z 14 grudnia 1985 roku). Wspólne prace rozpoczęły się w 1973 roku, dwa lata później zostały przerwane. Wznowiono je dopiero w 1983 roku. Podpisanie umowy nastąpiło 6 maja 1986 r. w Berlinie.

— Rząd federalny jest przekonany — oświadczył po jej podpisaniu kierownik zachodniemieckiej delegacji, sekretarz stanu Hans-Otto Braeutigam — że w postaci tej obszernej i szczegółowej umowy stworzyliśmy dobrą podstawę do praktycznej wymiany kulturalnej. Nie chodzi przy tym wcale tylko o kulturę w wąskim sensie tego słowa, o muzykę i literaturę, teatr i film, sztuki piękne. Przedmiotem współpracy jest również ważna dziedzina oświaty i nauki, archiwa i biblioteki, ochrona zabytków. Oprócz tego będziemy popierać współpracę radia i telewizji, jak również wymianę młodzieży i kontakty sportowe.

— W zgodzie z praktyką międzynarodową — powiedział ze swej strony kierownik delegacji NRD-owskiej, wiceminister spraw zagranicznych Kurt Nier — zostały obecnie stworzone pożądane warunki do uregulowanej współpracy w dziedzinie kultury, sztuki, oświaty i nauki oraz w innych uciążących się z nimi dziedzinach. Umowa kładzie pewne podwaliny pod wymianę osiągnięć kulturalnych i naukowych, poprawę kontaktów kulturalnych, pogłębienie obustronnej znajomości życia kulturalnego i społecznego w obu państwach. Stwarza pomyślne szanse, by dzięki kulturze przyczynić się do klimatu zaufania obopólnego zrozumienia i dać nowe bodźce obopólnemu wysiłkom dla utrzymania pokoju.

Umowa mówi m.in., że stronomi wymiany kulturalnej mogą być nie tylko instytucje państwowe, lecz także organizacje społeczne zajmujące się kulturą, a nawet pojedyncze osoby. Zwraca wreszcie uwagę objęcie ważnością umowy Berlina Zachodniego (zgodnie zresztą z porozumieniem czterech mocarstw z 3 września 1971 r.).

Ukoronowaniem pomyślnego rozwoju stosunków między obu państwami niemieckimi była — obok podpisania umowy kulturalnej — oficjalna wizyta w NRD premiera Badenii-Wirtembergii, wiceprzewodniczącego CDU, Lohara Spaetha.

Nadal jednak

WIELE SPRAW POZOSTAJE DO ROZWIĄZANIA.

Do nich należy nawiazanie oficjalnych kontaktów między Bundestagiem a Izłą Ludową NRD (odkładane z winy RFN) co powinno nastąpić, zdaniem szefa Urzędu Kancelarskiego dopiero po wizycie Ericha Honeckera. RFN nie chce nadal wyrazić zgody na powołanie ambasady.

NRD żąda wreszcie respektowania swojego obywatelstwa oraz uregulowania przebiegu granic na spornym odcinku Łaby. Z kolei jest przeciwna istnieniu ministerstwa stosunków wewnętrzniemieckich, jako przeżytku zimnej wojny, co nie sprzyja procesowi normalizacji między obu państwami. „Neues Deutschland” wprost zażądał jego likwidacji. Ten sam dziennik podał, powołując się na doniesienia środków masowego przekazu RFN, że wywiad zachodniemiecki wykorzystuje w celach wywiadowczych rocznie około 1,6 mln listów, czyli 5 tys. dziennie z korespondencji między obywatelami obu państw niemieckich.

Rząd NRD nalega na likwidację placówki w Salzgritter (Zentrale Erfassungsstelle der Landesjustizverwaltungen). Została ona powołana 15 listopada 1961 r. zarządzeniem ministra sprawiedliwości Dolnej Saksonii Koppa (SPD), na podstawie uchwały konferencji krajowych ministrów sprawiedliwości z 1961 r. (25-27.X.), co miało związek z zabezpieczeniem, przez NRD (13 sierpnia 1961 r.) granicy państwowej. NRD uznaje istnienie Centrali jako narządzenia „agresji prawnej”, instytucji odwetu, rewizjonizmu i wręcz rewanżizmu. Trudno się takiej właśnie postawie dziwić; jeśli przyjrzymy się bliżej zadaniom Centrali. Gromadzi ona: wszelkie informacje o incydentach granicznych, o zmianach w instalacjach zabezpieczających granicę, a także wypowiedzi przesiedleńców i uciekinierów. Rejestruje wreszcie: wszelkie akty „samowoli” popełnionych w NRD z punktu widzenia prawa karnego RFN, w tym wszystkich zabójstw (szczególnie chodzi oczywiście o fakty odnotowane na granicy RFN-NRD), wyroki sądów charakteryzujące się karami „szczególnie nieludzkimi”, itd., itd...

W 1982 roku Centrala zarejestrowała 1570 takich „przestępstw”, w 1983 r. — 1132, zaś razem od początku istnienia do końca 1984 r. — prawie — 32 tysiące.

Na czele Centrali stoi nadprokurator Carl Hermann Retemeyer z Brunzwicku, ale nie pełni ona funkcji prokuratury, a przekazuje tylko jej dane. O wszczęciu śledztwa decyduje Federalny Sąd Najwyższy. Dokumentacja Centrali obejmuje obecnie około 80 tys. fizsek pochodzących z policyjnego indogowania i przesłuchiwania obywateli NRD, którzy znaleźli się legalnie lub nielegalnie w RFN.

Co wynika z faktu istnienia owej Centrali? Otóż istnieje niebezpieczeństwo aresztowania obywatela NRD przebywającego w RFN z wizytą, nawet już emeryta. I chociaż policja graniczna podobno nie posiada list notowanych osób w Salzgritter, to jednak istnieje realna groźba zatrzymania już przy wręczaniu służbie granicznej paszportu. Kilka lat temu mówiono nawet o możliwości aresztowania podczas wizyty oficjalnej Ericha Honeckera. Dopiero niedawne zmiany wprowadzone do ustawy spowodowały, że sądownictwu zachodniemieckiemu przestało podlegać przedstawiciel innych państw, przebywający na „urzędowe zaproszenie Republiki Federalnej”. Rzecznik bońskiego ministerstwa do spraw stosunków wewnętrzniemieckich Otfried Henning, najpierw oświadczył, że likwidacja Centrali nie wchodzi w ogóle w rachubę, potem zaś: że możliwe, ale pod pewnymi warunkami. Premier rządu Dolnej Saksonii Ernst Albrecht stwierdził nawet, że oddziaływanie ona „profilaktycznie i powstrzymującą” na NRD. Tylko SPD zdecydowanie opowiada się za jej rozwiązaniem.

Christiana Kaisera i Joachima Nawrockiego „Kontynuacja z przeszkodami” potem napisał:

„Mimo niepowodzeń nie ma zmiany kursu”.

Oto dalsze przykłady. W Bonn odbyło się trzydniowe, pierwsze spotkanie delegacji naukowców z Akademii Nauk Społecznych przy KC NSPJ oraz Instytutu Polityki i Gospodarki (pod przewodnictwem jego dyrektora prof. Maxa Schmidta) z przedstawicielami Fundacji Im. Friedricha Eberta. W Freudenstadt (RFN) odbyła się trzydniowa narada przedstawicieli kierownictwa SPD (pod przewodnictwem członka prezydium Erharda Epplera) i naukowców Akademii Nauk Społecznych (na czele z rektorem prof. Otto Reinholdem), a poświęconą problemom postępu technicznego. 8 grudnia 1984 r. otwarto w Saarbrücken czwartą już ekspozycję książek z NRD. 11 grudnia 1984 r. doszło do spotkania między delegacją NRD-owskich związków zawodowych FDGB (przewodniczył członek prezydium i sekretarz zarządu krajowego Werner Heilmann) z kierownictwem zachodniemieckiej federacji związków zawodowych DGB z jej przewodniczącym Ernstem Breitem. Delegacja Demokratycznego Związku Kobiet NRD gościła w Bonn na zaproszenie Wspólnoty Roboczej Kobiet Socjaldemokratycznych.

W połowie grudnia 1984 r. między punktem granicznym Herleshausen a Frankfurtem nad Odrą otwarto poszerzoną trasę tranzytową (z ośmiokilometrową autostradą oraz kilkoma mostami) która usprawni ruch tranzytowy do Berlina Zachodniego. W Berlinie podpisano umowę w sprawie eksploatacji złóż potasu znajdujących się w obszarze granicznym nad Werra.

NRD wprowadziła kolejne ulgi obywatelom RFN i Berlina Zachodniego w bezcłowym wy-

wrażny optymizm co do możliwości wyjazdów grup obywateli NRD. Kilkakrotnie więcej niż w latach poprzednich (ok 40 tys.) obywateli NRD wyjechało do RFN w 1984 r. w ramach akcji łączenia rodzin. W RFN tak pojednawczego kroku nie spodziewano się. W 1985 r. wyjechało około 20 tys. osób.

DO NAJWAŻNIEJSZYCH WYDARZEŃ W 1985 ROKU

należała niewątpliwie wizyta w NRD Willy Brandta, a także niezapowiedziana, robocza wizyta przewodniczącego frakcji parlamentarnej SPD, Hansa-Joehena Vogla w Berlinie (składał on już wizyty w maju 1983 r. i w marcu 1984 r. 28 maja 1986 r. spotkał się on ponownie z Erichem Honeckerem w podberlińskiej rezydencji — w ramach uzgodnionych wcześniej corocznych konsultacji). W drugiej dekadzie grudnia 1985 r. przebywał oficjalnie Gerhard Schroeder, czołowy kandydat SPD na stanowisko premiera Dolnej Saksonii w wyborach do Landtagu (były one traktowane jako najważniejszy test przed przyszłorocznymi wyborami do Bundestagu. Odbyły się 15 czerwca 1986 r. Ernst Albrecht z CDU pozostał wprawdzie premierem, ale SPD zyskała 6 proc. mandatów). Został on przyjęty także przez Ericha Honeckera, z którym omawiał m.in. przebieg granicy na spornym odcinku Łaby („Neues Deutschland” z 5 czerwca 1986 r. napisało, że brak rozwiązania problemów granicznych „rzutuje ujemnie na współżycie narodów i państw”) oraz sprawę respektowania obywatelstwa NRD, którego oficjalnie RFN nie uznaje.

3 grudnia o godz. 12 w siedzibie MKR Ziemia Radomska rozpoczęły się obrady, o przebiegu których w kilka dni później dowiedzieli się cała Polska. Szczegółowa relacja z przebiegu obrad wygłaszały oddzielne broszury, o okazałej objętości. Sądzę, że powinienem ograniczyć się do wyliczenia z liczących wypowiedzi jedynie tych wątków, które pozwolą na wyrobienie sobie poglądu na stan ducha, jaki w tamtych dniach panował w kierowniczych zespółach „Solidarności”. W spotkaniu, co należy odnotować, uczestniczyli także doradcy.

Zaczniemy od tego, co powiedział Wałęsa. Aby nikt mnie nie posądził o dokonanie zabiegów mających na celu stronnicze przedstawienie jego poglądów, uważam za celowe zacytowanie jego wypowiedzi. Jest to konieczne również z tego względu, że w następnych latach Wałęsa, i nie tylko on, twierdził, że jego myśli zostały, oczywiście świadomie, przez nas zniekształcone. A więc głos ma przewodniczący. „Do 1976 roku, byłem takim radykałem jak Ruślewski, jeszcze gorszym, tak to mówią. I od tego momentu powiedziałem tak: radykalizm polega na tym, żeby wygrać, ale wygrać los i wkrótce doprowadzić do sytuacji o milimetr od konfrontacji i w pewnym momencie też robić zwrot, cofać się krok, dwa kroki do tyłu. To nam się udawało, ponieważ ja wymyśliłem, że w takim momencie, kiedy się pokazuje, że my jesteśmy odpowiedzialni, że my się cofniemy, wtedy dołączają się grupy społeczne. I tak było po Bydgoszczy. Mamy dzisiaj dowód, jak jechaliśmy samochodem. Milicja nas zatrzymała za szybkość, bo jest 70, jedziemy 140. Milicjant, kiedy zobaczył Lesia, uśmiecha się, mówi, proszę pana, szerokiej drogi. A więc z tego dowód mamy, rzeczywiście prawie wszystkie grupy się podzieliły. Kiedy dojeżdżamy do konfrontacji, od razu wiedzieliśmy, i wiem, że dzisiaj konfrontacja jest nieunikniona i ona będzie. Tylko problem, chciałem od tej konfrontacji dojść naturalnie wtedy, kiedy prawie wszystkie grupy społeczne będą z nami. Jednak w moich opiniach, obliczeniach pomyliłem się, bo myślałem, że jeszcze wytrwamy, wtedy obalimy i te sejmy, i te rady itd. I tak myślałem, że nam się uda. Okazuje się, że chyba dalej tą taktyką już nie pojeździemy”.

Jak zwykle u Wałęsy, gdy nie wygłasza tekstu napisanego przez doradcę, co stało się nagminnie w latach późniejszych, zdania są nieskładne, myśli chaotyczne, nieraz sprzeczne z sobą, z blaskich zdarzeń wyciąga wnioski zasadnicze itp., co nie oznacza jednak, że jego filozofia polityczna staje się niemożliwa do uchwycenia. Z radomskich wynurzeń Wałęsy jednoznacznie wynika, że rozstrzygające starcie z istniejącym socjalistycznym państwem polskim i jego władzami uważał za nieuniknione. Wynownym świadectwem tego jest przedstawienie przez Wałęsę przyczyn rozbieżności, jakie wystąpiły między nim i A. Gwiazdą. „Pan Gwiazda, mówił, odpadł z zarządu, nie dlatego, że różnimy się kierunkiem. Różnił się, tylko że jego droga i droga Jasia (Ruślewskiego — MFR) wymagała tego, że trzeba by natychmiast wziąć samoloty i inne rzeczy i oczywiście oni mają rację. My wygramy, ja tylko, nie chcieliśmy płacić maksymalnie, oczywiście tej walki w końcu nie można wygrać, żeby nie nie zapłacić. Chodzi o to, żeby jak najmniej zapłacić, ale chyba nam się nie uda, zapłacić musimy. Dlatego trzeba wybrać, jakie to miejsce, jak dużo zapłacić”. Był więc Wałęsa zwoleńnikiem świadomego, dobrze przemyślanego wyboru pola konfrontacji. W tym sensie był z całą pewnością przeciwnikiem rozgorączkowanych antykomunistycznych łbów, w rodzaju wspomnianych przez niego osób. Tak np. nawiązując do operacji w WOSP powiedział: „Jednocześnie myślę, że nie możemy dać się ponieść fantazji, ponieść się nerwom, bo przez to możemy znowu dostać w dziób. Tak było np. wczoraj w Warszawie. Mogliśmy szybko krzyknąć, no powstanie listopadowe, więc dawaj za kasy i oczywiście byłaby to piękna sprawa, ale dla nas przegrana. No, nawet świat by powiedział, że tak jest wszędzie, MSW to tam inaczej się jakoś na to patrzy itd. A więc wciągnęliby nas w nieodpowiednim momencie. Pięknie się stało, nie daliśmy się ponieść nerwom, ale dziś społeczeństwo musi się dowiedzieć o tym, że konfrontacja jest nieunikniona i jak my widzimy ich rolę. Dziękuję, będę się modlił”.

Ale nie modlitwom oddawali się uczestnicy radomskiego spotkania. Interesowała ich przede wszystkim taktyka i strategia walki z władzą. Oto co np. mówił szef zarządu regionalnego z Włocławka. Na wstępie zganił akcję usuwania komitetów partyjnych z zakładów pracy. Uznał, że tworzy się w ten sposób zupełnie niepotrzebnie nowy front walki, dlatego że „partie można w bardziej łatwy sposób wyeliminować z zakładów pracy”. Jak? Za pomocą samorządów. „Tworzą się samorządy, które nie pozwolą sobie, żeby były jakie organizacje brały pieniądze. I to jest ta droga”. Omawiając nastroje istniejące w społeczeństwie, szef Regionu zdobył się na następujące wyznaczenie: „Wielu mówi teraz: wreszcie jeden Jurczyk powiedział to, co my wszyscy myślimy o tych szubienicach. Ja spotykałem się z takimi głosami na zebraniach, jak idę do załóg w zakładach pracy. Dlatego też nie bójmy się, ludzie są z nami”. Ale, dowodził, „jest margines ludzi, którzy mają rzeczywiste wątpliwości, bo partia tu zagrała na patriotyzmie ludzi szermując tym frontem porozumienia narodowego. To trafiło do wielu ludzi, ale i tu możemy prowadzić rozmowy z nimi, nie trzeba tego zrywać, bo tego frontu nigdy nie utworzymy. I powinniśmy zdawać sobie z tego sprawę. Bo jak my im postawimy warunki, że proszę bardzo, możemy się dogadać, ale są warunki wstępne: trybunał narodowy, ordynacja wyborcza, reforma gospodarcza z połączeniem cen itd., to oni tego nie przyjmą nigdy. Ale oficjalnie rozmawiajmy i Związek wygrywa, bo proszę bardzo, my chcemy jak najbardziej, jesteśmy Polakami”. Mówca zalecał „wsadzanie” do administracji terenowej „swoich prezydentów”, opanowanie zakładów produkujących żywność, którą będzie można dzielić według uznania „Solidarności”, ale — dodał — „armii damy, bo inaczej by tu nas załatwiono”. Można powiedzieć, że mimo wszystko wykazał przytomność umysłu. (...)

Przewodniczący Regionu Wielkopolska, J. Rozwałak, stwierdził: „Robotnicy mojego Regionu uważają, że straciliśmy wiarygodność i w województwie poznańskim „Solidarność” oparowała wszystkie ogniwa władzy”. Więc „Solidarność” górą? Tak to wynikało z jego wypowiedzi, ale jednocześnie Rozwałak powiedział: „Powiem szczerze jako robotnik wchodzący w skład KK, będąc przewodniczącym Regionu, z przerażeniem stwierdzam, że stoję przed faktem, że ja nie wiem, co tu robić... Bo niby Związek, a jakie tu problemy — Rady Narodowe, Sejm, sądy, po prostu obłąd...”. Jacek Kuroń uznał za najważniejsze trzy sprawy. Pierwsza to zapowiedź rządu o wprowadzeniu tzw. prowizorium reformy gospodarczej, druga, to ewentualność wprowadzenia stanu wyjątkowego i trzecia: wybory do Rad Narodowych według ordynacji przygotowanej przez Radę Państwa. „Ja te wszystkie trzy sprawy, powiedział, uważam za sprawy, które nas załatwiają” i w związku z tym „te trzy decyzje musimy odeprzeć”. W jaki sposób? Kuroń uważał, że Związek powinien domagać

się faktów dokonanych powinniśmy ich zepchnąć na te pozycje”. Tak dyskutowano w Radomiu. W czasie dyskusji Jurczyk zapytał Wałęsę o przebieg spotkania Jaruzelski — Głomp — Wałęsa. Zarzucono przewodniczącemu, że ukrywa to, o czym mówiono podczas spotkania. Wałęsa broniąc się wypowiedział kwestię, która w następnych dniach podana w środkach masowego przekazu wywołała u wielu ludzi niezwykłe zdumienie. Dosłownie Wałęsa powiedział tak: „Od 1970 roku nie wierzę nikomu w tym systemie, nikomu, kto sprawuje władzę. Dlatego też nie powtarzam tego generalnie, ale w tym gronie mogę to powiedzieć. Naprawdę nie wierzymy, naprawdę chcę nas wmianować, nie wiadomo, kto tam będzie stał, przecież zdajmy sobie sprawę, że my rozkładamy ten system, zdajmy sobie wreszcie sprawę. Jeśli damy prywatyzację, rozkupimy pegeery, jeśli zrobimy samorządy i to całkowicie, to nie ma tego systemu, a więc nie ludźmy się. Od początku było jasne, że walka będzie, tylko i wyłącznie dobierać środki, żeby jak najwięcej społeczeństwo rozumiało tę walkę, głośno nie

takiego strajku czynnik wzmacniający Jedność Związku i podnoszący ducha ofensywności. (...) Przewodniczący Zarządu Regionu Ziemia Radomska Sobieraj w swoim wystąpieniu stwierdził, że trzeba mówić, iż rząd jest niewiarygodny, oraz że należy sformułować apel do członków partii, aby opowiedzieli się po czyjej są stronie. Wtórząc Ruślewskiemu był zdania, że grupy „Solidarności” powinny przejmować część działań administracji i odsuwać za wszelką cenę władzę miejskie i wojewódzkie, uświadamiając jednocześnie społeczeństwu, że nie nie potrafią one załatwić. Sobieraj nawiązywał do kolejnego w czasie obrad wystąpienia Ruślewskiego, który powiedział, że trzeba nacierać na władzę wojewódzką, aby je ostatecznie przed wyborami skompromitować. Trzeba, dowodził ten strateg, „władze wojewódzkie wpuszczać w przeróżne tematy — w gminy, miasta, trzeba koniecznie rozdyktować, chłopów napaść na urzędników gminy, niech zajmują Urzędy Gminne, jeśli taka ich wola. Jest to techniczne już rozkładanie władzy”. Jeśli władza, tokował, nie radzi sobie z takimi czy innymi sprawami, to trzeba przeznaczyć grupę ludzi, 100 lub 200, którzy będą je załatwiać. Przykładowo: jeśli np. komus potrzeba naprawić drzwi, to niech te drzwi zostaną siłą wyniesione z zakładu z myślą o uświadomieniu władzy, że jest ona totalnie bezsilna. Była to, moim zdaniem, już czysta aberracja.

No i wreszcie wystąpienie mecenasu Siły-Nowickiego. Wyważone, nawołujące do rozsądku. Każda organizacja, mówił, która powstaje i marzenia staje się czymś realnym, musi później w toku swojej działalności budzić niezadowolone, że nie spełnia wszystkich ludzkich nadziei. Związek też temu prawu podlega. Ponadto, dodał, obciążeniem jest to, że nikt nie zdawał sobie sprawy w chwili podpisywania porozumień gdańskich, jak zła jest sytuacja ekonomiczna kraju, „jak musi to grać w krótkim czasie również przeciw nam”. Gotów jestem zgodzić się z tą opinią, ale rzecz w tym, że w pierwszych miesiącach 1981 roku tylko ślepy i głuchy mógł nie dostrzec szybko pogarszającej się sytuacji gospodarczej, z czego we właściwym czasie należało wyciągnąć odpowiednie wnioski. Dodam też, że systematycznie mówiliśmy przywódcom „Solidarności”, posługując się konkretnymi przykładami, o pogarszającym się stanie gospodarki.

Siła-Nowicki zakwestionował także utrwalony w zespółach przywódczych pogląd, że Związek „jest wszechpotęgą”. I to jest zasadniczy błąd. Nasz Związek jest bardzo potężny. „Solidarność” jest potęgą. Natomiast jest w swej sile ograniczona i nie jest wszechpotężna”. Na zadane sobie pytanie, na czym polega „nasza siła w stosunku do rządu”, odpowiedział, iż nie na tym, „że my będziemy szukać z nimi konfrontacji, tylko na tym, że rząd przeciwko nam nie rzeczywiście przeprowadzić nie może. Nam nie trzeba konfrontacji. Nam wystarczy odmowa współdziałania, żeby rząd nie mógł nie zasadniczego zrealizować i przeprowadzić. Na tym polega nasza siła”. Mecenas polemizował także z tymi, którzy nawoływali do stanowczego przeciwstawienia się zamiarom rządu w sprawie tymczasowego uregulowania prawa do strajku. Nie róbmę z siebie dzieci, mówił, bo przecież „w proponowanej przez nas ustawie o związkach zawodowych istnieje możliwość określonego zawieszenia prawa do strajku. Tośmy sami uchwili i to sami projektujemy”. Tak rzeczywiście było, ale bojowy duch panujący w Radomiu brał górę nad wszystkim innym, także nad zobowiązaniami, które wzięła na siebie „Solidarność”. Zdaniem mecenas, taktyka Związku powinna opierać się na założeniu, że „rząd musi się z nami dogadać. Musi”. Jeśli dojdzie do ogólnej konfrontacji, dowodził, w Polsce „z trzech czynników, Kościół, „Solidarność” i rząd, na pewno zostanie tylko Kościół. A najmniejsze szanse pozostania ma rząd. Ale my też się możemy zgubić. Bo nikt z nas nie jest tutaj dostojnikiem kościelnym”.

W dyskusji, jaka toczyła się na spotkaniu w Radomiu, wypowiadano się o bardzo wielu sprawach; przytoczyłem wszystkie te głosy, które dają pojęcie o kierunku myślenia. Nie jest to wybór jednostronny, tendencyjny. Fakt, którego największy nawet chwaleb „Solidarność” nie może podważyć, jest to, że wśród uczestników spotkania panował duch walki i niemal stu procentowe zatrącenie kontaktu z rzeczywistością. Analizując przebieg spotkania radomskiego po upływie kilku lat aż trudno uwierzyć, że dorośli ludzie mogli z pełnym przekonaniem wygłaszać poglądy, których nie można było przecież inaczej określić jak wezwanie do obalenia istniejącej władzy państwowej. W gruncie rzeczy to, czego domagano się w Radomiu, wystarczyło, by postawić czółowych działaczy „Solidarności” przed Trybunałem Narodowym. Czy można wyobrazić sobie jakikolwiek rząd na świecie bezczynnie przyglądający się wezwaniom do obalenia go siłą? Myślę, że takiego rządu nie ma. W Radomiu spadły ostatecznie z twarzy wielu działaczy „Solidarności” maski, którymi posługiwali się w zależności od potrzeb. Radom był ostatnim ogniem w całym łańcuchu działań brutalnie naruszających porozumienia sierpniowe. Warto o tym pamiętać, ponieważ po 13 grudnia, przez kilka następnych lat usiłowano wmówić polskiej i światowej opinii publicznej, że to partia i rząd zamykały wspomniane porozumienia. Apologeci „Solidarności” z wyniosłą obojętnością przechodzą obok radomskich wezwań do bezwzględnej walki z istniejącą władzą. Co najwyżej tłumaczą je jako skutek zniecierpliwienia przywódców „Solidarności” rzekomą niechęcią rządu do poczynienia jakichkolwiek ustępstw wobec „słusznych” żądań Związku.

C.D.N.

Czasy nadziei i rozczerowań

(18)

Była to już czysta aberracja

MIECZYSLAW F. RAKOWSKI

się „sensownej reformy gospodarczej”, utworzenia Społecznej Rady Gospodarki Narodowej, dostępu do środków masowego przekazu, wyborów do Rad Narodowych na podstawie ordynacji wyborczej opracowanej przez „Solidarność” i utworzenia rządu obdarzonego społecznym zaufaniem. Jeśli władza, dowodził, nie przyjmie tych warunków, znaczy, że narzuca nam konfrontację. „Jeśli idziemy do tej konfrontacji, to trzeba mieć świadomość, że w rezultacie stanie sprawa władzy centralnej i rządu obdarzonego zaufaniem. Ja osobiście stoję na stanowisku rządu narodowego, takiego, o jakim mówił Janek (Ruślewski — MFR), ale wcale nie uważam, aby Związek to hasło porzucił”.

Kuroń przewidywał również inny wariant rozwoju sytuacji, a mianowicie zrzeczenie się przez władzę z zapowiedzianych kroków. I co wtedy? W takiej sytuacji zalecał kontynuowanie walki o osiągnięcie wspomnianych celów, ponieważ tworzą one „nasz program pozytywny”. Chęć państwa równocześnie uświadomić, mówił, że są to wszystkie trzy sprawy, które są przekonywające dla ludzi i które są w gruncie rzeczy zgodne z oczekiwaniami.

Bujak oświadczył, że obecna sytuacja, „w której przychodzi nam działać, zmusza Związek do zajęcia bardziej jednolitego, bardziej twardego, bardziej zdecydowanego stanowiska”. W związku z tym zaproponował, aby na posiedzeniu Komisji Krajowej Prezydium przedstawił program działania zalecany przez Kurońa.

Podobnie jak wielu innych dyskutantów, Bujak potraktował rząd lekceważąco; rząd jest bezsilny, stwierdził. „W tej chwili, mówił, jako Związek zaczynamy krążyć jak sepi nad trupem, no, który się jeszcze trochę rusza, ale już wiadomo, że ocy można wydobywać”. Jego zdaniem, należy sięgnąć po strajk generalny, bowiem bez tego narzędzia żadne polityczne rozwiązania nie mogą nastąpić. Wystąpienie Bujaka można przyrównać do wypowiedzi stratega opracowującego plan ofensywny przeciwko wrogowi. Więc: strajk generalny trzeba przygotować we wszystkich szczegółach — „powód się znajdzie. Nie ma obawy. I tak to nas czeka, i tak”. Bujak nie wyobrażał sobie, aby bez strajku generalnego możliwe było osiągnięcie celów, o których mówiono w Radomiu; PZPR nie należy udzielać żadnych gwarancji; należy już teraz powołać Społeczną Radę Gospodarki Narodowej, która, jeśli będzie w odpowiednim składzie, przy silnym poparciu Związku, będzie mogła „występować z propozycją rządu tymczasowego”; należy powołać społeczną radę nadzorczą Radiokomitetu. Przyszły szef podziemnej struktury „Solidarności” i pojęty uciech Kurońa był zdania, że wszystkie te działania muszą doprowadzić do „Generalnego przełamania dotychczasowego sposobu funkcjonowania władzy, dotychczasowej władzy jako takiej”. Bujak wyraził także pogląd, że wojsko nie pójdzie na totalną konfrontację.

Grzegorz Palka stwierdził, że „politycznie rząd już uderzyć nie może, bo rząd jest skompromitowany”. Co się tyż party, to uznał, że trzeba uruchomić cały zespół działań na zasadzie faktów dokonanych, które będą spychały partię na pozycję, którą „my powinniśmy pokazać”. Rozprawiał na ten temat, jakby już miał za sobą zwycięstwo. Odwołując się do wypowiedzi Kurońa, powiedział: „Jeśli tutaj mówię, że powinniśmy Rosji zagwarantować pewne strategiczne interesy, ale to nie wystarczy, ponieważ my jesteśmy niewiarygodni dla Rosji jako gwarant... Obawiam się, że jeszcze oprócz gwarancji tych interesów powinniśmy zagwarantować jej wybór strażnika, że te interesy będą zachowane. Należałoby się zastanowić, jakie trzeba zachować prerogatywy partii, czy jakie jej pole działania zostawić, żeby Rosja mogła zaakceptować, że ona (tj. partia — MFR) taką rolę strażnika będzie tu efektywnie wykonywać. W swojej polityce

mówić konfrontacja nieunikniona i rozmowy takie to tylko jest przechytrzenie, kto kogo, a my się sami przechytrzamy. My mamy prowadzić, mówię kochamy was, kochamy socjalizm i partię, oczywiście, że tak kochamy Związek Radziecki, a przez fakty dokonane robić robotę i czekać, konfrontacja będzie, tylko niech będzie to konfrontacja, żeby nie zaskoczyła, ale ona jest niemożliwa...”

Nie ludźmy się, od początku było granie na nosie i ja o tym dobrze wiedziałem, oczywiście o tym nie mówiłem, bo chciałem grać, ale dziś już nie ma wyjścia. Dziś już nie mam wyjścia, bo sprawy tak daleko zaszły, że trzeba ludziom trochę przepuścić i powiedzieć, w co my gramy, że my gramy tak wysoko, że zmieniamy w ogóle realia i ta gra nie może się inaczej skończyć. Żadna władza, żadna systemu nie może się obejść bez targania się po szczeblach, no nie ma mowy, tylko trzeba ją wygrać. My jako odpowiedzialni ludzie musimy ją wygrać”.

Nawiązując do propozycji utworzenia Frontu Porozumienia Narodowego, Wałęsa stwierdził, że nie interesują go „żadne ZSL-e, PAX-y, żadne branzowcy”. W dyskusji wystąpił także Ruślewski, którego przemówienie — jak sądził — w niemającym stopniu ukierunkowało przebieg spotkania. Stwierdził on, że sprawa najważniejsza jest udzielenie sobie odpowiedzi na pytanie, jak dojdzie możliwie najszybciej do wyborów do Sejmu oraz, że trzeba wyraźnie oświadczyć, iż „walczymy o Rząd Ty czasowy, który ustabilizuje kraj do czasu wyborów, ponieważ bez stabilizacji, wszelkie wybory nie będą po naszej myśli”. Namiastką takiego rządu powinna być Społeczna Rada Gospodarki Narodowej. Rząd Tymczasowy, dowodził, powinien być rządem bezideowym. Rząd ten powinien przyjąć taktykę KOR-u, a nie KPN. (...)

W kilku wystąpieniach mówiono o celowości tworzenia strazy robotniczej, dziesiętników, setników, tysięcy w zakładach pracy. Miały to być grupy ludzi uzbrojonych w kaski i palki, a ich zadaniem byłoby przeciwstawianie się ZOMO i SB.

Z obszernym przemówieniem wystąpił Karol Modzelewski. Mimo że relacja z przebiegu spotkania w Radomiu wydłuża się, myślę, że warto jednak poświęcić temu wystąpieniu sporo miejsca. Na wstępie zadał pytanie, czy rząd rzeczywiście chce konfrontacji. Otóż „gdyby chcieli konfrontacji”, powiedział, to by Seweryna (Jaworskiego) „po prostu posadzili”. To prawda, że partia i jej sojusznicy oraz rząd nie dążyli do konfrontacji, ale z kolei szczerem naiwności było uzależnianie naszych intencji od tego, czy Jaworski siedzi, czy też znajduje się na wolności. Więc Modzelewski przyznawał, że rząd dąży do konfrontacji, ale w chwilę później oświadczył, iż jednak wchodzi w wiraż konfrontacji i w związku z tym, chce postawić „Solidarność” w sytuacji maksymalnej słabości. Związek zaś — jak powiedział — „nie jest silniejszy, niż był, jest słabszy niż był. Znacznie słabszy i każdy działacz o tym wie”; występuje zmęczenie kryzysem, nie kończącymi się kolejkami. W związku z tym są ludzie, którzy mają nam za złe przeciąganie się obecnego stanu rzeczy i wobec tego „chcą od nas — tak, zgódzić się”. Są ludzie przeciwni z tych samych powodów, „którzy powiadają: skończmy z nimi, stać nas na to”. W tej sytuacji, Związek jest narażony na to, że każda jego akcja i każde zaniechanie akcji spotka się ze sprzeciwem części jego członków, części jego zaplecza. Cóż więc należy czynić? Zdaniem Modzelewskiego, przewodniczący zarządów regionalnych powinni zająć jednoznaczne stanowisko w sprawie strajku powszechnego w przypadku uchwalenia przez Sejm ustawy o stanie wyjątkowym. Chodziło mu o to, aby nie było rozbieżności pomiędzy stanowiskiem Prezydium KK i przewodniczącymi regionów. Wolno założyć, że Modzelewski widział w gotowości do

W okresie międzywojennym Łódź była znaczącym miastem garnizonowym. W Łodzi mieściła się siedziba IV DOK, dowództwo 10 DP; stacjonowały tu 28 pułk strzelców kaniowskich, 10 pułk artylerii lekkiej i I batalion 31 pp z Sieradza.

28 pułk piechoty, jako że służyli w nim żołnierze pochodzący w większości z samego miasta i okolic, zyskał sobie miano pułku „Dzieci Łodzi”. Kadra zawodowa pułku, uhonorowanego tą nazwą, często i chętnie uczestniczyła w życiu społecznym i kulturalnym miasta oraz czuła się związana z nim uczuciowo. Latem 1939 roku pułk znajdował się na obozie ćwiczebnym w Dąbrowie Wielkiej koło Zgierza. Poderwany alarmem w nocy z 22 na 23 sierpnia, rano znalazł się z powrotem w garnizonie.

W ciągu kilku następnych dni przyjęto zmobilizowanych rezerwistów i wydano żołnierzom wojenne wyposażenie. Po uzupełnieniu pułk składał się z 3300 żołnierzy, posiadał 664 konie i 200 wozów taborowych. 26 i 27.VIII. 28 pp przetransportowany został na przedpole zasadniczej linii obrony, do rejonu Brzezin Grabowskich i Rzesawic, gdzie znalazł się również I dywizjon 10 pułku artylerii majora Sawickiego. Miejsce postoju dowódcy pułku podpułkownika Wincentego Kurka znajdowało się w Brzezinach. I batalionem dowodził mjr Miliński, II batalionem mjr J. Korczewski, III batalionem mjr J. Korczewski, III oficer, którego nazwiska nie udało się ustalić. Dowódcą plutonu artylerii piechoty był kapitan Świątowski, artylerią przeciwpancerną dowodził podpułkownik J. Czerwinski, 28 pp razem z 30 i 31 pp i 10 pal wchodziły w skład 10 DP generała brygady Franciszka Dindorfa-Ankowińskiego, ta zaś była jedną z wielkich jednostek armii „Łódź”.

Zgodnie z sugestią Naczelnego Wodza, dowódca armii generał dywizji Juliusz Rómmel rozkazał dowódcy piechoty dywizyjnej 10 DP pułkownikowi Jerzemu Zientarskiemu utworzyć oddział wydzielony i skierować go na operacyjną linię czołową, o cztery godziny marszu przed pierwszą pozycją opóźniającą nad Prosną. Był to Oddział Wydzielony nr I. Zadaniem oddziału, w skład którego wchodził 28 pp, I/10 pal bez baterii, dwa bataliony obrony narodowej „Kepno” i „Ostrzeszów”, 5 i 6 szwadron 1 pułku kawalerii KOP, 42 kompania kolarzy i 91 kompania czołgów TK, było rozpoznanie siły i kierunku głównego natarcia nieprzyjaciela, a następnie opóźnianie jego marszu na zasadniczą linię polskiej obrony. To drugie zadanie okazało się niewykonalne, biorąc pod uwagę rażącą dysproporcję sił stron walczących.

OW-I współdziałał z placówkami straży granicznej w miejscowościach: Sosnie, Kobylej Górze i Bralinie. Od 20 do 31 sierpnia kompanie strzeleckie zajmowały pozycje na linii czołowej. I batalion stacjonował w rejonie Wieruszowa, II w rejonie Wieruszowa, III w rejonie Wieruszowa, IV w rejonie Wieruszowa. Dowódcą pułku podpułkownik Wincenty Kurek, a III i 91 kompania czołgów „Kepno” wsi Dąbrowy. Na pozycji nad Prosną każdy batalion pozostawił po jednej kompanii strzeleckiej. Najbliższym sąsiedą od północy była oddalona o 25 km 25 DP armii „Poznań”, znajdująca się pod Kaliszem. Łukę między armiami wypełniła mała Kresowa Brygada Kawalerii, która wyładowała się właśnie w Szadku Południowym sąsiadem był Oddział Wydzielony nr II pułkownika Jerzego Grobickiego. Po drugiej stronie granicy rozpoznano koncentrację dwóch polskich dywizji piechoty Wehrmachtu 10 i 24.

PIĄTEK, 1 WRZEŚNIA 1939 R.

Świt tego dnia był chłodny, a niebo pochmurne. Po niespokojnej nocy około godziny czwartej polskie placówki graniczne zostały ostrzelane ogniem broni ręcznej i maszynowej. W pół godziny później odezwała się także niemiecka artyleria. Zewsząd meldowano o przekroczeniu granicy przez grupy regularnego wojska. Stało się rzecz jasną — rozpoczęła się wojna.

Straż graniczna zgodnie z planem wycofała się poza wojskowe placówki, niszcząc mostki, przepusty, linie telefoniczne i tworząc lesne zawiły. Mimo tych działań już około ósmej zmotoryzowani zwiadowcy nie-

przyjaciela omijając przeszkodę znaleźli się pod Kępem i Ostrzeszowem. Zatrzymywani ogniem naszej piechoty, niemieccy motocykliści objeżdżali polskie pozycje i z całą zuchwałością pojawiali się niespodziewanie w różnych najbardziej nieprawdopodobnych miejscach wokół brzońnych miejscowości, co deprymowało naszych żołnierzy.

Po krótkiej wymianie ognia karabinowego batalion obrony narodowej „Kepno” opuścił miasto na rozkaz dowódcy kapitana Jungsta i pomaszerował ku Prośnie. Tymczasem niemiecki zwiad odciął mu drogę do mostu w Wieruszowie. Sytuacja stała się krytyczna. Na szczęście dla batalionu obsługa działka ppanc z I 28 pp celnym ogniem zniszczyła niemiecki samochód pancerny i przepędziła motocyklistów. Dwa

krótkotrwałym huraganowym ogniu kilku dywizjonów artylerii skierowanym na pozycje II batalionu, piechota 24 DP zdobyła Grabów, sforsowała rzekę i utworzyła przyczółek na jej prawym brzegu. Pojawiła się realna groźba dalszego postępu nieprzyjaciela w kierunku Błaszki i oskrzydlenia Oddziału Wydzielonego. Siła ognia niemieckiej artylerii była tak wielka, że nasi żołnierze zostali dosłownie wgniećci w ziemię, a możliwości jakiegokolwiek ich aktywności na polu walki były sparaliżowane. Dlatego też pułkownik Zientarski, gdy tylko ogień ustał, nakazał opuścić pozycję i odskoczyć za linię rzeki Łużyca. Ruch wojsk rozpoczął się wczesnym popołudniem. Niemcy znów utworzyli ogień, a na niebie pojawiły się samoloty Luftwaffe. Mimo to, dzięki energii do-

nu pozycje. Zakończyło się działanie Oddziału Wydzielonego.

DRAMAT NAD WARTĄ

W niedzielę, 3 września 1939 r., około 17.00 niemiecka artyleria pokryła silnym ogniem wieś Wini, która zaczęła płonąć. Kawaleria dywizyjna zajęła pospiesznie dotąd nie obsadzoną pozycję Glinno. Miała wtedy przebiegać linia obronna Kresowej Brygady Kawalerii, niestety ta czołowa jeszcze nie przybyła. Przedmoście sieradzkie osłaniał 31 pp. 20 pułk ułanów Kresowej BK został pod Szadkiem rozproszony przez niemieckich lotników. Zebrali się wprawdzie, lecz w niedzielę do Warty nie dotarli. Do sztabu

obrony. Lecz dowódca dywizji postanowił nie dać nieprzyjacielowi czasu na zorganizowanie obrony. Osobiście udał się do przodu, aby na miejscu pokierować atakiem.

Na rynku w Warcie wyprzedził czołowe oddziały piechoty i ze swym pierwszym oficerem sztabu pojechał na przedni skraj, aż do pierwszego mostu na Warcie. Tam przekonał się, że most nie jest broniony. Bezpośrednio wysłał swego oficera do tyłu, aby jak najszybciej ściągnął wojsko. Biegiem pospieszyły pierwsze pospiesznie zebrane grupy żołnierzy i obsadziły pierwszy, drugi i trzeci most. Akcją kierował sam dowódca dywizji. Teraz jednak nieprzyjacieli otworzył gwałtowny ogień z cekaemów broniąc dwóch ostatnich mostów. Przybywały nam coraz to nowe posiłki. Również i polski opór wzmógł się szczególnie w obronie ostatniego mostu, którego bronili polskie czołgi. Wtedy rzucono do walki działko ppanc pod dowództwem podoficera. W tamtym momencie, z szybkością 100 km na godzinę, przejechało ono mosty ze swym ciągnikiem. Pod ogniem nieprzyjaciela obsługa odprzodkowała działko i błyskawicznie ostrzelała polskie czołgi z widocznym skutkiem. Ostatni ogień działka pojechał do przodu niemiecki samochód pancerny zwiadu z wachmistrzem jako dowódcą i podporucznikiem pionierów. Podczas gdy piechota obsadzała wschodni przyczółek w zapadającym zmroku odpierała powtarzające się kontrataki wroga, często w walce wręcz pionierzy rozminowali mosty.

Ostatni most usiłował zniszczyć saperzy majora Siemńskiego. Niestety zginęli wszyscy wraz z dowódcą. Niemcy utworzyli więc przyczółek na prawym brzegu Warty, umocnili się chroniąc mosty, a tym samym dokonali włamania w zasadniczą polską linię obrony. Przed nadejściem nocy stosując walec ogniowy rozszerzyli przyczółek podchodząc pod Dzierżanę i Wydy.

4 km na północ od miasta Warty Niemcy sforsowali rzekę w Mikołajewicach i opanowali Glinno. Żołnierze sforsowali rzekę w szturmowych łodziach pneumatycznych. Pozycję Glinno broniła kawaleria dywizyjna i dwa plutony 28 pp, które obsadziły betonowe schrony bojowe, a tych niemiecka artyleria zniszczyła nie mogła. Zaatakowane z tyłu od wsi Brzeg przez niemieckie czołgi schrony te zostały zniszczone, a obrońcy zginęli — 2 oficerów i 34 żołnierzy.

Wieczorem 1/10 pal ostrzeliwał niekającym ogniem utracone Glinno, a dowódca pułku podpułkownik Kurek montował przedwzrostek z zamiarem odbicia wsi i wyrzucenia wroga za Wartę. Kontratakować miała 8 kompania, razem 50 żołnierzy. Tymczasem wrog przelał również główną pozycję obrony na lewym skrzydle 10 DP pod Sieradzem, w pasie obrony 30 i 31 pp. W nocy z 4 na 5 września główna polska pozycja obronna na linii obrony 10 DP została przełamana w czterech miejscach: pod Glinnem, Wartą, Mnichowem i Stroniskiem. W ciągu dnia nieprzyjacielskie lotnictwo wspierało walczące wojska, bombardowało też zaplecze. Koło Kucin bomby spadły na polowe lotnisko 101 i X dywizjonu. Zniszczone zostały dwa samoloty, magazyn bomb i paliwa. Na lotnisku myśliwców III dywizjonu w folwarku Widzew messerschmitty spaliły 5 polskich P-11. Tym samym lotnictwo myśliwskie armii „Łódź” przestało istnieć.

Dowódca 28 pp podpułkownik Kurek chce za wszelką cenę odzyskać utraconą pozycję. Zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Wieczorem 4 września osobiście prowadzi osmą kompanię do ataku na Glinno. Natarcie polskich piechurów wspiera silny ogień czterech baterii. Mimo to atak załamuje

się. Po północy dowódca pułku montuje drugie natarcie. Zaczyna się ono już rano, około ósmej. Tym razem uderza 4 Samodzielny Batalion Strzelców i II oraz III batalion 28 pułku. I tym razem piechotę wspiera silna artyleria: 16 armat 10 pal i 13 dak. Polacy ponoszą ciężkie straty lecz wyrzucają wreszcie Niemców z Glinna i biorą wzgórze 132. Nieprzyjacieli trzyma jeszcze Kolonię Brzeg i skrawek ziemi nad brzegiem rzeki. Natarcie zamiera. Kresowa Brygada Kawalerii stoi w tym czasie w lesie odległym o 2 km... i nie interweniuje!

Teraz Niemcy uderzają z przyczółka od strony mostów na pozycję drugiego batalionu i zdobywają Dzierżanę. Kontratakują III batalion bez 8 kompanii. Dowódca pułku Polacy na czele. W walce wręcz 28 pp odbierają Dzierżanę. Sytuacja ciągle niejasna.

5 września w południe generał Johannes Blaskowitz wprowadza do walki główne siły: X i XIII Korpus piechoty. Podpułkownik Kurek ma teraz naprzeciw siebie trzy dywizje: 10, 24, 30 wraz z artylerią i lotnictwem. Po nawale ogólnej artylerii i zbombardowaniu polskich pozycji przez stukasy rusza niemiecka piechota. Nasi żołnierze nie byli jeszcze w takim ogniu. Około 14.00 pęka polska obrona. Nieprzyjacieli rozwinęli natarcie w kierunku wsi Kamionacz i Rossoszyce. Zaczyna się bezładny odwrot. Ogólnie panika żołnierze samowolnie zbierają z pozycji. Gdy około godziny 17.00 dowódca pułku nakazuje odwrot do rejonu Szadka — Grybowa, faktyczny ruch do tyłu trwa już około trzech godzin. Nieprzyjacielska artyleria i lotnictwo koncentrują uderzenie na pomieszczenia i cofające się w pośpiechu grupy żołnierzy 28 pp i 4 Samodzielny Batalion Strzelców. Piechota niemiecka jest wcześniej w Rossoszyce niż Polacy i szybko posuwa się na wschód. Główne siły niemieckie 30 DP docierają do lasu Ruszelki, lecz tam zatrzymuje jej dzielny 4 Batalion. W ciągu nocy batalion odrywa się od nieprzyjaciela i dołącza do 28 pułku. W nocy pułk zbiera się w lesie choszczeńskim nad Pichną. Obecny tam szef sztabu 10 DP pułkownik Stefan Osika usiłował policyzować żołnierzy 28 pułku. Stwierdził, że straty ludzkie wyniosły około 40 proc. stanu szeregowców i aż 70 proc. kadry. Przepadło wiele cekaemów i dział, cały kabel artyleryjski, którego nie udało się ściągnąć. Na polach między Wartą a Pichną pozostało co pięć dział, zginęła co trzecia obsługa. Był to w większości efekt działań Luftwaffe. Żołnierze, którzy ocaleli z pogromu byli nieludzko zmęczeni. Kresowa BK zbierała swe pułki w lasach koło Szadka.

I tak oto zakończyła się bitwa 6 zasadniczą linię obrony na Warcie. Tego dnia wieczorem Niemcy zdobyli Piotrków Trybunalski. Armia „Łódź” przestała istnieć. Resztki ugrupowania północnego (10 DP i Kresowa BK) zbierał dowódca dywizji generał Dindorf-Ankowiński, a południowego (2, 28, 30 DP i Wołyńska BK) generał Wiktor Thommée. 5 września Luftwaffe atakowała drogi odwrotu Polaków, linie kolejowe i miasta leżące na trasach: Łódź, Zgierz, Koluszki, Aleksandrów i Konstantynów.

Około północy dowódca pułku otrzymał formalny rozkaz odwrotu pod Głowno.

ZDZISŁAW SIECH

28 pułk strzelców kaniowskich w wojnie obronnej 1939

Alarm dla pułku

Inne działania zniszczyły kilka pojazdów przeciwnika w tym dwa czołgi rozpoznawcze. Wzięto kilku jeńców z 10 DP Wehrmachtu. Przypadek sprawił, że naprzeciw siebie stanęły dwie dywizje polska i niemiecka o tej samej numeracji. Po tej potyczce 1/28 pp, baon ON „Kepno” i 92 kompania czołgów TK ze szwadronu OW-II znalazły się na ulicach Wieruszowa. Wtedy pojawiły się niemieckie samoloty i posypały się bomby. W mieście powstała panika. Żołnierze pomieszczeni z ludnością cywilną. Byli zabici i ranni. Gdy major Kubalski duży wysiłkiem zdołał wreszcie wyprowadzić pierwszy batalion na drogę do Węglewic, okazało się, że i tam droga znajduje się pod ogniem niemieckim. Zaskoczony batalion utracił tam swe wozy taborowe i działko pułkowe, 6 szwadron 1 pułku KOP został otoczony koło mostu w Opatowie. Z okrzykiem wydał się tylko jeden pluton, reszta kawalerzystów pod dowództwem rotmistrza Mineckiego będzie walczyła na tyłach wroga do południa 3 września. Poddadza się w lesie pod Kiszczak i pódją do niewoli razem ze swym rotmistrzem.

Tymczasem w Ostrzeszowie Niemcy otoczyli sztab 28 pp i zaatakowali tę miejscowość siłą batalionu piechoty. Wywiązała się zacięta walka o wyjście z okrzykami. Żołnierze II batalionu bagietami otworzyli sobie drogę do Grabowa. Wraz z nimi wyrwał się sztab pułku i porządnie nadwerężony batalion ON „Ostrzeszów”. Około godziny jedenastej Niemcy opanowali miasto.

Po dramatycznych wydarzeniach pierwszego spotkania z wrogiem dowódca OW-I zdołał obsadzić pozycję nad Prosną między Grabowem a Polesiem. Około 17.30 Polacy odparli Niemców próbujących przełamać obronę z marszu. Niemiecka 24 DP musiała zatrzymać się, rozwinąć i podciągnąć artylerię. Powoli zapadł zmrok i kończył się pierwszy dzień wojny. Jeszcze przez jakiś czas przybywały na pozycję grupki żołnierzy z rozproszonych plutonów i drużyn. Wieczorem horyzont na zachodzie zapłonął łuną pożarów. To Niemcy paląc stogi i pełne zboża stodoły oświecali sobie przedpole. Walka wygasła. Oficerowie porządkowali swe oddziały. Po szoku pierwszych godzin walki i świadomości niemieckiej przewagi, nastrojów wśród żołnierzy poprawił się po otrzymaniu kolacji i wobec perspektywy snu w okopach na pozycji.

O świcie Niemcy zaatakowali. Od razu punkt ciężkości walki z przesuwał się na obu skrzydłach pozycji pośrodkowej: pod Grabowem i Węglewicami. Po

wództwa i postawie żołnierzy, oddział wydzielony nie dał się rozbić ani wymanewrować. Do zmroku Polacy utrzymali się na nowej pozycji, potem zaś rozpoczęli zorganizowany odwrot na zasadniczą linię obrony nad Wartą. Wojsko odchodziło nocą w porządku.

Tymczasem w Szadku rozpoczęły wypadki Kresowa BK, a w Łasku 2 DP. Rosły siły armii. Rozpogodziło się i Luftwaffe. Działala w ciągu dnia jeszcze śmiało niż poprzednio. Nasi jednak byli mniejsze. Straty żołnierzy nauczyli się taktyki biernego obrony. W ciągu dnia formacje niemieckich bombowców ciągnęły wysoko w kierunku Sieradza i Łodzi. Udało się kilkakrotnie uderzyć polskie samoloty. Były to rozpoznawcze karasie i obserwacyjne R-XIII. 32 eskadra samolotów rozpoznawczych bazowała na polowym lotnisku Sokolniki pod Ozorkowem, 66 eskadra samolotów obserwacyjnych w Męckiej Woli pod Sieradzem. Jeden R-XIII z tej eskadry został zestrzelony przez własną piechotę. Ranny pilot odwieziony został do sieradzkiego szpitala, obserwator wyszedł bez szwanku.

W nocy z soboty na niedzielę, bez walki wojsko odchodziło na zasadniczą linię obrony. Z trudem zbierano na postojach kompanie i bataliony. Żołnierze byli utrudnieni forsownym marszem przez pola i lasy rzeźmi sieradzkiej. Ruch wojska ogromnie utrudniał zaopatrzenie pododdziałów. Dowódca dywizji wiedząc o ciężkim położeniu 28 pułku, wydzielił kompanię z bratniego 30 pp, aby razem z 91 kompanią czołgów osłaniała odwrot pułku. Ogień lekkiej broni tej kompanii utrzymywał niemieckie szpiecy w odpowiedniej odległości od maszerujących. Świt zastał pułk pod Łubnem i Gruszcami. Droga do Wólci do Gruszc pełna była taborów wojskowych i mas cywilów spływających w kierunku Sieradza.

Trasa odwrotu prowadziła przez Błaszki do miejscowości Warty. Pod Błaszki marsz został zatrzymany. Zmotoryzowany zwiad wroga opanował miasto i dopiero ogień i kompanii 31 pp wysłanej na pomoc z Sieradza oraz uderzenie II/28 pp odrzuciły Niemców w kierunku Kalisza.

Około 14.00 po szesnastogodzinnym marszu pułk dotarł do Warty, w ciągu godziny przebiegł mosty i znalazł się na prawym brzegu. W powietrzu znów pojawiły się niemieckie bombowce bombardujące i ostrzeliwujące okolice przeprawy — tym razem przyjeżdżały za późno. Żołnierze obsadzili przygotowane jeszcze w sierp-

dywizji nadeszły meldunki o zbombardowaniu węzłów komunikacyjnych w Łasku, Zdunskiej Woli, Sieradzu, Łodzi i Koluszkach. Radio podało wiadomość o przystąpieniu do wojny Anglii i Francji. To od razu odmieniło nastroje. Nie wiedzieliśmy, że w tym dniu przegrana została bitwa graniczna, a Górny Śląsk znalazł się w niemieckich rękach.

Dotychczasowy dowódca OW-I pułkownik Jerzy Zientarski otrzymał dowództwo obrony odcinka „Kamionacz”, w skład którego oprócz 28 pp wchodził 4 Samodzielny Batalion Strzelców, baon ON „Ostrzeszów” i I dywizjon 10 pal bez baterii. Szerokość odcinka wynosiła 13 km. Był to w istocie odcinek obrony dywizji, a nie pułku. Pułkownik Jerzy Zientarski miał naprzeciwko siebie całą niemiecką 24 DP i część 30 DP.

W ciągu nocy z 3 na 4 września 28 pp zajął swe pozycje nad Wartą, lecz wojsko było u kresu sił. Dzień wstał pogodny i niebo znów miało należeć do Luftwaffe. 91 kompania tankietek kapitana Krańskiego wycofała się za Wartę. Tankietki wkopano w ziemię czyniąc z nich nieruchome schrony bojowe. Przybyła wreszcie oczekiwana Kresowa BK. 6 pułk strzelców konnych podpułkownika Mossora patrolował w łuce między armiami „Łódź” a „Poznań”, ułani 20 i 22 pułków przeszli Wartę i operowali na zachód od miasta w tej samej nazwy stacją policyjną z czołowymi oddziałami niemieckimi. Piechota poprawiała swoje stanowiska, pogłębiała rowy strzeleckie i maskowała je starannie. Około południa obydwa pułki ułaskie cofnęły się na wschodni brzeg rzeki nie niszcząc mostów. Te były wprawdzie przygotowane do wysadzenia, przystosowane ich wysadzenia jednak rozkazu wysokiego dowódcy. Tymczasem tuż za tylną strażą polskiej kawalerii pojawił się niespodziewanie niemiecki oddział zwiadowczy — samochody pancerne i motocykle. Artyleria niemiecka położyła ogień na wschodni przyczółek mostowy. Zawiodły czaty 28 pp, cofnęły się nie niszcząc mostów. W obliczu wroga wjeżdżającego na most, specjalny rozkaz był niepotrzebny. Około godziny 18 niemiecki oddział szturmowy z działkami ppanc niespodziewanie opanował mosty niszcząc przewozy saperskie. Działło się to na oczach dowódcy 24 DP generała Olschichta.

A oto niemiecka relacja tego dramatu:

„Na wschód od miejscowości Warta ciągnie się szeroka na kilka kilometrów nizinna, po której rozlewa się pięć odnog Warty. Dla przeciwnika jest to wymarzony teren do

bitnym i sztuką nietatwą. Poza tym, w Łodzi, od czasu do czasu (szczególnie w piątek) bierzemy udział w zgadywance towarzyskiej: będzie czy nie (chleb, naturalnie, choć nie tylko), a jeśli będzie, to o której godzinie i czy dla wszystkich wystarczy. W Ostródzie i okolicy nikt takich emocji nie przeżywa. Niespodzianki nie zdarzają się. Jak twierdzą mieszkańcy: ani w sezonie, ani poza nim. Chleb, o którym ekspedientka powiedziała, że jest nie najświeższy.

wzbudziły w Łodzi sensację i podziw.

Nie ma kolejek w sklepach mięsnych! Nawet wtedy, gdy na ladzie leży szynka, poledwica, baleron, świeże apetyczne mięso i dobre kiełbasy. Może dlatego, że wymienione frykasy leżą codziennie. A może dlatego, że sprzedają i dostawiają po prostu tak zorganizowane, że nikt nie musi ustawiać się przed sklepem o północy, niepewny, co dowolą i rzucą. Nawet dla czasowiczów wyznaczono dwie godziny dziennie (codziennie) i w tym czasie można również kupić wszystko. Bez potwierdzania, stempowania, uwilarygodniania i rejestracji kartek. Prawdziwa Kanada. Aż wieść się nie chciało — a to prawda prawdziwa.

Obsługa sklepów jest niewiarygodnie uprzejma i sprawna. Nie zdarzyło nam się (a sąsiedzi czasami to potwierdzili) spotkać z opryskliwością, niegrzecznością czy choćby znudzeniem personelu sklepowego. A sprzedawczyń z małego wiejskiego sklepiku w Starych Jabłonkach (koło kościoła) mogłyby śmiało wziąć udział w — gdyby taki był — europejskim konkursie uprzejmości i szybkości obsługi klientów lub przynajmniej posłużyć jako przykład dla niejednej miastowej „damy” zza lady, które, we własnym przekonaniu, tylko przez pomyłkę sprzedają kisiel czy mydło, zamiast grać główną rolę w polskich produkcjach filmowych. Nie wiedzą, że (poza wynagrodzeniem) coraz częściej na jedno wychodzi. Poziom polskiego kina kojarzy się z byle jak zaopatrzonym sklepem i jeszcze gorszą obsługą.

BAR-BISTRO W OSTRÓDZIE

blisko przystani Żegluga Mazurskiej czynny jest od godziny 11.00. Jeśli jednak wejdziemy do środka pół godziny wcześniej, nikt nie jęczy, nie omdlewa z oburzenia, nie wyrzuca za drzwi i nie karze czekać, aż „bramkarz” — czółkiem na dwa palce i stożkiem w dłoni łaskawie zezwoli na zajęcie miejsca, by trzy krawędzie „wyglądać”, aż kelnerki skończą makijaż bądź leniwą rozmowę o „wezoraj”.

Tu odmiennie: uśmiechnięte i uprzejme dziewczyny szybko realizują zamówienia, jakby rozumiały wcześniejszą niż o 11.00 ochotę na herbatę i ciastko. A może nie znają się na zegarkach? Wybór jest bogaty: codziennie świeże i apetyczne kremy, galaretki, ciastka o różnych smakach, mrożona kawa. Jest i śmietanka lub mleko do kawy zwykłej — o co tak trudno w wielu miastach (w Łodzi też) i miasteczkach naszego mlekołajnego kraju. W barze-bistro zawieszony jest na ścianie napis: „zmieniajmy codzienność na przyjemniejszą”. Personel, sam, nie zmuszany przez nikogo ani odgórnie, ani inaczej, wymyślił go sobie, sporządził i umieścił w widocznym miejscu. Treść tego nietypowego hasła materializuje się między stolikami w postaci miłych i sympatycznych kelnerek, i oto mamy dowód (szkoda, że tak ich niewiele w ogóle), że słowa i czynny rymować się mogą, czyli, treść i forma (lub odwrotnie) potrafią żyć w zgodzie. Jakby tego wszystkiego było mało, w tym barze-bistro w czasie dyskoteki obowiązuje zakaz palenia tytoniu. I słusznie. Ktoś pomyślał o płucach tańczących młodzieży, bo ona sama o tym jeszcze nie myśli.

Mówiło się i mówi (choć coraz rzadziej, bo głowy słabną od daremnego walenia w mur), że stan szaleństw publicznych świadczy o kulturze społeczeństwa. Wobec tego, kultura Polaków jest... resztę niech dopowie sobie każdy, kto choć raz zmuszony był skorzystać z takiego obrzydliwego przybytku. Szczególnie na dworcach kolejowych. W Ostródzie i z tym jest inaczej. Szaleńcy dworcowi, aż trudno w to uwierzyć, nie tylko, że nie cuchnie — ale pachnie. Jakimś tanim dezodorantem czy inną perfumą — lecz jednak.

Poczta, której wesoła praca jest ulubionym tematem złośliwych felietonistów, funkcjonuje bez zgrzytów. Telegram z Ostródy do Opola „szedł” kilkanaście godzin, a przekaz telegraficzny z Radomia do Starych Jabłonek — półtora dnia. Pani z poczty zadzwoniła do naszego ośrodka, do kierownika i zawiadomiła, że nadeszła przesyłka dla czasowiczów. Ponieważ był piątek po południu, listonosz skończył pracę, a przed nami dwa święteczne dni, pani pomyślała, że być może, to coś ważnego i czekać do poniedziałku nie powinno. Nie musiała tego robić, a zrobiła.

Ktoś powie: no, dobrze, Ostróda to niecałe 30 tysięcy mieszkańców plus turyści i czasowicze, więc łatwiej tu dobrze rzadzić niż w milionowej Łodzi. Otóż, nie jest to prawda, a tym bardziej usprawiedliwienie. Znam bałaganiarstwo instytucji, gdzie pracuje tylko 100 lub 200 osób. Ba, niekiedy dwuosobowa rodzina (niektórzy twierdzą, że rodzina to najmniej trzy osoby) nie potrafi zorganizować sobie życia przez cały czas jego trwania. Wszystko zależy więc od ludzi.

A taka ich postawa w tej właśnie okolicy zastanawia swą zgodnością. Czyżby mieszkali tu sami ofiarni, oddani, prawidłowo pojmujący swe powinności? Czy to „wina” tradycji dobrej pracy na tych terenach? Czy wreszcie prawidłowa rola „ojców i matek” tej pięknej krainy? A może wszystkich po trochu? W każdym razie, przyjemnie na własnej skórze odczuć, że może być normalnie, w naszym pokretnym, pełnym trudów i niedostatków życiu. Zastanawia jednocześnie, że w tym samym kraju, lecz w innych jego rejonach, o te elementarne cząstki egzystencji tak trudno. Tak wiele złośliwych przeciwności losu i trudności obiektywnych staje na drodze chcących z całym świadomym zaangażowaniem, by było lepiej, dostatniej, dobrobytnej. Biedacy. Ale to wyłącznie wina wiatru, bo on im zawsze w oczy...

Ośrodek łódzkiego „Chemiteku” w Starych Jabłonkach (6 km od Ostródy) śmiało można polecić jako wzór dla innych. Jego wygląd — rozlokowany wśród wiekowych drzew starego lasu, świetnie zorganizowany i wypocowany po wojskowemu — sprawił, że moja żona złapała się najpierw za głowę

A ZARAZ POTEM ZACZĘŁA ZAMIATAĆ LAS.

Z trudem udało mi się ją przekonać, że zbytnia gorliwość w wyręczaniu przyrody nie zawsze wychodzi jej na dobre. Codziennie sprzątane, myte i odkazane sanitariaty, zamiatane i grabione ścieżki (wszystko to robione, gdy goście ośrodka jeszcze śpią), aktualne i wszechstronne informacje na specjalnej tablicy, fachowe i szybkie zakwaterowanie i wykwaterowanie, uprzejmość, takt i kultura — to cechy i zalety kierownika ośrodka, pana Królikowskiego i jego małżonki. Dyskretnie niewidoczny, pojawiał się jednak natychmiast, gdy był potrzebny. W ciągu miesiąca (dwa turnusy) żaden z mieszkalców ponad 20 domków 4-osobowych nie zgłosił skargi ani pretensji. Wręcz przeciwnie: słychać było jedynie pomruki zadowolenia i głośne pochwały.

Nad naszymi głowami pokiwały nocami puszczyki — stali, nie sezonowi, jak my — mieszkańcy lasu. Oczywiście Szeląg Mały — jezioro pełne ryb (na dwa metry w głąb widać piękną podwodną puszcę) połączone kanałem z równie czystym Szelągiem Dużym, płacowo wodne: perkozy, czaple siwe, a nawet czarny kormoran — tak malowane otoczenie stanowiło nasz „codzienny chleb”.

Zeby jednak zmazać trochę ten rajski obrazek, wybierzmy się na drugi brzeg.

KOŁO WIOSKI STASZKÓW.

wyznaczono miejsce turystom indywidualnym czyli niezorganizowanym. Stamtąd prawie każdego wieczora dochodziły (stłumione na szczęście) ryki i wrzaski pijackie. Dzielne ogledziny obozowiska wpędzić by mogły co wrażliwszych pięknoduchów w głęboką depresję, a u mniej wrażliwych wywołać odrę. Samochody, motocykle z różnych stron kraju, namioty i koce opalających się otoczone były stertami śmieci, gnijących odpadków, opakowań, potłuczonych butelek, puszek po konserwach, czyli dowodami kontaktu tych ludzi z cywilizacją. Zdaje się — jedynymi dowodami. Cóż, wielu niekiedy lubią odpoczywać na śmietniku. Może to ich naturalne otoczenie na co dzień?

W nieodległej stacji wodnej PTTK, do wielkiej stołówki, gdzie można zjeść smaczny i tani (150—200 zł) obiad, przytuliła

Pływanie po łące

się mniejsza nieco kawiarenka. Gdy syci i zadowoleni turyści wychodzili „z obiadu” radzi by napić się herbaty lub kawy z ciastkiem, pani kawiarenkowa zamykała swój lokalik i szparko biegła na obiad, miał powiększać utarg dzienny placówki. Wczasowicze rozczarowani odchodzili do swoich domków bądź nad jezioro, a gdy opustoszało przed kafejką, pani, posłona, wracała na swoje „śmietki”, by nudzić się jeszcze przez kilka godzin, sam na sam z pustą salą. Tak było codziennie. Dlaczego? — tego nie wie nikt.

Sama stacja — to swego rodzaju zabytek: zbudowana w 1956 roku, do dziś przetrwała w swej pierwotnej postaci. Smiesznie i archaicznie wyglądają dawne małe domki campingowe — jak ze starej bajki rosyjskiej — pobielone wapnem kamienne podstawy i trzcinowa strzechy na spadzistych drewnianych dachach. Powodzenie jednak cieszą się dużym i w sezonie chętnych jest więcej niż miejsc.

Prawdziwym natomiast zabytkiem, o którym pewnikiem większość rodaków nie wie, jest

KANAŁ ŻEGLUGOWY OSTRÓDA — ELBLĄG.

a właściwie jego fragment, unikat w skali światowej, 81-kilometrowy rejs statkiem spacerowym trwa 11 godzin. Płyniemy siatką kanałów z prędkością 8 km/godz. „Przeskakując” jeziora zwiększamy ją do 18 km/godz., szybkie stateczki nie pływają. Za jedyną 510 zł mamy moc atrakcji: pokonujemy po drodze, ocierając się o ściany, dwie śluzy, pięć pochylni, przeprawiamy pod kilkoma mostami. Pod niektórymi ledwie się mieścimy, sterówka na szczęście jest opuszczana. Rzeźbę powietrza owiewa twarz, wspaniale widoki cieszą oczy, czyste powietrze, świeżość niezłazzonej ilości ptactwa w nadbrzeżnych krzakach i drzewach — słowem — pełny relaks i fantastyczna, żeglarska przygoda.

Kanał jest niemal prehistoryczny. W 1860 roku popłynęli nim pierwsi statki. Zanim to się stało, inżynier J. J. Steenke długo nie mógł uzyskać poparcia dla swego projektu. Po długich zabiegach uzyskał audiencję u króla pruskiego Fryderyka Wilhelma I i w jego osobie uzyskał poparcie. Należy dodać, że króla przekonały nie argumenty natury gospodarczej, lecz stwierdzenie Steenkego, że nikt na świecie nie posiada podobnej budowli. A znaczenie gospodarcze było kapitalne: kanał skracał pięciokrotnie szlak handlowy do Włoch i Bałtyku z Pojezierza Iławskiego. Trudność polegała na tym, że na odcinku 9,6 km różnica poziomu wód wynosiła 104 metry. Te różnice pokonywać się musiało za pomocą unikalnych pochylni. Można śmiało powiedzieć, że są światową sensacją — jedyną do przypadku, gdy statek „pływie” po łące. Takie same urządzenia są w Holandii i Kanadzie, ale tam niezwykłe, podziwiane jako eksponaty w skansenach. Specjalne makieły objaśniały turystom na czym rzecz polega.

Nasze urządzenia działają jakby miały 30 lat, a nie 130 — i to też jest sensacja. Ciekawe, w jakim stanie będą za 130 lat dzisiejsze budowle, o ile w ogóle będą.

Na odcinku pomiędzy miejscowościami Buczyńcem i Całuny Nowe spadek terenu wynosi 100 m. W celu pokonania tego spadku zbudowano pięć pochylni. Każda z nich przenosi statek lub inne urządzenia pływające do niższej położonej pochylni, prowadzącej do następnej pochylni. I tak pięć razy na odcinku 9,6 km.

Jak ta przedziwna przeprawa wygląda?

Otóż: dopływamy statkiem do pierwszej pochylni. Widać tam wychodzące z wody dwie pary szeroko rozstawionych szyn, zbliżających się do siebie górkę do niższej położonej przekopu. Statek wpięty pomiędzy dwie wystające z wody barierki, przypominające górę drabiniastego wozu. Po przymocowaniu go linami do tego urządzenia, na sygnał gongu, zaczyna się poruszać się wielkie koła na podmurówkach i „wóz drabiniasty” a wraz z nim statek — rusza. Po chwili wynurza się z wody platforma będąca ośmiokółowym wagonem, wzdłuż której, pomiędzy barierkami, spoczywa statek. Po całkowitym wynurzeniu się z wody, platforma ze statkiem wjeżdża po szynach na górkę i zjeżdża do następnego przekopu (kanału). W połowie drogi wagon-platforma mijają drugie takie urządzenie, jadące w przeciwnym kierunku. Oba wagony ciągnie gruba stalowa lina stanowiąca obwód zamknięty. Linę wprowadza w ruch położona w górnej części pochylni maszyna, przewijająca ją na wielki bęben. Po osiągnięciu dolnej części przekopu wagon wjeżdża do wody na taką głębokość, aż statek oswojony z pięć uniesie się z platformy i może płynąć dalej samodzielnie. Siłą napędową dla maszynowni jest woda. Doprowadzana z przekopu rurociągiem do specjalnego zbiornika, z którego po otwarciu zastawki opada na znajdujące się na zewnętrznej budynku koło wodne o średnicy 8 metrów. Woda napelnia jednocześnie trzy jednostkowe łopatkę obracając w ten sposób koło wodne, a razem z nim i mechanizm wyciągowy. Spływająca z koła woda odprowadzana jest za pomocą tzw. kanału roboczego do niższej położonej odcinka, do następnej pochylni, co znaczy, że ta sama woda napędza wszystkie kolejne urządzenia. Prastara konstrukcja — a może być przykładem oszczędnej gospodarki, i, jak dziś by się powiedziało, wykorzystania rezerw.

Wszystkie te manewry obfotografowane są z każdej strony przez krajowych, ale głównie cudzoziemskich turystów. Najwięcej ich przy pochylni Buczyńcem, bo tam najłatwiej dojechać drogą lądową. Pasażerami statków są w 2/3 również cudzoziemcy, głównie turyści z RFN. Wrażenie jest niebywałe i na długo zostanie w pamięci.

Mając tak niespotykane, jedyne w świecie czynne urządzenie, wyda się oczywiście każdemu zdrowo myślącemu człowiekowi, że jest ono „złota żyła” i „oczkiem w głowie” nie tylko regionalnych speców od organizowania ruchu turystycznego. Nic bardziej mylnego.

Oddajmy jednak głos Janowi Królowi, pracownikowi pochylni, który towarzyszy nam podczas jazdy przez pięć urządzeń, czuwając nad bezpieczeństwem przeprawy:

— „Ze Niemca” były kłoski ze słodyczami, piwem, jedzeniem, itd. Teraz miejsca te (pokazuje nam, gdzie to było) porastają gęste i wysokie krzaki. Można było zejść ze statku, wypożyczyć konie i powóz i jechać do którejś z następnych pochylni, wzdłuż kanału, na przejażdżkę i tam konie z powozem oddać. Gdy dyrekcja Kanału Elbląskiego i pochylni była w Poznaniu (dobrze, że nie w Ustrzykach Dolnych czy Nowym Targu — przyp. MK), to ani my nie widzieliśmy dyrektora ani on nas. Nie tylko nas, ale i niezbyt dobrze wiedział, o co z tym kanałem chodzi i jak on wygląda. Dlatego dyrekcji nic, a nie nie obchodził. Ale co tam dyrektor: nie wszyscy mieszkańcy odległego od pochylni o 7 km Pasłęku orientują się, że coś takiego istnieje. Nie ma żadnej reklamy. Dwie minuty w telewizji rocznie i to w programie lokalnym, to jednak trochę za mało. Gdy przeszliśmy pod dyrekcję gdańską, coś się ruszyło. Zwołano władców gmin leżących nad Kanałem. Postanowiono zagospodarować brzegi przy pochylniach: tworzyć kioski, sklepiki, małą gastronomię, by i „za Polaka” nie było gorzej niż kiedyś. Zabytki — (chodzi o PKZ — przyp. MK) dały wielkie pieniądze na inwestycje związane z pochylnią. Podniesiono już, i jeszcze się podniesie, opłaty za przejazd. Do niedawna za wagon brano 30 zł. (a na nim np. 16 kajaków, to mniej niż 2 zł. za kajak), teraz 100 zł. To są śmiesznie niskie sumy, nijak nie przystające do wartości złotych.

To wszystko bardzo piękne, ale jakoby trochę za późno. Albowiem:

— „Łabędź”, którym płyniemy — mówi członek załogi, pan Krzysztof z czarną brodą — ma 23 lata. Inne statki po około 25 lat. Są więc również zabytkowe. Na zbudowanie nowych czekać trzeba latami. Niedługo te, które są, pójdą na złom. A na nowe nie ma nawet projektów. Kiedyś podobno były, ale się zmyły. A więc, gdy wyłomuje się obecne jednostki, żegluga turystyczna „biała flota” po Kanałe ustanie. Pozostaną turyści indywidualni: kajakerzy, właściciele jachtów, żaglówek, motorówek.

Pytam pana Krzysia, dlaczego nie ma rejsów z Ostródy do Staszkowa (to też część Kanału Elbląskiego), z dwoma śluzami (Ostróda i Mała Ruś) i tunelem łączącym Duży i Mały Szeląg. To przecież połowa śluz na kanał. A wszystkie one

ZABYTKOWE I MALOWNICZE,

o wielkich walorach widowiskowo-turystycznych.

— Ktoś kazał dospawać do burt metalowe listwy ochronne, choć do tej pory bez nich było wystarczająco bezpiecznie. No i statki nie mieszczą się w śluzach. Są za szerokie. A teraz nie ma komu pomyśleć, by naprawić błąd. Wystarczy przecieć zamocowane śluzarza, żeby odpawały listwy, lecz na to się nie zanosz. Tak to piękny szlak wodny szlak trafił.

A przewodniki z całą beztróską zachęcają ludność do korzystania z przejażdżki wodnej, podając nawet godziny nie istniejących rejsów.

Przed Elblągiem wpływamy na jezioro Drużno, które jest w stadium zarastającego bagna, tworząc istny raj dla ptactwa wodnego. W porze letniej, zwłaszcza w okresie posuchy, powierzchnia jeziora niemal całkowicie zanika. Płyniemy przez jezioro pogiębionym korytem.

Przez 11 godzin można porządnie zgłodnieć. Na statku jest wprawdzie bufet, ale poza pepsi, herbatą czy kawą, na nic więcej nie można liczyć. Sanepid nie zgodził się na przyrządzanie i podawanie gorącego jedła mimo iż jest odpowiednio zapieczone. Lepsze nawet niż w wagonowych bufetach WARS, gdzie można zjeść, byle co na ogół, ale „gotowane”.

W Elblągu kończymy rejs. Żegna nas sympatyczna, młoda załoga. Podróż powrotna do Starych Jabłonek i Ostródy trwa (z trzema przesiadkami) 9 godzin — jesteśmy na miejscu o trzeciej w nocy. Mimo, iż statek przybył z lekkim wyprzedzeniem, wszystkie pociągi i autobusy uciekały nam sprzed nosa. I tu by warto coś zmienić dla wygody turystów, przynajmniej w sezonie. Dorobili dadzą sobie radę, ale dzieci... A tych jest sporo na każdym rejsie. Ponieważ jednak weszliśmy na teren łaznien królestwa PKP, sami nie wierzę w żadne korzystne dla pasażerów zmiany.

Koniec wakacji coraz bliżej. Jeszcze odwiedzamy Gietrzwałd — swany mazurską Częstochową, gdzie w 1877 roku objawiła się Matka Boska na klonie, a naprzeciwko bazyliki mieści się księgarnia czynna od 1878 r., założona przez poetę mazurskiego Andrzeja Samulowskiego i prowadzona do dziś przez członków jego rodziny. W tym samym domu co księgarnia, sto lat temu, w 1888 r. powstał pierwszy numer „Gazety Olsztyńskiej”, dziennika ukazującego się i dzisiaj.

Jeszcze tylko Grażyny, dawne Grażnice, „ostatni przystanek do piekła”, jak mawiają tubylcy, gdzie spotykamy rdzennych Mazurów, uważanych przez napływowych Polaków za Niemców, obrzucanych kamieniami i obelgami. A oni nie chcą wyjeżdżać na Zachód, bo tam nigdy nie czuli się Niemcami, mimo że tu, co przynajmniej z goryczą, nie są traktowani jak Polacy. Najmłodszy syn tylko mieszka w Niemczech, ale tych „naszych” — wschodnich.

Nieco dalej okazały pałac von Steinów (którzy odwiedzają swą dawną siedzibę regularnie) przyciągał ludzi umysłowo chorych. Zwiedzamy wnętrza, które zna Andrzej, mój teść, bo w tej okolicy się wychował. Stwierdzamy, że piękne stare piece budowane z holenderskich, ręcznie malowanych, bardzo cennych kafli zamalowano na centymetr grubo szaroburą farbą olejną. Tylko ten, w gabinecie pani dyrektor, zachował dawną świetność. Poza tym, wszystko normalnie.

Czas wracać do Łodzi. Przysiadkę mam w Małborku. Czekam godzinę na pociąg. Wchodzę do kawiarni dworcowej, która przylega przez ścianę do restauracji. Jest nawet wewnętrzne przejście dla pasażerów. Długi bufet wspólny dla obu lokali, wspólne umywalnie, zlew, sztućce, talerze, szklanki. Tylko obsługa inna tu i tam. Pewnie dlatego w kawiarni trzeba płacić za szklankę 100 zł kaucji. A w restauracji — nie. Być może, że za tę samą szklankę. Osobliwie.

To znak, że należy wrócić do „normalności”, zacząć czuć się jak u siebie, choć do Łodzi jeszcze 300 kilometrów.



Plac Trzech Kultur

ze str. 1

Chwyt odwetowy

(Korespondencja z Meksyku)

cyjnie wysokiej cenie. Placił bez mrugnięcia powieką dolarami. W Shannon, gdzie ceny były jeszcze wyższe i nie miały doprawdy nic wspólnego ze statusem wolnocłowym, wypełnił sobie czas oczekiwania na kolejny start dwudniowym kuflem piwa. Zachował przy tym absolutną trzeźwość i spokój. Nie wypuszczał z ręki małej, czarnej, prostokątnej aktyówki, która kiedyś była atrybutem dyplomatów, teraz zaś korzystała z niej powszechnie świat urzędniczy i macherzy estradowi. Podczas dziewięciogodzinnego lotu przez Atlantyk trzymał ją na kolanach. Spał. Wciąż w tej cieniutkiej koszulce. Dreszcz ciągnął po krzyżu, kiedy się na niego patrzyło. Ocknął się przed Hawaną. Mrugnął do mnie:

— Co jest, panie Andrzeju?
— Kuba. A panu jak na imię?

Zastanowił się chwilę i powiedział:

— Roman.
Nie uwierzyłem. Dałem jednak wiarę, że jedździ w Polsce mercedesem, że pracował w Stanach, że zna pół świata i że był z Orbisem na piłkarskich mistrzostwach w Hiszpanii. Futbol jednak nie interesował go szczególnie. Och, Boniek, Diego Maradona... Mają na pewno kupę pieniędzy. Ale człowiek nigdy nie ma tyle pieniędzy, żeby nie chciał mieć ich więcej. Weźmy na przykład tego oszusta...

Opowiedział mi swoją męską, precyzyjną polszczyzną historię, w której brał bezpośredni udział i która znana jest organom ścigania. Otóż zamieścił przed mieszkaniem ogłoszenie w wojewódzkim dzienniku, że kupi bony. Przez trzy tygodnie nikt się nie zgłaszał. Potem, któregoś wieczoru, zadzwonił telefon. Wymodulowany głos po drugiej stronie przewodu zapisał, czy sprawa jest aktualna. Roman — nie Roman, tak go w każdym razie będę nazywał, odpowiedział:

— Owszem.
— Muszą być koniecznie bony?

— Niekoniecznie.
— Gdzie mogę się z panem spotkać?

— U mnie w domu.
— O której?

— O ósmej.
— Będę — zapewnił wymodulowany głos i odłożył słuchawkę.

Przyszła ósma. Skończył się akurat dziennik telewizyjny i niemal w tym samym momencie zaterkotał dzwonek. Nie był to jednak dzwonek na drzwi, tylko dzwonek telefonu. Wymodulowany głos przeproszał, że nie mógł zjawić się w porę, ale ma drobne kłopoty z samochodem, więc jeśli łaskawy gospodarz pozwoli, przybędzie za dwie godziny, o dziesiątej.

Łaskawy gospodarz pozwolił, dzięki czemu spotkanie odbyło się w tym samym momencie zaterkotał dzwonek. Nie był to jednak dzwonek na drzwi, tylko dzwonek telefonu. Wymodulowany głos przeproszał, że nie mógł zjawić się w porę, ale ma drobne kłopoty z samochodem, więc jeśli łaskawy gospodarz pozwoli, przybędzie za dwie godziny, o dziesiątej.

Łaskawy gospodarz pozwolił, dzięki czemu spotkanie odbyło się w tym samym momencie zaterkotał dzwonek. Nie był to jednak dzwonek na drzwi, tylko dzwonek telefonu. Wymodulowany głos przeproszał, że nie mógł zjawić się w porę, ale ma drobne kłopoty z samochodem, więc jeśli łaskawy gospodarz pozwoli, przybędzie za dwie godziny, o dziesiątej.

Łaskawy gospodarz pozwolił, dzięki czemu spotkanie odbyło się w tym samym momencie zaterkotał dzwonek. Nie był to jednak dzwonek na drzwi, tylko dzwonek telefonu. Wymodulowany głos przeproszał, że nie mógł zjawić się w porę, ale ma drobne kłopoty z samochodem, więc jeśli łaskawy gospodarz pozwoli, przybędzie za dwie godziny, o dziesiątej.

Łaskawy gospodarz pozwolił, dzięki czemu spotkanie odbyło się w tym samym momencie zaterkotał dzwonek. Nie był to jednak dzwonek na drzwi, tylko dzwonek telefonu. Wymodulowany głos przeproszał, że nie mógł zjawić się w porę, ale ma drobne kłopoty z samochodem, więc jeśli łaskawy gospodarz pozwoli, przybędzie za dwie godziny, o dziesiątej.

kowana operacja liczenia. Roman był jak gdyby lekko zawiązany, wyczuł bowiem pod palcami arcydzieło. Zorientował się również, że przybysz rachuje złotówki od niechęcia walcząc z pokusą, aby czym prędzej wpakować je do kieszeni.

Gracz z tego Romana! Zapytał niewinnie:

— Zgadza się?
— Zgadza — odpowiedział skwapliwie gość.

— A mnie się zdaje, że się trochę przeczuliem — stwierdził z ubolewaniem Roman. — Pan pozwoli... Zwrócił nieznanemu plik dolarów i wyciągnął mu z zeszytniałych rak złotówki, że to niby musi być policzyć jeszcze raz. Następnie podszedł do drzwi, przekreślił klucz w zamku i zawołał żonę.

— Poczęstuj pana herbatką — powiedział.

— Dziękuję, nie mam czasu — zaproponował gość.

— Spokojnie, to nie potrwa długo. Zadzwonię i oni zaraz tu będą.

— Kto?

— Milicja.

— Pan zwałował!

— Nie. Pańskie dolary są bardzo ładne, ale fałszywe.

— Bzdura! — Dżentelmen, w którego milym głosie pojawiły się nagle tony historyczne, ruszył do wyjścia i szarpnął za klamkę. — Proszę mnie natychmiast wypuścić!

— Nie.

— Jak to, nie?

— Bo nie. Zał mi pana, ale nie mogę pozwolić, żeby zaraza rozpełzła się po kraju. I niech pan zostawi klamkę w

spokoju. Niech pan sobie na mnie dobrze popatrzy i nie zmusza mnie, abym użył siły.

Facet popatrzył sobie dobrze na pana Romana i mimo wszystko zaczął walić pięściami w drzwi:

— Ludzie, na pomoc! Mordują!

— A wrzeszcz, pan sobie — mruknął Roman. Miał już przy uchu słuchawkę i wykręcał znajomy numer. — W tym domu cieszę się niezłą opinią i nikt panu nie uwierzy. Halo? Zanotujcie adres, obywatelu. Jest tu u mnie pod kluczem ptaszek z fałszywymi dolarami.

Opowieść brzmiała sympatycznie. Krepy i groźny zapewne w konfliktowych sytuacjach Roman zademonstrował niezwykle społeczną postawę i charakter zasługujący na szacunek w każdym ustroju i w każdym kraju. Strach pomyśleć, ilu ludzi mogłoby zapłakać, gdyby pojawili się z fałszywymi pieniędzmi w bankach, w sklepach Pewexu, na granicy i tak dalej. Nie obeszłoby się chyba bez aresztowań — pół biedy w Polsce, ale w takiej na przykład Grecji czy Turcji więzienia są koszmarnie.

Uściskałem zatem w milczeniu mocarną dłoń pana Romana. Samolot wylądował w Hawanie. Kilkunastu pasażerów wysiadło, ktoś się dosiadł i polecieliśmy dalej, aby w dwie godziny później ujrzeć stolicę Meksyku. Pilot radzieckiego odrzutowca otrzymał za służbą porcję braw, stewardesy pożegnały nas miłymi uśmiechami



15 września. Święto Niepodległości

zniku moją torbę. Wtedy wyrasta spod ziemi Roman. Coś porusza mnie w jego wyglądzie. Wciąż jest w tej cienkiej sportowej koszuli bez rękawów. W dłoni czarna prostokątna teczka i nic więcej — żadnej walizki, żadnego tobołka, gdzie można by ewentualnie schować ręcznik i sweter.

Podjeżdżam przez moment, że zostawił bagaż w dworcowej przechowalni. Ale nie miał przecież na to czasu. I jaki byłby w tym sens? Nie zna języka, nie zna miasta; każdy dodatkowy kurs na dworzec to wydatki i ryzyko. Tak czy owak, powstrzymuję się od komentarza. Milczy również Jan Szeszeń. Jedziemy. Patrzę ze ściśniętym sercem na przerażające skutki ubiegłorocznego trzęsienia ziemi. Niektóre domy i dzielnice wyglądają tak, jakby przeleciała nad nimi eskadra hitlerowskich bombowców. Ale Roman nie zwraca na to uwagi. Pyta:

— Gdzie jest ambasada amerykańska?

— Na Paseo de la Reforma przy Posąg Niepodległości — odpowiada Jan Szeszeń. — Zaraz będziemy tamtędy przejeżdżać. O! Widzi pan? To ten duży, biały budynek. — Jednocześnie pokazuje nam trzy inne, czterdziestopiętrowe budynki w różnych punktach miasta. Najwyższy z nich, to Petroleos Mexicanos (siedziba władz państwowego przemysłu naftowego, który jest dumą narodu i wedle licznych obwieńszeń stanowi własność wszystkich Meksykanów). Na drugim miejscu stoi hotel Mexico, prywatny, ale z udziałami państwowymi (jego budowa, choć ciągnie się od wielu lat, nie została jeszcze ukończona), a na trzecim Torre Latinoamericana z zegarem świetlnym u szczytu. Wedle tych trzech kolosów można jakoś zorientować się w dwudziestomilionowej metropolii.

Szukamy hotelu w okolicach Zona Rosa. Stoleczna prasa twierdzi, że jest to obok Placu Garibaldi, najbezpieczniejszy rejon Meksyku. Mord, złodziejstwo, rabunek, alkoholizm, narkomania. Później miałem przyjemność chadzać tamtędy nocami i nie spadł mi z głowy włos. Może po prostu sprzyjało mi szczęście, a może po prostu nie byłem taki roztrągniony jak kilku naszych dziennikarzy sportowych — ledwo który wyszedł na ulicę, z miejsca ginął mu paszport, pieniądze, bilet, lotnicy lub klucz. Strzeliste hotele w sąsiedztwie Zona Rosa były drogie, przebieśliśmy się zatem w dzielnicy wielkich rzek. Rio Lerma, Rio Amazonas, Rio Parana — pięknie brzmią te hiszpańskie nazwy. Roman pyta:

— W którym mniej więcej kierunku jest ambasada amerykańska?

Szeszeń, spoczywający obok szofera na przednim siedzeniu, odwrócił głowę i obejrzał sobie Romana starannie.

— W tamtym — powiedział wystawiając rękę. — Trzeba przeciąć Insurgentes i skręcić w prawo, w Reformę. Ambasada znajduje się przy Antiołkach.

— Aniołki to Posąg Niepodległości? — zapytałem.

— Tak.

Kołowaliśmy wąskimi uliczkami od hotelu do hotelu. Stanęliśmy wreszcie przed takim, który odpowiadał kondycji delegacyjnego Polaka. Nie było w nim niestety miejsc. Uprzejmy patron oświadczył, że powinien zwolnić się o trzeciej jakiejś pokój, więc jeśli

chcemy, może wciągnąć nas na listę oczekujących. Chcieliśmy. Podałem mu swoje nazwisko, a Roman z rozpędu też się przedstawił. Okazało się później, że nie skłamał, hotelarz wpisał jednak do książki tylko mnie.

Wróciliśmy na ulicę. Roman nie odczuwał do nas wstrętu i zamierzał najwyraźniej towarzyszyć nam w dalszej wędrówce. Szedł do samochodu. W lewej dłoni trzymał czarną, prostokątną teczkę, prawą wycołował w miejski gąszcz.

— Więc mówi pan — zwrócił do Jana Szeszenia — że do ambasady amerykańskiej można dojść tamtą ulicą?

— Można — przytaknął sucho Szeszeń.

Byłem wściekły. Roman zauważył to natychmiast i zaczął się głupio tłumaczyć.

— Dobrze wiedzieć, gdzie jest ambasada amerykańska, bo wszyscy ją znają i łatwo stamtąd wszędzie trafić.

— Niewątpliwie — przytaknął znowu Szeszeń. I dodał: — Przykro mi, ale teraz będziemy musieli pana pożegnać. Pan Makowiecki ma umówione spotkanie w ambasadzie... polskiej.

Roman przyjął to ze stoickim spokojem.

— Zrozumiałe — powiedział. — Do widzenia.

— Do widzenia.

Zostawiliśmy go na zatłoczonym chodniku w dzielnicy wielkich rzek. Rio Lerma. Zawsze będę pamiętał tę ulicę. Samochód utknął w korku niedaleko Pomnika Matki. Jan Szeszeń pytał:

— Kim jest ten człowiek?

Ocenzurowałem Romana entuzjastycznie:

— Kiedyś pracował jako asystent trenera w sporcie ciężkim. Obecnie dużo podróżuje, a w wolnych chwilach tropi oszustów.

Szeszeń pokiwał lekko głową i szepnął:

— On będzie się przeprawał.

Sens nie dotarł do mnie w pierwszej chwili.

— Przeprawał?

— Tak.

— Gdzie?

— Do Stanów Zjednoczonych.

— Którędy?

— Przez Rio Bravo.

— Pan żartuje...

— Nie podobnego. Jest jednym z tych, którzy nie otrzaskali w Warszawie wizy amerykańskiej i muszą skorzystać z usług meksykańskiego kojota. Łatwo poznać ich już na lotnisku, bowiem mają przy sobie tylko mały podręczny bagaż.

— Sądzi pan, że Polaków stać na takie szaleństwo?

— Nie sądzę, tylko wiem. Niektórym się udało, ale większość wpadła. Aresztowania, deportacje i jeszcze gorsze tragedie. Zna temat ambasada, interweniująca często w tych sprawach.

— Szokujące. Ciekawe, czy konsulat zechce o tym z mną rozmawiać.

— Załatwię to panu — przyrzekł Jan Szeszeń.

Podziękowałem. I pomyślałem, że za wszelką cenę muszę znaleźć w Meksyku Romana.

C.D.N.

ANDRZEJ
MAKOWIECKI



Stadion Azteca

pechylili się wieże kościelne
wyciągając ręce do jeziora
pechylili się spragnione wody
spragnione swojego widoku
przesuwającego się jak litewka dębiana
cicho wśród trzcin

nie powinno się pisać wierszy
kiedy nie można wyrazić w słowach
zapachu drzew nad jeziorem
gdy kończy się smierchem upalny dzień
niebo przesuwające palce swoich dłoni
na brzeg kuli
i nad głowami kwitną rękawy
granatowej szaty przesiwory

samieszkałem w starym klasztorze kamedułów
mały erem stojący przy murze
na niewysokim wznieśieniu — półwyspie
wbijającym się w jezioro
stał się moim domem
teraz czekam na smierć
choć zobaczyć gwiazdy spragnione wody
zanurzone w niej po same uszy
choć słuchać odgłosów jeziornego smroku

drewniane pale pomostu
wbite w dno dla pewności
że jezioro nie odpłyne
las rozsiadł się na brzegu szeroko
jak chłop w gumniakach
na skrzynce cebuli
szumi coś sobie czego nie rozumiem
czuję jego zapach
i to mi wystarczy

ostatni autobus do wieczności
dawno już odjechał
a my wciąż na coś czekamy
kwiaty polne w wazonie
nie znam ich nazw
ale i one nie o mnie nie wiedzą
tak jest lepiej
możemy podziwiać się wzajemnie bez uprzedzeń

woda zmaczona przez moje ciało
rozgrzana ruchami rąk i słodczym
płynem do niego
ale to podobne nie w tę stronę
nawracam
i woda jest jeszcze bardziej mętna

Mówiła o miłości
jak o wieszaniu parchatego kundla
na starym zardzewiałym drucie

chcę rozgryźć jabłko czerwonych klasztornych
dachów
leżące wśród słońca otulającego brzegi
zielonymi kolumnami wodorostów
u ramion

pozostało mi po tobie wspomnienie
plaszczystej drogi
i włos który zaplątał się gdzieś
w ubraniu

Stół uginął się pod ciężarem chleba
— to dobrze że nóż
leżący z boku bochenka
służy tylko do dzielenia na kromki

trzciny kryją gniazda dzikich kaczek
i otulają brzegi zielonymi kolumnami
z pajęczynami wodorostów u ramion

okno wychodzące na szary mur
na którym nie można dojrzeć
nawet cienia człowieka

Jabłko czerwonych klasztornych dachów
leżące na błękitnym obrusie jeziora

przycupnęły światłaki
pod murami z klasztornej cienia
przysiadły fraszolki
spoglądając na spłowiały dzień
myślą o galejach
które mogłyby szumieć
nad ich zdrewniałymi głowami

Obywatelu Pankracy
nie szukajcie gwiazd na niebie
one są tuż tuż

Młodość zamienia się w nienawistę
słońce zachodzi
kwiaty więdną
a więc...
śnią poezję

w oknie pokoju pajęczyna
może nikt nie wyglądał przez nie
od stu lat?

Kobietom gdy mówią
śmiesznie porusza się koniec nosa
tak jakby
obwachiwały swoje słowa

zbyt wcześnie zacząłem szukać
siebie sprzed lat
mam ich dwadzieścia kilka
ale pamięć moja obciążona jest ponad miarę
— mówią że to dobrze —
poznajesz siebie
widzisz czarne i białe strony
swojej podróży po życiu
ale ja do cholery
mam dopiero dwadzieścia kilka lat!
coraz częściej zawroty głowy
i bóle sumienia

Pracę nad pięcioksięgiem „Młyn Boże” rozpoczął Kazimierz Truchanowski w połowie lat czterdziestych. Cykl ujrzał światło dzienne w latach sześćdziesiątych, a uzupełniony został o tom czwarty dopiero w połowie lat osiemdziesiątych. Opuścił go pracownik pisarski, a pierwszy poprzedzony został słowem wstępnym, z którego można się było dowiedzieć, iż „Młyn Boże” pokazuje „świat dziwny, ale wcale nie dziwniejszy od rzeczywistości”. W świecie powieściowym poczuć tragizm istnienia towarzyszy chęć przeniknięcia tajemnic wszechświata, a więc metafizyka spłata się z gnozą i teologią w nierozróżnialny węzeł.

W twórczości Kazimierza Truchanowskiego — nie tylko przecież w „Młynach Bożych” — owymi straszdykami okazują się niezmienne: bankructwo zdrowego rozsądku; koszmarny instytucjonalizm (jak u Kafki); nieunikniona cywilizacja, a zarazem jej katastroficzny determinizm; utopia wszechogarniającego ładu dla świata i ludzkości, niemożliwego do osiągnięcia również w wymiarze jednostkowym; w ślad za tym poczucie osaczenia jednostki oraz syzyfowy trud ukształtowania bezkonfliktowej zbiorowości odrębnego, ponadczasowego Miasta. Truchanowski chętnie korzysta z symboliki: Adam reprezentuje człowieka w ogóle, zaś Oleciek staje się być emanacją pierwiastka intelektualnego, który w końcu okazuje się mało przydatny. Tak więc w swej ufanastyzmie podróży przez życie bohater „Młynów Bożych” zdaje się musi wyłączać na siebie, dokładnie — na subtelne wyczuć problematyki etycznej. Dwie zwłaszcza cechy — ufnosć i męstwo — pozwolą mu w końcu prze-

brnąć przez liczne pułapki Nocy, która zapanowała w Mieście. Jego zwycięstwo, okupione moralnym heroizmem, symbolizować ma szansę odrodzenia rodzaju ludzkiego na gruzach dawnej — skazanej na nieprawdę, wypiekami i srobnianiami — cywilizacji.

Świat znajduje się na krańcach ryzyka, samounicestwienia. Nie dojdzie do masowej za-

Fantomy

glady, ale ludzkość poddana zostanie niezwykle ciężkim próbom — taki sens człowieczej egzystencji dostrzega autor „Młynów Bożych”. Jest to wersja optymistyczna, jakby nieco niekoherentna końcowa rekompensata wszelkich niepowodzeń, od których w książce aż się roi. Nie tedy dziwnego, iż bohater cierpi na „psychiczne złyki”. W ustawicznie weryfikuje przeszłość, tęskniąc do dzieciństwa — jednego jasnego, pogodnego okresu życia: „gdybym mógł się cofnąć i wrócić do dawnych dni, to żadne błaznady nie przedstawiałyby nieprzyprawiałyby mego serca o mocne bicie, żadna noc nie wyprowadzałaby z ciemnych zakamarków złych fantomów, zrodzonych z mroków i próchnicy dawnych nocy, fantomów, które prowokująco kręciły nagimi kupkami (...); nikt nie prowadziłby nie kończących się monologów wewnętrznych ani dialogów pełnych inwektiw i nieuzasadnionych czy bezsensownych pretensji; słowem nie byłoby z tego wszystkiego, co przekraczałoby granice normalnego świata, normalnego życia”. Właśnie owa tęsknota do normalności, rozumianej zresztą niebystro schematycznie, określa pisarstwo Kazimierza Truchanowskiego. Fatalnym skut-

kiem cywilizacji okazuje się tu wyobcowanie człowieka z kręgu natury, zakłócenie odwiecznego jej rytmu, niszczenie naturalnego nastawienia. Pisał o tym we wcześniejszych — panteistycznych — utworach. Teraz akcentuje głównie kwestię odpowiedzialności w świecie niszczonego i deformowanego, zredukowanego w powieści do koszmarnego wizji z pogranicza snu i jawy. Taki kształt rzeczywistości przedstawionej zawiera jednoznaczny wykładnię: fantastyka stanowi po prostu funkcję niepokoju. Im bardziej się on manifestuje — tym widzę groźniejsze i bardziej przerażające. Im głębsza potrzeba czystości sumienia — tym intensywniejsze stają się obsesje.

„Młyn Boże” są rozbudowaną — może i nadmierną — parabolą o niedoskonałości człowieka i jego wytworów.

W pisarstwie Kazimierza Truchanowskiego pobrzmiewa ton przestrogi, a nawet swobodnego dydaktyzmu, wyraźnie anachronicznego zresztą, bo ującego przede wszystkim możliwościom wyobraźni — jakby nekające ludzkość fantomy można było przez wyjątkowe wyłączenie przy pomocy zabiegów psychologicznych. Trafniejsza zatem wydaje się interpretacja tej powieści w kategoriach ekspresjonistycznego protestu, skierowanego nie tyle przeciwko grozie nadciągającej, co przeciw wszystkim — wielkim i małym — katastrofom, jakie się wydarzyły dotychczas.

TADEUSZ BLĄZEJEWSKI

Kazimierz Truchanowski: *Młyn Boże. Anatomia i mechanizm Nocy*. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1986, nakład 15.300 egz., cena części I i II zł 400.

Z półki recenzenta

POLSCY DEKADENCI

Teresa Walas od lat zajmuje się historią literatury, a w szczególności jej dwoma okresami: Młoda Polska i współczesność. Ostatnio ukazała się jej autorstwa książka nosząca dość znamienity tytuł: „Ku otchłani (dekadentyzm w literaturze polskiej 1890 — 1905)”. Autorka jednak się zastrzega, że jeśli pisze o dekadentyzmie, to nie znaczy, że „wiedza o Młodej Polsce zmienia się w sposób radykalny. Znaczący tylko, że jej przedmiot może uzyskać odmienną przejrzystość i stać się w inny niż dotychczas sposób zrozumiałym”.

Teresa Walas: *Ku otchłani (dekadentyzm w literaturze polskiej 1890 — 1905)*. WL 1986. Str. 304. Cena 260 zł.

„CIURY” W. GOMULICKIEGO

W serii polskich książek zapomnianych ukazała się powieść Wiktora Gomulickiego pt. „Ciury”. Jest to rzecz o Warszawie, ale tej z końca ubiegłego wieku, a właściwie o postach egzystujących gdzieś na marginesie życia kulturalnego stolicy. „Ciury” są powieścią z tzw. kluczem, choć dla współczesnego czytelnika ów klucz nie otwiera już żadnych zamków. Dlatego też polecam książkę, polecam także napisany do niej wstęp, który wiele wyjaśnia i sprawia, że powieść czyta się jakby była napisana przez autora żyjącego nam współcześnie.

Wiktor Gomulicki: *Ciury*. WL 1986. Str. 496. Cena 340 zł.

BITWY WOJNY STULETNIJ

Naprawdę to Wojna stuletnia trwała 116 lat i obfitowała w bitwy i potyczki, o których w Polsce pamiętają jedynie historycy. Jednakże jeśli ktoś chce bliżej poznać ów niespokojny okres w historii Europy, niechaj sięgnie po książkę Edwarda Potkowskiego pt. „Crécy — Orléan 1346 — 1429” gdzie cała rzecz została wyłożona rzetelnie, sumiennie i wzbogacona licznymi ilustracjami. Książka ukazała się w serii „Historyczne bitwy”.

Edward Potkowski: *Crécy — Orléan 1346 — 1429*. MON 1986. Str. 224. Cena 210 zł.

CIERPIENIA PRZYRODY

Polecam dziś czytelnikom książkę szczególną, a mianowicie rzecz o wyginionych gatunkach fauny na naszej planecie. Na przestrzeni historii Ziemi ginęły całe gatunki w wyniku zmian zachodzących w przyrodzie. Ale w ostatnich wiekach ten proces nabrał niebywałego rozpędu. Motorem tego zjawiska jest sam człowiek, który jakby nie zdawał sobie sprawy z faktu, że sam stanowi zaledwie jedno z ogniw przyrody, że niszcząc otoczenie, niszczy także i siebie. Warto przeczytać.

Andrzej Trepka: *Cierpienia przyrody*. Wyd. Lub. 1986. Str. 150. Cena 250 zł.

OPOWIEŚĆ O CHOPINIE

Wznowiono powieść Tadeusza Łopalewskiego o Chopinie. Właściwie jest to zbeletryzowana rzecz o młodości kompozytora, o wybuchu powstania listopadowego, o walkach na ulicach Warszawy, o powstaniu w dalekim Paryżu „Etiudy rewolucyjnej”. Są to sprawy i zdarzenia znane, spopularyzowane przez literaturę i film, a mimo to książkę Łopalewskiego czyta się z zainteresowaniem odkrywając ciekawe, na nowo drobne detale z życia wielkiego Frydka. Z tych detali, niczym z fragmentów mozaiki, powstaje jedyny w swoim rodzaju obraz: Chopina i Warszawy z początków wieku XIX.

Tadeusz Łopalewski: *Fryderyk*. Wyd. Lub. 1986. Str. 216. Cena 200 zł.

BLOKADA LENINGRADU

„Przez 900 dni broniono się trzymilionowe miasto, drugie pod względem znaczenia w Związku Radzieckim. Jego obrona miała duży wpływ na ogólny wynik wojny. Dokonała się ona za straszliwą cenę życia blisko miliona mieszkańców i zniszczenia miasta”. Ten fragment ze wstępu do książki „Leningrad 1941 — 1944” jest jej najlepszą rekomendacją. O blokadzie Leningradu napisano sporo, obecnie otrzymaliśmy zwięzły zapis tamtej tragedii i bohaterstwa. Całość została bogato zilustrowana.

Ryszard Dzięczyński: *Leningrad 1941 — 1944*. MON 1986. Str. 172. Cena 160 zł.

Opr. E. IW.

Demokracja przemysłowa na Zachodzie

W systemie kapitalistycznym dokonują się ważne przemiany społeczne, ekonomiczne i ideologiczne. Stanowią one rezultat poszukiwania przez burżuazję różnych sposobów łagodzenia strukturalnych sprzeczności współczesnej gospodarki kapitalistycznej, w tym przede wszystkim sprzeczności między kapitałem a pracą. Jednym ze sposobów poprawy ładu społecznego kapitalizmu jest wprowadzenie do organizmu gospodarczego tego systemu elementów koncepcji demokracji przemysłowej. Tej właśnie kwestii poświęcona jest interesująca monografia Stanisława Rudolfa, przedstawiciela młodej generacji łódzkiej szkoły ekonomicznej.

Problem demokracji przemysłowej na Zachodzie jest w naszym piśmiennictwie tematem niemal dziewiętnym, rzadko uprawianym, a jeśli już to w sposób fragmentaryczny i przy czynkarski. Ambicją Stanisława Rudolfa jest w miarę wszechstronne przybliżenie czytelnikowi problemu genety i form demokracji przemysłowej w rozwiniętych krajach kapitalistycznych (głównie w Europie Zachodniej). Kluczowe dla rozważań pojęcie „demokracji przemysłowej” autor interpretuje bardzo szeroko. Oznacza ona zagwarantowany przez prawo udział przedstawicieli pracowników w organach zarządzających firm, jak i wpływ na decyzje realizowane za pośrednictwem różnych form samorządu robotniczego lub innych ciał przedstawicielskich, a także negocjowanie układów zbiorowych pracy, różne formy partycypacji finansowej pracowników i zwiększające autonomię pracowników formy organizacji pracy (np. grupy autonomiczne).

Główny nurt dociekań autora stanowi analiza różnorodnych form demokracji przemysłowej, wśród których wyróżnia on pośrednie i bezpośrednie formy demokracji oraz partycypację finansową pracowników. Istotą demokracji pośredniej polega na udziale pracowników w zarządzaniu przedsiębiorstwem za pośrednictwem rad zakładowych, rad nadzorczych czy zarządów przedsiębiorstw. Wymienione instytucje demokracji pośredniej są w intencji adherentów tej koncepcji płaszczyzną dla współpracy pracowników i pracodawców oraz wspólnego rozwiązywania ekonomicznych i społecznych problemów przedsiębiorstwa. Można skonstatować, że rozwój pośrednich form demokracji przemysłowej

stanowi próbę nadania systemowi kapitalistycznemu humanistycznego zabarwienia. Zalegają te należy rozpatrywać cum grano salis, gdyż odbywają się one w warunkach prywatnej własności środków produkcji i wynikających z niej reguł gry ekonomicznej. Wprowadzenie form demokracji pośredniej nie zmienia, zdaniem autora, celu działalności przedsiębiorstwa kapitalistycznego, którym pozostaje nadal maksymalizacja zysku. Autor dowodzi, że ustępstwa burżuazji na rzecz pracowników należy uznać za środek do realizacji jej celów długookresowych, a więc różnorakie formy demokracji pośredniej w przedsiębiorstwach mają charakter zdecydowanie instrumentalny.

Przejawami demokracji bezpośredniej w przemyśle są, w przekonaniu autora, nowe formy organizacji pracy, które różnią się od poprzednich, że rozszerzają autonomię pracowników. Proces ten polega na przekazywaniu indywidualnym pracownikom lub grupom robotniczym decyzji dotyczących sposobu wykonywania pracy, podziału czynności między poszczególnych pracowników, godzin rozpoczynania i zakończenia pracy, przerwy w pracy itp. Przekazywanie tych uprawnień odbywa się za pośrednictwem takich nowych form organizacji pracy, jak rotacja czynności (job rotation), rozszerzanie zadań (job enlargement), wzbogacenie pracy (job enrichment) oraz grupy autonomiczne (autonomous groups). Nowe formy sprowadza się do tego, że pracownicy wykonujący pracę mogą planować, kierować i kontrolować jej przebieg. W literaturze zachodniej proces upowszechniania się tych form organizacji pracy określa się trafnie mianem „demokracji warsztatowej” (shop — floor democracy).

I wreszcie trzecią formą demokracji przemysłowej jest partycypacja finansowa pracowników, która może przybrać postać udziału pracowników w zysku, pracowniczej własności akcji i funduszy pracowniczych. Zdaniem autora partycypacja finansowa należy do najbardziej kontrowersyjnych form demokracji przemysłowej. Sceptyczne uwagi budzi zwłaszcza traktowanie w literaturze zachodniej udziału w zyskach i pracowniczej własności akcji jako narzędzi robotniczej partycypacji. Wśród wielu ciekawych problemów poruszanych przez autora w tym frag-

zainteresowanie zasługują rozważania poświęcone robotniczej własności akcji. W kontekście tych rozważań autor krytycznie odnosi się do koncepcji kapitalizmu ludowego, która głosi, że dyfuzja własności, tj. rozproszenie jej wśród wielu milionów posiadaczy jest oznaką demokratyzacji kapitału. Własność akcji jest bowiem, w mniemaniu zwolenników tej koncepcji, skupiona w rękach licznych posiadaczy, wywodzących się w poważnej części spośród klasy robotniczej, inteligencji, drobnomieszczaństwa. Z analizy przedstawionej przez autora wynika, że zwolennicy tej koncepcji biorą za rzeczywistość swoje postulaty i pragnienia. Na przykład w RFN pracownicy posiadający akcje stanowią zaledwie 3 proc. całej siły roboczej. Również w USA, gdzie zrodziła się teoria kapitalizmu ludowego, program upowszechniania własności akcji objął niewielką część pracowników, w 1975 r. w 7.250 programach uczestniczyło zaledwie ok. 400 tys. pracowników. (na ok. 90 mln zatrudnionych poza rolnictwem i leśnictwem). Autor stwierdza, że programy te są nastawione niemal wyłącznie na zagwarantowanie korzyści pracodawcom. Korzyści obejmują przede wszystkim ulgi podatkowe dla przedsiębiorstw, które upowszechniają wśród pracowników akcje. Programy te mogą także prowadzić do poprawy efektywności gospodarowania, zwłaszcza w małych przedsiębiorstwach.

Nie sposób w krótkim omówieniu tej książki przedstawić całego bogactwa problemów merytorycznych i wszystkich wątków prowokujących do dyskusji. Czytelnika zainteresowanego problemem demokracji przemysłowej w krajach kapitalistycznych zachęcam do lektury książki S. Rudolfa. Książka odznacza się, poza walorami merytorycznymi, jasną konstrukcją zawartą w niej treści, komunikatywnym językiem wzbogaconym wieloma zwięzłymi wkomponowanymi cytatami z literatury źródłowej. Bon appétit!

WITOLD KASPERKIEWICZ

Stanisław Rudolf: „Demokracja przemysłowa w rozwiniętych krajach kapitalistycznych”. PWN, Warszawa, 1986, Nakład 350 plus 150 egz., z. 200, cena 300 zł.

Poglądów na temat pojęcia narodu oraz jego genezy jest mniej więcej tyle, ile badaczy tego problemu. Spory są wynikiem sytuacji politycznej, okresu historycznego, w jakim dany badacz tworzy swoją koncepcję, użyteczności jego prac, a także z indywidualnego podejścia do zagadnienia. Benedykt Zientara we wstępie swojej książki „Świt narodów europejskich” przytacza przykładowo teorie swych kolegów z jego współczesnych lub wcześniej zastygłych w dorobku historiografii. Przy czym najistotniejsza wydaje się myśl Mirosława Hrocha, który sędzi, iż przyczyną formowania się narodów dla każdego z nich są inne i smienne w czasie.

turalnego, prawnego Rzymian z obawy przed rozpięciem się w masie miejscowej ludności i utratą znaczenia. Stosunkowo silny jeszcze rzymski potencjał ekonomiczny i militarny z uwagi na rozgrywkę między lokalnymi urzędnikami świeckimi i kościelnymi nie był w stanie skutecznie zagrozić pochodowi barbarzyńców, którzy niejednokrotnie potrafili zreczenie wykorzystać istniejącą koniunkturę dla własnych potrzeb (np. Wandalowie w Afryce).

Dopiero Frankowie wywodzący się prawdopodobnie z Germanów i znacznie liczniejsi zdolali utworzyć trwałą organizację państwową, wykorzystując galijską niechęć do Cesarstwa Wschodniego i przyjmując katolicyzm. Siła oręża frankijskiego oraz doświadczenie polityczne kleru

wzmocnienia pozycji króla poprzez powiększenie domeny królewskiej przy wsparciu mianowanych przez niego dostojników kościelnych oraz zwycięskie wojny z niby to wasalem Henrykiem II Plantagenetem, królem Anglii i hrabią Andegawenii, a później z jego synem Ryszardem Lwie Serce. Silna władza centralna i jej sukcesy zewnętrzne stanowią najlepsze spójno dla danej społeczności i w efekcie wykształcenia się świadomości narodowej.

Tymczasem cesarze niemieccy jak Don Kichot Cervantesa wderzeni nierzalnymi wizjami rozciągania swej władzy na całą Europę tracili czas i energię na spór o pierwszeństwo z papieżem, doprowadzając do osłabienia pozycji królewskiej w samych Niemczech. Być może miała na to wpływ elekcyjność tronu i niepewność co do przyszłości potomstwa.

W efekcie Niemcy rozpadli się na szereg drobnych księstw, będących podstawą powstawania regionalnych patriotyzmów. Brak zagrożenia z zewnątrz, a także brak jednolitej kultury niemieckiej (dwa lub trzy języki literackie) spowodowały stagnację i słabnięcie czynników dośrodkowych. Benedykt Zientara wspomina o Szwajcarii: „patriotyzm lokalny w mieszkanców znalazł dodatkowy bodziec rozwoju w klasowym antagonizmie tej chłopkiej społeczności wobec sąsiednich książąt i rycerstwa...”

Półwysep Apeniński — rdzeń Cesarstwa Rzymskiego, był najdotkliwiej pustoszonej przez liczne białe zorganizowane watahy barbarzyńców i później przez wojska cesarzy niemieckich mających skomplikowane interesy w Rzymie. Nie nastrajało to specjalnie miłością do nich miejscowej ludności. Powolki w postaci Ostrogotów, Longobardów, Arabów na południu półwyspu czy innej maści przybyszów na dłuższą metę okazywały się nieutrwalne i nie zdolali doprowadzić do wytworzenia się narodu, obejmującego cały półwysep. Spory w tym udział miał papieński Rzym obawiający się obok siebie silnej władzy królewskiej czy wreszcie elity lokalnych księstw i hrabstw niechętnych utracie znaczenia i dobrze czujących się w swoich brudach. Niemniej powstające związki kulturalne i historyczne miały pewien oddźwięk, skoro spory regionalne nie były przeszkodą do utworzenia Ligii Lombardzkiej, związku rozwiniętych gospodarczo miast, przeciwko zbyt nachalnym Niemcom i knoowaniom papieża. A ta z kolei obok wysiłków ludzi pióra w rodzaju Dantego — twórcy języka włoskiego, stanowiła istotną przesłankę dla mozołnego wytworzenia się przez długie wieki włoskiej świadomości narodowej.

Obraz, jaki powstaje po przeczytaniu „Świtu narodów europejskich”, jest jakby wypełnieniem treści dotychczasowych konstrukcji traktujących o tych czasach i ich aktorach. Brak w nim genezy Wielkiej Brytanii, krajów skandynawskich, a także Hiszpanii i Portugalii oraz narodów słowiańskich nie obniża jego wartości, ale stanowi zachętę do przyszłych opracowań, których być może dokonają następcy przedwcześnie zmarłego profesora.

TOMASZ KUBIK

Benedykt Zientara, „Świt narodów europejskich”, PIW, Warszawa 1985, s. 434, cena 450 zł.

na długo zanim świat poznał jej talent piosenkowski za skromne, bo wynoszące zaledwie 100 dolarów, honorarium. Madonna nawet wniosła sprawę do sądu twierdząc, że nigdy nie pozwoliła, aby łączono z filmem jej nazwisko.

Sądząc, że większość fanów wybaczyła piosenkarce te dość wyidealizowane wydarzenia z jej życia, zwłaszcza że wyszły na jaw wbrew jej woli. Podobne skandale mogą też okazać się dla artystów doskonałą reklamą. Nie twierdząc, że tak było również w przypadku Madonny, ale wspomnianie zdarzenia raczej jej nie zaszkodziło. Wydany w ubiegłym roku album „Like A Virgin” cieszył się olbrzymią popularnością, znajdując do chwili obecnej ponad 6,5 mln nabywców. Z dużym zainteresowaniem słuchaczy spotkał się też trzeci longplay Madonny, osiągając w lipcu szczyt brytyjskiej listy bestsellerów płytowych. Jednocześnie w kategorii singli przewodził krążek z piosenką „Papa Don't Preach” — drugim wielkim przebojem z albumu „True Blue” (wcześniejsze na małej płycie ukazał się utwór „Live To Tell” napisany z myślą o filmie „At Close Range” z mężem piosenkarci, Seanem Pennem, w roli głównej).

Tak więc dobra passa trwa i to nie tylko na estradzie. Po epizodycznej roli w filmie „Vision Quest” Madonna zagrała tytułową postać w szeroko reklamowanym obrazie Susan Seidelman, zatytułowanym „Desperately Seeking Susan”. Wprawdzie początkowo Rosanna Arquette, grająca aniołową żonę, która dzięki tajemniczej Zuzannie zostaje wciągnięta w wir zaskakujących wydarzeń, figurowała jako główna bohaterka, jednak sukces estradowy Madonny spowodował, że to jej nazwisko przyciąga widzów, chociaż — jak wynika z recenzji — obydwie panie radzą sobie przed kamerami znakomicie, a film zasługuje na uwagę. Sławną piosenkarkę twierdzi, że jest podobna do ekranowej Zuzanny i dlatego rola nie sprawiła jej kłopotu. Ciekawe czy również dobrze zagrała misionarkę w obrazie „Shanghai Surprise”, którego premiera ma się odbyć jesienią.

Można spierać się na temat poziomu popisów wokalnych Madonny i oryginalności jej pomysłów, lecz trudno nie zauważyć konsekwencji z jaką realizuje swoje różnorodne przedsięwzięcia, zdobywając wciąż nowych zwolenników. Od początku starannie dobierała muzyków i korzystała z pomocy utalentowanych producentów nagrań. Ostatnio podbiła serca publiczności kinowej, przy czym aktorstwo wcale nie przeszkadza jej w nagrywaniu przebojowych piosenek. Podobno zawsze marzyła o karierze artystycznej i wierzyla, że będzie gwiazdą. „Możliwe, iż w pewnym sensie chciałam? okazać się godną mojego nazwiska” — twierdzi Madonna.

GRZEGORZ WALENDA

Kronika kulturalna

TEATR Nowy rozpoczął sezon 19 września b.r. spektaklami: w Dulszej Sali „Jak się kocha” — Alana Ayckbourna, w reżyserii Wandy Laskowskiej, ze scenografią Marka Tomasika; w Małej Sali sztuką „Szkłana menażeria” — Tennessee Williamsa, w reżyserii Marka Gaja, ze scenografią Wojciecha Bajora i muzyką Zbigniewa Lampartia. Wkrótce potem na scenę wchodzi nowe premii: „Wysocki” Zawistowskiego i „Człowiek jak człowiek” Brechta. Ponadto w repertuarze pozostają: „Moralność pani Dulskiej” — Zapiolskiej, „Porwanie Sabinek” — Schönthanów, „Tango” — Mroźka, „Rodzina” — Słonimskiego, „Bałkański śpieg” — Kovacevicia oraz baśka dla dzieci „Przyjaciel wesołego diabła” — Makuszyńskiego.

W przyszłym sezonie Teatr Nowy przedstawi premii: m. in. „Burzy” — Szekestra, „Skapca” — Mollera, „Kurki wodne” — Witkacego, „Ludzi cesarza” — Hübnera, „Kontrakt” — Mroźka oraz premię bałki dla dzieci: „Chłopca z gwiazd” — Oscara Wilde'a.

TRADYCYJNIE już, jak każdego jesieni Filharmonia Łódzka organizuje Dni Muzyki Organowej i Oratoryjnej, które w roku bieżącym odbywały się w dniach od 16 do 20 września. Jak zwykle wykonawców i słuchaczy gościł zawsze Kościół Ewangelicki św. Mateusza, a imprezy rozpoczynają się zawsze o godz. 19.

I tak cykl koncertów rozpoczął występ Chóru Mieszanego Filharmonii Łódzkiej pod batutą Marka Jaszcaka i z udziałem dwójki młodych śpiewaków z Teatru Wielkiego w Łodzi: Jolanty Zielińskiej — mezzosopran i Krzysztofa Bednarka — tenor. Zaprezentują oni m. in. utwory L. Janacka, S. S. Szaryńskiego, H. W. Góreckiego i G. G. Góreckiego, 17 września z recitalem bachowskim wystąpi wybitny organista polski, laureat I nagrody Międzynarodowego Konkursu Organowego w Norzymbdze, a także kilku ogólnopolskich konkursów organowych — Józef Serafin.

Gościć będziemy również ciesząc się zawsze wielkim powodzeniem Zespół Muzyki Cerkiewnej z Warszawy pod dyrykcją Jerzego Szurbaka (19 września), w którego repertuarze odnajdziemy wielki urok śpiewów cerkiewnych staroskich i starobułgarskich.

Niewątpliwie atrakcją Dni będzie koncert solistów (19 września), którego pierwszą część wypełni półrecital organowy znanego łódzkiego organisty i pedagoga, prorektora Akademii Muzycznej w Łodzi — Mirosława Plekiewiczza, a w części drugiej występ młodych artystów — Agaty Młynarskiej — sopran, artystki Opery we Wrocławiu, Józefa Dejnówicza — trąbka, muzyka z Zespołu Filharmonii Łódzkiej i Wiesława Rentowskiego — organisty i kompozytora w jednej osobie. W programie znajdują się utwory A. Blocha, J. Bauera, J. Brahmsa, M. Regera, J. Lucjuka i W. Rentowskiego. Akcentem końcowym tego Festiwalu będzie jak zwykle koncert oratoryjny z udziałem Orkiestry i Chóru Filharmonii Łódzkiej pod batutą Zdzisława Szostaka i z solistami: Kazimierzem Myrlikiem (tenor) i Jerzym Mechlińskim (baryton). W programie koncertu znajdą się Adagio z V Symfonii G. Mahlera i Messa di gloria G. Pucciniego.

BOGATO rozpoczął się w Łodzi sezon wystawienniczy. I tak 2 września w Salonie Sztuki Współczesnej otwarto wystawę jubileuszową 45-lecia pracy twórczej **WSZECHEWŁADA HORBACZEWSKIEGO**, w Galerii Sztuki BWA od 3 września oglądać można ekspozycję malarstwa **BARBARY SZADZINSKIEJ-KRAWCZYK**; natomiast w Galerii Chimera prezentowane są rysunki i reliefy ze skóry **ZDZISŁAWA PALINNO-MUCHOWICZA**; w Galerii Bałuckiej 9 września otwarto wystawę malarstwa i collage **ROMANA ŚWITALSKIEGO**; od 17 września w Ośrodku Propagandy Sztuki uświetniona zostanie publiczność wystawa **XYLON 9** Międzynarodowego Triennale Drzeworytu. Zapraszamy!

RÓWNIE bogato jak w salonach wystawienniczych sezon zaczął się w muzeach 10 września w Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę tkanin Stanisława Kowalskiego „Inspiracje”. Od 9 września bardzo interesującą ekspozycję zobaczyć można w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego „Odnaki, odznaczenia i medale organizacji młodzieżowych Polski Ludowej”. Najdłuższą, bo już 3 września czynna jest wystawa w Galerii Łódzkiej Muzeum Historii Miasta Łodzi Obiektów tam można grafikę, rysunek i collage Andrzeja Mariana Bartczaka.

Na początku był chaos

Ze względu na rozległość zagadnienia oraz terminy goniące go w wydawnictwie Benedykt Zientara ograniczył swe rozważania tylko do niektórych części Europy, a mianowicie do obszarów dzisiejszych Niemiec, Francji, Włoch oraz krajów Beneluksu, a także przedstawił losy plemion germańskich — Wizygotów, których państwowość została zniszczona przez najazd Arabów, ale miała znaczenie dla ukształtowania narodu hiszpańskiego oraz Wandalów, którzy rozbił się po Europie, by wreszcie osiedlić w północnej Afryce i tam ulec zatraceniu.

Kiedy dogorywał Zachodni Rzym miały miejsce spore powstania, które przyniosły jego upadek. Władzę przejął cesarz bizantyjski, co do lat świetlejsi Rzymianie zastanawiali się co dalej. Jednakże nie spekulacje intelektualne, lecz praktyka dziejowa miała dać odpowiedź. Wielka wędrówka ludów spowodowała ostateczne załamanie się Cesarstwa Zachodniego jako całości. Dalszy los poszczególnych terytoriów zależał od fantazji barbarzyńców oraz elastyczności politycznej miejscowych notabli i zachowania ludności.

Pierwsze twory polityczne miały efemeryczny charakter. Z kilku powodów. Plemiona germańskie nie były liczebne, często zmieniały siedzibę, a więc dane terytorium traktowały jako okazję do wyzucia się i zdobycia łupów. Ludność miejscowa tym bardziej więc pełnym nadziei wzrokiem spoglądała w stronę Konstantynopola. Ponadto istotne znaczenie miały różnice religijne między katolicką ludnością rzymską a arianizującymi barbarzyńcami. Wspomniana już niewielka liczebność powodowała niepewność plemiennych wodzów do stylu życia, dorobku kul-

stanowiły wówczas mieszanekę plorunującą, osłabianą jednak przez spory w łonie panujących Merowingów i w efekcie podział państwa między członków dynastii. Wspólna historia powodowała zacieranie różnic między Frankami a ludnością galijską. Pojawienie się energicznych władców — Karolingów dało możliwość wszechstronnej ekspansji i jedyniej udanej próby przywrócenia cesarstwa na zachodzie Europy. Jednakże dominujący wówczas ustrój feudalny przekreślał wysiłki najbardziej nawet charyzmatycznych władców i papieży. Niezdyscyplinowane oddziały składające się z lenników nie potrafiły zabezpieczyć rozległych posiadłości jak niegdyś złożone z zawodowców rzymskie legiony, utrzymujące w posłuchu podległe Rzymowi terytoria. Po śmierci Karola Wielkiego sztuczny twór państwowy rozleciał się. Zaczęto poszukiwać dróg wyjścia. Wczesnym Średniowieczu jeszcze przed koncepcjami legistów państwo utożsamiano z osobą władcy. Rok 843 można uznać za decydujący dla formowania się zrebów nowoczesnej Europy. Traktat w Verdun usankcjonował prawnie faktycznie już istniejący podział państwa Karola Wielkiego na trzy części między jego wnuków. Powstały królestwa odpowiadające dzisiejszym Niemcom i Francji, oraz, choć jest to problem bardziej skomplikowany i późniejszy, Belgii, Holandii i Włoch. Inaczej też potoczyły się ich losy.

We Francji słabość króla była jego atutem. Feudalowie zajęci rozgrywkami między sobą pozostawiali go w spokoju i w razie potrzeby wysuwali jako kontrargument przeciwko uniwersalistycznym zakusom cesarzy niemieckich. Panowanie Filipa II Augusta przyczyniło się do

Madonna triumfuje

Ostatnio coraz więcej kobiet zaczyna odnosić sukcesy w dziedzinie muzyki rockowej. Nie tak dawno mówiono wręcz o inwazji pięknych na światowe estrady. Zachwycano się nowymi nagraniami piosenek o ustalonej renomie, wśród których największą popularnością cieszyła się Tina Turner, a także chwalał debiutantki — Tygodnik „Newsweek” zamieścił na początku ubiegłego roku obszerny materiał na ten temat pod tytułem „Wielkie kobiety”. Zaliczając Madonnę do najbardziej interesujących gwiazd wschodzących gwiazd muzyki rockowej. Podziwiano talent wokalny młodej piosenkarki i wróżono jej błyskotliwą karierę. Drugi longplay Madonny, zatytułowany „Like A Virgin”, gościł wówczas na pierwszym miejscu amerykańskiej listy bestsellerów płytowych, a artystka przygotowywała się do swojego pierwszego tournée. Dziś można śmiało stwierdzić, że przepowiednie się spełniły. Madonna — mając na swoim koncie trzy albumy (ostatni nosi tytuł „Desperately Seeking Susan” — należy do najpopularniejszych gwiazd estrady.

Madonna Louise Veronica Ciccone urodziła się w Bay City — mieście położonym w amerykańskim stanie Michigan. Już w latach szkolnych interesowała się muzyką i pobierała pierwsze lekcje tańca. Po roku studiów na uniwersytecie postanowiła przenieść się do Nowego Jorku. „Pierwszy raz leciałam samolotem. Gdy wylądowałam, złapałam taksówkę i poprosiłam kierowcę, aby zawiózł mnie do serca miasta, którym okazał się Times Square... Byłam oszołomiona budynkami. Są naprawdę wysokie...” Stypendium jakie uzyskała w szkole tańca pomogło jej przetrwać najtrudniejszy okres nowego życia, ale Madonna wciąż rozglądała się za stałym zajęciem. W Nowym Jorku nauczyła się grać na gitarze, co uznała za kolejny krok na drodze do wymarzonej kariery estradowej. „Było to bardzo podniecające uczucie. Czulałam się silna”.

Wieczory spędzała najchętniej w klubie młodzieżowym „Danceteria” mieszczącym się na Manhattanie. Chcac zwrócić na siebie uwagę tańczyła bez wytchnienia przed stanowiskiem dysk-jockeya i zamawiała wciąż nowe nagrania. W końcu zauważył ją Mark Kamins — wpłyowy pracownik klubu, który przesłuchał taśmy z jej piosenkami i postanowił zaprezentować je podczas dyskoteki. Słuchaczom przypadły do gustu, więc Kamins udał się z nimi do wytwórni płytowej Sire Records. W ten sposób w 1983 roku Madonna doczekała się pierwszego profesjonalnego kontraktu.

Krytycy często zarzucali jej, że naśladuje styl śpiewania modnych w latach sześćdziesiątych żeńskich zespołów wokalnych. Na pewno można dostrzec podobieństwa. Zresztą Madonna nie ukrywa, że zawsze fascynowały ją niewinne głosy nastoletnich gwiazd, a wśród swoich ulubionych piosenek wymienia Dianę Ross z czasów, gdy śpiewała z grupą Supremes. I chociaż Madonna często sama pisze teksty i pomaga w komponowaniu wykonywanych przez siebie utworów, trudno zaliczyć ją do wybitnych twórców. Jest przede wszystkim utalentowaną piosenkarką estradową, która potrafi na scenie stworzyć atrakcyjne widowisko. W przypadku Madonny również ważna jak muzyka jest oprawa — barwne stroje, ruch, taniec... To wszystko decyduje o popularności 27-letniej piosenkarki, ubóstwianej przez młodzież w wielu krajach. Nieprzypadkowo dużym powodzeniem cieszą się jej teledyski, które pomogły jej osiągnąć komercyjny sukces. Może w nich zaprezentowała zarówno swój temperament, jak i zaskakujące kostiumy. „Czasami podobają mi się rzeczy drogie... Ale często kupuję odzież używaną, starą. Kocham styl Marilyn Monroe, te stroje z lat pięćdziesiątych uwydatniające kształty...”. A więc znów można by posądzić Madonnę o naśladowstwo, ale przecież nie wszyscy młodzi melomani wiedzą, kim była Marilyn Monroe. Dziewczeta, które kupują płyty, oglądają teledyski i stoją grzecznie w długich kolejkach przed salami koncertowymi (nieśladownie 17.000 biletów na występ piosenkarki w Radio City Music Hall sprzedano w ciągu 34 minut) szaleją na punkcie Madonny — w ich oczach jedynie i niepowtarzalnej. Noszą w uszach małe krzyże zamiast kolczyków, bo ona tak je nosi, kupują kolorowe bransolety i używaną odzież, bo tak robi Madonna. Oczywiście nie tylko dzieci interesują się piosenkarką, chociaż niewątpliwie stanowią znaczny procent jej fanów.

Wiedząc o tym, wydawcy czasopism „Playboy” i „Penthouse” zamieścili w ubiegłym roku zdjęcia gwiazdy, do których zgodziła się pozować w stroju Ewy Sprawy. Ta była swego czasu głośna. Nawet władze Bay City zapowiedziały, że nie wręczą z tego powodu artystce symbolicznych kluczy do miasta, gdyż miała przyjechać w rodzinne strony na koncert. Początkowo sama Madonna próbowała przeskoczyć w opublikowaniu zdjęć, jednak ostatecznie nie nie działo. Podobne kłopoty miała z przeznaczonym wyłącznie dla dorosłych filmem „A Certain Sacrifice”, w którym — jak podaje dziennik „International Herald Tribune” — wystąpiła

„Róża głęboka, nieskończona, pełna,
którą Pan ukaże moim martwym oczom”

J. L. Borges „Róża głęboka”.

Czas idzie naprzód; nie tak dawno mieliśmy w Polsce boom literatury iberoamerykańskiej, a oto już jesteśmy świadkami odchodzenia ze świata żywych jej największych przedstawicieli: najpierw Lezama Lima, potem Carpentier, Cortazar i ostatnio Jorge Luis Borges I, co najsmutniejsze, odejścia te przebiegają w coraz głębszej ciszy — ciszy zapomnienia. Niepokojące wiele rzeczy stało się ważniejsze: pod śmierć pisarza, choć z drugiej strony trzeba przyznać, że zwłaszcza Cortazar i Borges wybrali sobie wyjątkowo zły moment na umieranie; pierwszy niepotrzebnie zsynchronizował je ze zgonem bardzo ważnego polityka, drugi zaś z Mundialem. Borges, Argentyńczyk, nie poczuł nawet aż jego kraj zdobędzie mistrzostwo świata w piłce nożnej. Kolosalny faux pas! Obraz pogrzebu autora „Fikcji” wśród kibiców wiwatujących na cześć kroczącej od zwycięstwa do zwycięstwa drużyny Maradony mógłby być jego ostatnim opowiadaniem...

Postać Borgesa tylko z odległości robi wrażenie monolitu Sławnego Pisarza, im bliżej, tym więcej w niej pęknięć i sprzeczności. Zwykłego Człowieka: Argentyńczyka, a nawet więcej, bo mieszkającego w Buenos Aires — typowy porteno — jednocześnie bardzo dużo czasu spędził w Europie (w tym siedem lat we wczesnej młodości) doskonale wtapiając się w kulturę Starożytności, zwłaszcza angielską i niemiecką; intelektualista o szerokich horyzontach, fascynujący się rewolucją 1918 roku („bagnety niosące na swym ostrzu jutro”) i godnie opierający się dyktaturze Perona jednocześnie wielokrotnie dawał wyrazy sympatii do najokrutniejszego argentyńskiego caudillo Juana Manuela Rosasa („naszym największym mężem jest wciąż don Juan Manuel, wzór męstwa”), został członkiem Partii Konserwatywnej, a nawet ścisł się z generałem Pinochetem; piewca przeszłości gauchowskiej jednocześnie konsekwentnie i na zimno obnażał całą jej fałszywą mitologię: człowiek dbający o swoją pozycję i sławę jednocześnie zbyt chętnie oddawał ster własnej kariery w ręce innych; samotnik, żeniący się w wieku 68 lat i zaraz potem rozwodzący; cudowne dziecko piszące opowiadania, które skończywszy 39 lat krzyczy do matki: „Placzę, bo rozumiem!” itd., itd.

Dopóki Borges żył, pytania o centrum tego labiryntu były ciągle przedwczesne; każdy następny gest czy książka mogły przeczyć w jednej chwili unieważniając wszystkie odpowiedzi. Teraz, gdy życie autora „Pochwały cienia” stało się w los, sytuacja się zmieniła: żaden korytarz nie odwróci już swego biegu — można wejść do środka.

Mamy do czynienia z pisarzem, nie powinno więc dziwić, że na samym początku, tam, gdzie sięga jeszcze światło dnia, natykamy się na literaturę, zresztą jeśli chodzi o zasadnicze poglądy na ten temat Borges nie wychodził na razie poza kanon ustalony już w czasie pierwszej — przynajmniej na kontynencie amerykańskim — udokumentowanej historycznie dysputy poświęconej tym kwestiom, która pod koniec 1490 roku odbyła się na dworze mądrego władcy Huexotzincó, Tecayehuatzina. Głównie poczynione tam ustalenia były krótkie i proste: Literatura (określana jako „kwiaty i pieśni”) jest jedyną wartością na tym świecie. Niejako przy okazji w Huexotzincó ustalono się także coś w rodzaju jungowskiego cienia tego, przy bliższym przyjrzeniu się tylko pozornie zdecydowanego, twierdzenia. Polegał on na z gruntu ambiwalentnym stosunku do rzeczywistości: z jednej strony bezgranicznej wagi jaką przykłada do niej artysta (na ogół, wbrew pozorom, znacznie większej niż inni ludzie) i rozpaczliwej walki, która, z wiarą, że jest to możliwe, toczy o nadanie jej odpowiednich wymiarów, z drugiej zaś

— po zetknięciu się z bezwładnym oporem, dumnym z tego, że jest nie do przebicia — uznaniu, że rzeczywistość jest w swojej istocie wstrętne, chaotyczna i na dodatek zawsze kończy się śmiercią (czasami przychodząca znacznie wcześniej niż śmierć biologiczna), nie warto więc się nią zajmować — stąd właśnie in-tronizacja literatury. Mówiąc dosadnie chodzi o sytuację natchnionego księdza, który znalazł się nagle w ramionach doświadczonych prostytutek egzaltującej się ustawicznie swoją pierwszą komunią — banalność i żalność tego nacydentu nie zmniejszają, niestety, jego bolesności, oczywiście dla pisarza. I w ten sposób zna-

wreszcie kreowanie przez Vargasa Llosę literatury na nowego boga, zwłaszcza że inni zostali już dawno zdetronizowani, a jakiś bóg musi przecież być. W wypadku autora „Twórcy” najwidoczniej nie zdała ona jednak egzaminu; już jego wypowiedzi w tym przedmiocie były zaledwie postulatami: „książka winna być formą szczęścia”, a koronny dowód flaska stanowi podjęcie działań następnych, daleko bardziej drastycznych.

Najpierw więc próba unicestwienia świata — przy pomocy lorda Berkeleya, a zaraz potem

nim akcie rozpaczliwej zwrócił się do magii. Zaczął od zgłębiania tajemnic czasu i wprowadzania w życie elementu wieczności (życie bez czasu to przecież właśnie literatura), którą odnalazł niespodziewanie podczas spaceru po dzielnicy Buenos Aires Barracas: „życie jest zbyt ubogie, aby nie miało być również nieśmiertelne” — napisał w „Doktrynie czasu cyklicznego”, a skończył na teorii Wiecznego Powrotu i Kabale. Wydawało się, że sprawy nareszcie zaczynają przybierać pomyślniejszy obrót, gdy nagle przyszło otrzeźwienie: Borges zorientował się, że cały czas pozostaje w samym centrum swojego labiryntu usiłując tresować dokuczliwą muchę rzeczywistości rozsnuwając przed nią miazę przyszłych wspólnych sukcesów na wszystkich arenach świata, że „choć był tyłoma ludźmi, nigdy nie był tym, w którego uścisku omdlewała Matylda Urbach”. Nie można się dziwić, że tym razem skapitulował ostatecznie: „Świat jest, niestety, realny, a ja, niestety, jestem Borges”. Nadszedł czas pełnej samotronii rezygnacji: „Jestem tym, co umarłym żądzości...”, „Błogosławieni mówiący i milujący, i ci, którzy mogą obejść się bez miłości”...

A wszystko zaczęło się tak niewinnie: Nora, siostra pisarza wspomina: „Zawsze widzę Georgiego przy mnie. Siedzi na trzykołowym rowerku z kierownicą w kształcie głowy konia. Bawi się wielkimi, kolorowymi kulami. Ugania po ogrodzie z zieloną siatką na motyle. Trzyma grającego baka, magiczną latarnię, a także wypelnione wodą rurki, używane podczas karnawału...” Chyba jednak raczej miał Svedenborg zakazując swoim aniołom penetracji piekła, zerwując jednak równocześnie na studiowanie topografii raju...

Pora jednak zapytać jaką wartość miało to tragiczne doświadczenie Borgesa, co z niego wynika? Otóż co najmniej jedno: stwierdzenie ponad wszelką wątpliwość, że droga, którą przeszedł swoim życiem, nie prowadzi do wyjścia z labiryntu. Nie jest to wcale mało biorąc pod uwagę, że to droga tak bardzo uczęszczana, i przez to tak bardzo kusząca. Ale która droga jest w takim razie właściwa? Nikt, choć trochę inteligentny, nie odpowie na to pytanie. Być może wiedzie ona jednak przez Bibliotekę, nawet jeżeli odszukanie jej tam graniczy z niemożliwością: „Bóg jest w jednej z liter jednej ze stronic jednego z czterystu tysięcy tomów...” oznajmił Bibliotekarz Hladikowi. Być może leży poza jej murami, w jakimś „człowieku zwanym Al-Mutasimem”, na którego progu zatrzymał się pewien student prawa z Bombaju. A może w ogóle nie istnieje... To już kłopot tych, którzy zostali przy życiu... A Jorge Luis Borges niechaj chociaż po śmierci zobaczy swoją nieskończoną różę, której nie dane mu było ujrzeć za życia.

Jeśli zaś chodzi o Matyldę Urbach, która odsunęła pisarza, bo z tajemniczych względów nabrała pewności, że i tak by się nie ułożyło...? No cóż, będzie nadal omdlewać w ramionach innych...

RYSZARD NAKONIECZNY

Po śmierci Jorge Luisa Borgesa

„Placzę bo rozumiem”

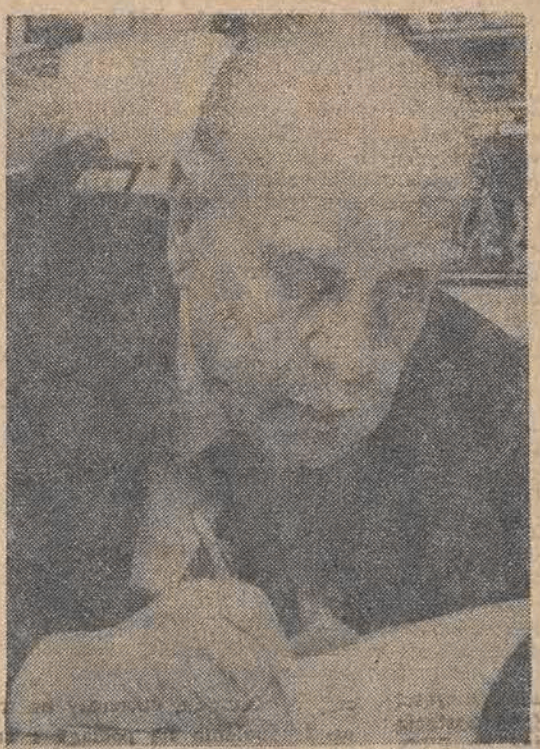
Jeśli się niepostrzeżenie w samym centrum labiryntu Borgesa, być może w tym punkcie, w którym jako 39-letni mężczyzna biegnąc po dziewczynę (sic!) uderza się w otwarte okno, wbija sobie w głowę kawałek szyby, bardzo długo znajduje się na granicy życia i śmierci i wreszcie krzyczy do matki słynne „placzę, bo rozumiem!”...

Specjaliści wiedzą jednak, że osiągnąć centrum labiryntu nie jest żadną sztuką, często można się tam znaleźć w jednej chwili, nawet wbrew woli. Sztuka polega na tym, aby odszukać wyjście... Sposoby jakich użył w tym celu Borges warte są przypomnienia, mimo bowiem, że dość typowe (coż tu zresztą można nowego wymyślić?) zostały potraktowane przez pisarza z wyjątkową powagą, były dla niego bez wątpienia przeżyciem tragicznym, no i zostały świadectwem w postaci dość szczególnej, ale zawsze wysokiej próby literatury.

Metoda pierwsza była niejako odruchowa i najzupełniej zgodna z duchem dysputy w Huexotzincó: odwrócić oczy od rzeczywistości, od mówić jej znaczenia i skupić się na literaturze:

„W moim życiu zawsze było za dużo rzeczy; Demokryt z Abdery wyjął sobie oczy, aby móc myśleć”;

W literaturze przecież zawsze można w ostatniej chwili odwrócić biceps, a każda śmierć ma znamiona wielkości, nie mówiąc już o tym, że wystarczy odwrócić z powrotem kilka kartek, aby ją unieważnić. Jest to metoda wyprobowana i w wielu wypadkach skuteczna. Wystarczy przypomnieć zakończenie wstępu do „Imienia róży” Umberto Eco: „Ponieważ nasza historia jest historią książek, a nie trosk codziennych, lektura jej może skłonić nas do powrócenia za wielkim naśladowcą z Kempis: In omnibus requiem quaesivi, et nusquam inveni nisi in angulo cum libro”, czy buńczuczne stwierdzenie Mallarmego: „świat istnieje po to, aby mogła powstać jedna książka”, czy



próba unicestwienia samego siebie — przy pomocy Hume’a i Schopenhauera; obie chybiły, podobnie zresztą jak w wypadku tych, którzy podjęli je jako pierwsi. Borges — niczym bohater książki Themersona — tak długo, ogłędając się niespodziewanie na rosnące za jego plecami drzewo, nie mógł przypaść go na niebicie, że w końcu musiał dać za wygraną... Ale jeszcze nie poddał się całkowicie; w ostat-

Z dziejów science fiction

Kostiumy czasu

Dość licznych, jak się zdaje, Czytelników zainteresowanych czy to utworami science fiction, czy problematyką tego gatunku, spiesze poinformować, że omówienie niniejsze stanowi uzupełnienie skromnego cyklu, drukowanego przeze mnie w „Odgłosach” w 1982 r. Nie omawiałem tam najistotniejszych pozycji przedwojennej literatury fantastycznej, lecz przypadkowy wybór książek mniej znanych i po wojnie nie wznawianych. Tym razem chciałem przypomnieć też już prawie zapomnianą książkę Antoniego Słonimskiego, która co prawda doczekała się wznowienia, ale bodajże w latach sześćdziesiątych.

W 1924 r. znany już wówczas poeta i felietonista Antoni Słonimski opublikował swój chyba pierwszy, ale nie ostatni utwór fantastyczny — pt. „Torpeda czasu” (o późniejszej jego powieści fantastycznej „Dwa kołce świata” pisałem we wspomnianym cyklu). „Torpeda” zresztą napisana została najpewniej o rok wcześniej niż ją wydano na co wskazywał czas powieściowej akcji — rok 1923, gdyż po odjęciu okrągłej liczby dwustu lat znajdziemy się właśnie w 1923 r.

Jest to dla nas dzisiaj, po upływie sześciu dziesięcioleci, wyprawa w przyszłość bardzo odległą, wymykającą się wyobraźni. Mimo wszystko jednak, śledząc wizję XXII wieku, jesteśmy w lepszej sytuacji niż autor książki, który zapewne nawet nie przeczuwał wielu znanych nam już odkryć naukowych i wynalazków, z którymi jesteśmy od dawna oswojeni, jak rozbiór atomu, jak radar, laser czy telewizja.

Nie było wtedy jeszcze polskiej radiofonii, chociaż nieliczni zapalczywi odbierali radiostacje zagraniczne przez słuchawki, w których wśród szumu i trzasków rozlegały się przerywane i nikielne dźwięki mowy lub muzyki, w szczególności momencie, gdy drucik nakierowany dłońmi radiolubszczy, dotknął odpowiedniego zagłębienia w porożeniu „kryształku”.

Toteż chyba na zasadzie czystego przypadku jeden z bohaterów powieści, amerykański dziennikarz jest zatrudniony w gazecie pod tytułem „Radio-Tel-News” (być może chodziło autorowi o wweksponowanie radiowego „zdańca” następu — stąd owo „Tel” — jako głównej podstawy gazutowej informacji). Rzecz dzieje się, a raczej rozpoczyna „gdzieś w USA”, które zresztą są jednym z siedmiu sfederowanych krajów „Indo-Amerykańskiej Rzeczypospolitej” (nie wiem, czy już z początkiem lat dwudziestych marzył się narodzić Stan Zjednoczony Eurocy). Otóż w tymże kraju przelatuje się jednoosobowym prywatnym „pne-

uotem” w niespełna godzinę od wschodnich do zachodnich krańców dzisiejszego USA (wyczyn godny dziś chyba tylko wahadłowca), masową natomiast komunikację powietrzną między Japonią i USA utrzymują gigantyczne sterowce pasażerskie (reminiscencja niedawnych „Zeppelinów”).

Nie będziemy przytaczać wszystkich rewelacji technicznych, składających się na wyobrażenie autora o stanie nauki i techniki w początkach XXII wieku; na ogół nie wyróżnia się on szczególną przenikliwością futurologiczną. Odniosłem zresztą wrażenie, że nie silił się zgłębiać przypuszczalnych kierunków rozwoju wynalazczości, zawierzył współczesnemu sobie modelowi postępów mechaniki, choć tu i ówdzie, w sposób chyba ostateczny niefrasobliwie rozciąga mgliste wizje silnika rakietowego czy też różnorodnych zastosowań fal elektromagnetycznych. Kontrastują z tym, być może zamierzone, anachronizmy, gdy np. wielki uczonec, napędzający swój rakietowy wehikuł czasu wynalazczym przez siebie „monitem”, rozświetla sobie ciemności nocy zwykłymi... zapalnikami, z których co prawda każda się zapala, ale powieść pisana była sześćdziesiąt lat temu.

Wszystko jednak wskazuje na to, że autor traktował realia naukowo-techniczne raczej nonszalancko, główną bowiem intencją powieści jest próba satyrycznego spojrzenia na ludzką społeczność w różnych uwarunkowaniach historycznych. Otóż ze wspomnianego roku 2123 czterosiobowa grupa ludzi, profesor-wynalazca, jego asystent, dziennikarz-intruz i córka profesora, startują torpedą czasu w przeszłość, przelatując i nad naszymi czasami, i nad czasem pisania powieści daleko wstecz, „ładując” w latach Wielkiej Rewolucji Francuskiej.

Dlaczego akurat ten okres historyczny upodobał sobie nasi podróżnicy? Ponieważ, jako gorący zwolennicy ustroju demokratyczno-republikańskiego, ogarnięci ideą braterstwa ludów i jako zagorzali pacyfści, pragną przez swoją interwencję w wypadki dziejowe tak pokierować rozwojem ludzkości, żeby zaoszczędzić jej despotycznych rządów i kataklizmów wojennych, stymulując w zamian (wbrew znanym nam faktom dokonanym) bezkrawawą rewolucję republikańską. Wybierają w tym celu Francję wojen rewolucyjnych, zanim republikański generał Bonaparte zostanie cesarzem i zlikwiduje republikę. Oni właśnie pragną nie dopuścić do takiego rozwoju wydarzeń, przecinając w odpowiednim momencie pasmo zwycięstw i drogę kariery Bonaparte’a przez wysadzenie na odległość amunicji stron walczących (a przynajmniej wojsk rojalistycznych) i stosując promienie obezwładniające fizycznie walczących i odbierające im animus wojenny.

Ale na samym początku ta najnowocześniejsza technika płata naszym bohaterom psikusy, w swoich bowiem pierwotnych obliczeniach nie uwzględniany był przez uczonych udział wścisłkiego dziennikarza, którego ileś tam kilo wagi wywołuje paromiesięczne opóźnienie w locie wstecz, wskutek czego torpeda zamiast w 1795 r. ładuje w pierwszych miesiącach roku następnego. Nie do wyliczenia jest dokładna wielkość tego odchylenia, toteż aby zorientować się w dacie, podróżnicy przepytują napotykaną żołnierzy, zmierzających na nieznane im jeszcze pole bitwy, o

nazwy odbytych bitew, żeby „utrafić” w tę nieodbytą, ale przecież znaną naszym uczonym z podręcznika historii.

Toteż właśnie ta bitwa nie dobiegła końca, Bonaparte nie odniesie kolejnego triumfalnego zwycięstwa i nigdy już nie zostanie cesarzem, a historia potoczy się po innych torach. Ale to historyczno-polityczne „gdybanie” nie wypełnia sobą całkowicie losu bohaterów, mają oni swoje indywidualne przygody i osobiste przeżycia, choć wikłają się w gry i intrzygi polityczne, kontaktują się osobiście z przywódcami republikańskimi, ofiarowując im swoje techniczne usługi dla pokojowego, bezrozlewu krwi, zwycięstwa nad tyranami. Przywódcy republikańscy okazują się jednak żadni sławy wojennej i spragnieni wzięcia odwetu na przeciwniku.

Toczą się więc światopoglądowe spory pomiędzy wysłannikami przyszłych czasów a zacofanymi umysłowo i moralnie ludźmi osiemnastego wieku, dziwnie nierzadko podobnymi do mieszczków pewnego nadwiślańskiego kraju, współczesnych Słonimskiemu, a może i późniejszych o sześćdziesiąt lat.

Nasi bohaterowie rozrzucają przez los po Europie tracąc część swojego nowoczesnego sprzętu i na jakiś czas gubią się wzajemnie. Dochodzi ostatecznie do tego, że asystent profesora i jego ukochana a piękna córka decydują się pozostać na zawsze w tym osiemnastowiecznym zacofanym świecie, tak więc w powrotną podróż do wyjściowego punktu akcji (czyli roku 2123) wybierają się tylko profesor z dziennikarzem.

Rzecz kończy się niesłychanie przewrotnie, żeby nie powiedzieć — perfidnie. Dzięki wiadomym interwencjom pasażerów torpedy czasu bieg dziejów ludzkości potoczył się całkiem inaczej niż uwieczniła w swoich zapisach historia. Nie pozostało nawet śladu w świadomości społeczeństw po Napoleonie i po wielu innych dotychczas sławnych postaciach, a nasi podróżnicy powrócili do świata bardziej sobie obcego niż osiemnastowieczna Francja.

Na domiar wszystkiego profesor, którego przodek poznał swoją przyszłą żonę na wystawie pamiątek napoleońskich, nie mógł jej tam poznać, skoro nie było Napoleona, nie mógł więc przyjeść na świat ani ojciec profesora, ani on sam, co stwierdza wostupieniu dziennikarz, który zdaje sobie sprawę, że nie będzie mógł opisać dla swej gazety odbytej wyprawy, bo któż w nią uwierzy z braku jakichkolwiek znanych odniesień historycznych. Ten absurd jest jednak nieublagana konsekwencją fantastycznego założenia powieści, wymuszającego fakty dokonane.

Antyutopia Antoniego Słonimskiego, czyli utopia podporządkowująca założenia powieści satyrycznemu celowi — demaskacji tego najlepszego ze światów — stanowi bez wątpienia projekcję sceptycznych poglądów autora na niektóre silnie zakorzenione cechy natury ludzkiej.

JERZY KWIECIŃSKI

Antoni Słonimski: „Torpeda czasu”. Powieść fantastyczna. Towarzystwo Wydawnicze „Ignis” (E. Wende i S-ka). Sp. Akc. Warszawa 1924, str. 146.

„DEBIUTY — 86”

Jury w składzie: Grzegorz Gazda, Wiesław Jajdżyński (przewodniczący), Edward Kolbus, Ewa Miller, Henryk Pustkowski, Marek Samborski i Henryk Zasławski postanowiło: w dziale poezji — nie przyznawać I i II nagrody, nagrodę III przyznać Januszowi Jajdżyńskiemu; w dziale powieści — przyznać I nagrodę „Jadwigerze” oraz przyznać II nagrodę Włodzisławowi Czemielipskiemu — godło: „Konwalia”; w dziale powieści — przyznać I nagrodę „Imperatrycy” — godło: „Morszczuk”; w dziale powieści — przyznać I nagrodę „Adam” — godło: „Morszczuk”; w dziale powieści — przyznać I nagrodę „ER” — godło: „Morszczuk”; w dziale powieści — przyznać I nagrodę „Zajęca” — godło: „Morszczuk”.

W dziale prozy jury postanowiło nie przyznawać I nagrody, nagrodę II przyznać Grażynie Bąkiewicz — godło: „Astra”, nagrodę III — Wojciechowi Bojanowskiemu — godło: „Morszczuk” oraz przyznać wyróżnienia: Wiesławowi Bojanowskiemu — godło: „Wiesław” i Elżbiecie Zawadzkiej — godło: „GK”.

JAK DŁUGO BĘDIEMY CZEKAĆ Z „LIKWIDACJĄ STARYCH PORTFELI”?

OPZZ ongiś tak bardzo aktywne przy opracowywaniu zmian do ustawy o związkach zawodowych, nie kwapi się do opracowania własnego projektu zmian do ustawy o rewaloryzacji rent, jakby lekceważąc swoje bytomskie zobowiązanie o jak najszybszej likwidacji „starych portfeli emerytalno-rentowych”. Ustawa emerytalna z 1982 roku, mimo że rząd w punkcie 14 gdańskiego porozumienia społecznego zobowiązał się jeszcze w 1980 roku do ich likwidacji, takiego działania nawet nie zasygnalizowała. Odwołując się do art. 122 wyrażenie „stare portfele” postanowiła utrzymać, utrwalając ich istnienie i powstawanie w przyszłości w art. 74, a także w art. 29 i 33 wymienionej ustawy. Również termin „rewaloryzacja” zastąpiono terminem „waloryzacja” i tylko pozornie wydawałoby się, że między nimi nie ma żadnej różnicy. Tymczasem „rewaloryzacja” w systemie emerytalnym znaczy „przeobrażenie pierwotnej wartości emerytur i rent stosunkiem ich podstawy wymiaru do średniej płacy w gospodarce społecznej z roku, z którego pochodzą zarobki, które zostały przyjęte przez ZUS do obliczenia tej podstawy wymiaru po raz pierwszy”. „Waloryzacja” natomiast w potocznym rozumieniu tego słowa, w systemie emerytalnym jest pseudowaloryzacją polegającą na systematycznym i systemowym spłaszczaniu (obniżaniu) realnej wartości rent i emerytur pod płaszczykiem corocznych podwyżek dokonywanych z mocy art. 74 ustawy. Aby więc ten stan zmienić i przyspieszyć, Krajowa Rada Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Poligraficznego PRL z Radą Weteranów Pracy tegoż przemysłu, specjalizująca się w doskonaleniu systemu emerytalnego od 10 lat, 20 czerwca 1986 r. wystąpiła z własnym „propozycją zmian do ustawy emerytalnej” do marszałka Sejmu, prezesa Rady Ministrów i przewodniczącego OPZZ, licząc, że w ten sposób uaktywni wyżej zainteresowane instytucje w przedmiotowym działaniu. Ale i tym razem ani OPZZ, ani resort pracy, plac i spraw socjalnych nie przejęli się zbytnio, chyba że przyjmili iż ich kontrakcją był wspólny projekt ustawy o odmiennie niż dotąd organizacji i finansowaniu ubezpieczeń społecznych. Warto zauważyć, że projekt ten przewiduje realizację wszystkich rent i emerytur z jednej kasy, inaczej mówiąc z „jednego worka”, jakby nie zauważając, że Pracownicy Fundusz Emerytalny ZUS jest absolutną własnością ludzi pracy, choćby z tej racji, że został stworzony z części zarobków pracowników odprowadzanych do ZUS (pod postacią składek emerytalnej i na ubezpieczenia społeczne) jak do PKO na zabezpieczenie starości. Składki te ongiś były nam nawet potrącone na listach płac. Ze względu jednak, że ZUS nie prowadzi indywidualnych kont ubezpieczonych pracowników, naliczanie tych składek usprawniono w ten sposób, że ostatnio obliczane są o globalnej sumy wypłat, lecz mimo to jak dawniej nadal są odprowadzane do ZUS z funduszu plac, a nie z innych funduszy zakładów pracy.

Gdyby Piotrowski zmarł w wieku 100 lat, dożyłby dziesiątej emerytury, to jej wysokość kształtowałaby się na poziomie około 10.000 zł, a zatem byłaby mniejsza o ponad połowę średniej płacy w gospodarce społecznej, choć jego zarobki kształtowały się na poziomie 3- do 4-krotnie ówczesnej średniej krajowej. Konstytucja PRL nie tylko każdemu gwarantuje równe prawa obywatelskie, ale nawet w art. 19, 76 i innych, zapewnia weteranom pracy i walce szczególną troskę i szacunek, co w ustawodawstwie emerytalnym nie ma absolutnie żadnego odbicia. Poza składowi twierdzą nawet, że nasz system emerytalny jest sprzeczny nie tylko z moralnością i sprawiedliwością socjalistyczną, ale przede wszystkim z gwarancjami zawartymi w Konstytucji PRL, tym bardziej, że wynika z niego, iż likwidacja „starych portfeli” zaplanowała się przeprowadzić nie środkami ekonomicznymi, lecz jak to ogłoszono w pismach OPZZ „PUNKT WIDZENIA” nr 16/86 za pomocą jego redakcja, przez „funkcję dobroczynnego oddziaływania czasu lub samoregulacji układu”, zadając natychmiast pytanie „czy jest to humanitarne?”. W przedmiotowym natomiast piśmie z 20 marca 1986 r. Krajowej Rady Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Poligraficznego, skierowanym do najwyższych czynników w państwie, przywołując wypowiedzi posłów Króla, Michałki, Lewandowskiego, Szostek i posłanki Niepokulczyckiej, którzy nie kryli się z obawami, że wielu emerytów i rencistów może nie dożyć do momentu przyznania im ostatniej raty, napisano wręcz, że ustawa waloryzacyjna, z 30 stycznia 1986 r. może być „odeczytana przez społeczeństwo za chęć zlikwidowania starych portfeli... środkami biologicznymi”.

Warto także zauważyć, że Krajowa Rada Związku Zawodowego Pracowników Przemysłu Poligraficznego, z Radą Weteranów Pracy i Krajowym Konwentem Seniorów w swoich korespondencjach proponują usunięcie z art. 122 ustawy emerytalnej ograniczenia obniżającego faktyczną podstawę wymiaru i rewaloryzowanie rent i emerytur, tak jak to stosuje się dla najmłodszego pokolenia emerytów i rencistów, od pełnej, nie pomniejszonej art. 122 podstawy wymiaru. Proponują też przyznanie innym niż dotąd dodatków stażowych. Dotąd bowiem wynosi on 1 proc. za każdy dodatkowy rok pracy ponad 20-letni okres zatrudnienia od 1945 roku, gdy inna ustawa emerytalna, np. dla zawodowych żołnierzy Ludowego Wojska Polskiego, przewidywała dla nich 3 proc. dodatek za każdy dodatkowy rok służby już po 15-letnim okresie zatrudnienia na obszarze państwa polskiego od... 1918 roku. Jest to także niezrozumiała nierówność w świetle Konstytucji PRL. Proponujemy nasze zmierzanie ku temu, aby wyłączenie dodatków stażowych o wysokości rent i emerytur. Dlatego zdajemy one, aby przyznać prawo do 1 proc. dodatku dla każdego roku pracy już po 15 latach pracy, 2 proc. po 20 latach, 3 proc. po 25 latach, 4 proc. po 30 latach i 5 proc. po 35 latach zatrudnienia od 1918 roku. Proponujemy zdajemy też ku temu, aby za odznaczenia resortowe i państwowe określić dodatków w wysokości 3000 zł z tytułu otrzymania jednego odznaczenia oraz po 500 zł za każde dodatkowe odznaczenie. Dajemy też, aby osobom, którym przysługują prawo do dwóch zaopatrzeń, z wybranego przysługującego pełny ustawowy wymiar, a z drugiego jedynie 25 proc. wymiaru, z wyłączeniem inwalidów wojennych i inwalidów z wypadków przy pracy, którym powinno przysługiwać zaopatrzenie z obu tytułów w pełnej wysokości.

Zbliżają się krajowe zjazdy związków zawodowych oraz II Konferencja Delegatów Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych. Emeryci i renciści wyjdą spod prawa posiadania własnego związku zawodowego, swojej własnej autorytatywnej

reprezentacji na nich, ani też w przyszłych organach krajowych, jak dotąd nie mają i mieć nie będą. A szkoda, że traktuje się ich nadal tak jak w dawnych „przedsiębiorstwach związkach”, bo przecież właśnie ich inicjatywom nowy ruch zawodowy w dużej mierze zawdzięcza swoje powstanie. Liczyli, że w nowych związkach zawodowych zacznie się ich traktować na równi z członkami czynnymi zawodowo. Nie jednak z tego nie wyszło. Domagali się także, aby Rada Weteranów Pracy powstała przy OPZZ, aby zaczęto wreszcie realizować w OPZZ zasadę „nie o emerytach bez emerytów”. I z tego też nic nie wyszło. W materiałach OPZZ przygotowywanych na II konferencję krajową, o likwidacji „starych portfeli” absolutnie nie się nie mówi. Operuje się terminem w rodzaju „przyspieszenie waloryzacji rent i emerytur”, co zostało już odczytane, że OPZZ nie opowiada się ani za likwidacją „starych portfeli”, ani też za takim mechanizmem ustawowym, który by nie dopuszczał do ich powstawania w przyszłości, a takim mechanizmem nie jest ani art. 74 o corocznej waloryzacji rent i emerytur, ani art. 29 i 33 ustawy emerytalnej z 1982 roku, ani też ustawa z 30 stycznia 1986 r. o wczesniejszej waloryzacji, która dyskryminację ludzi dla Polski Ludowej zasłużonych jedynie pogłębia swoimi rozwiązaniami.

WŁODZIMIERZ SAWA-BORYSŁAWSKI
(lat 75,5)

KTO ZNISZCZYŁ LAGRY W GALKÓWKU?

W piątek 27 lipca 1944 r. za kwadrans dwunasta w Galkówku nastąpiły wybuchy, które pozbawiły życia kilkadziesiąt istnień ludzkich, wśród nich przymusowo tam zatrudnionych Polaków. W okresie przedwojennym w Galkówku znajdowała się składnica uzbrojenia podlegająca pod dowództwo 28pp w Łodzi. W okresie wojny Niemcy po częściowym przebudowaniu istniejących pomieszczeń uruchomili tu wytwórnię ciężkiej amunicji i min. Z Galkówka już prosto na front zabierano amunicję artylerijską i miny. Zatrudniano tu około 800 osób, głównie z Galkówki i okolic oraz z Łodzi. W pewnych okresach zatrudniano tu niewolników rosyjskich, jugosłowiańskich, oddziały nieżyły lojalnych wobec Niemców Węgrów i Włochów, a w końcowym okresie okupacji zdrajców od Włosa. Wytwórnia miała duże znaczenie dla wojska niemieckiego, szczególnie od chwili wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej, kiedy stała się bazą zaopatrzenia dla frontu wschodniego. Wybuchy, które nastąpiły 27 lipca 1944 r., nieuruchomiły zupełnie wytwórnię i przyczyniły się w pewnej mierze do ostatecznej klęski okupanta. Do dziś, mimo upływu przeszło czterech dziesięcioleci, trwają dyskusje i pytania — kto to zrobił? Kto zniszczył lagry w Galkówku? Spodają tu różne wersje, które do dziś są tematem dyskusji i sporów. Mówi się, że lagry zostały wysadzone w powietrze przez partyzantów Armii Krajowej. Żadna z polskich konspiracyjnych organizacji nie przyznała się do tego. Wszystko co w lagrach się działo, więc produkcja, transport, warunki pracy itd. było przedmiotem zainteresowania polskiego ruchu oporu. Żołnierze Armii Krajowej, i ci zatrudnieni w lagrach, i ci zamieszkałi w Galkówku, prowadzili robotę wywiadowczą i sabotażową. Amunicja wyprodukowana w Galkówku nie zawsze spełniała swoje zadania. Na froncie okazywało się, że jest niewypałów. Nie wszystkie pociski z amunicją docierały na front, zdarzały się wypadki zatarcia osi i zapalenia się pocisku z amunicją. To wszystko było wynikiem akcji sabotażowych wykonanych przez Polaków. Wielu ludzi twierdzi, że wysadzenie lagrów ma ścisły związek z wybuchem Powstania Warszawskiego, i dlatego przypisuje się to Armii Krajowej. Z punktu widzenia strategii działań wojennych takie przypuszczenie jest słuszne, bo przecież lagry w Galkówku były bazą zaopatrzenia frontu, a zniszczenie ich w przededniu powstania było jak najbardziej celowe. Czy jednak wysadzenie lagrów było przewidziane planem KG AK? Jeżeli wysadzenie lagrów zostało wykonane na rozkaz i przez żołnierzy AK, dlaczego przez 42 lata nikt tego nie potwierdził. A przecież żyją oficerowie KO AK-Łódź, którym powinno to być znane. Istnieje także zwyczaj (moim zdaniem jak najbardziej niesłuszny), że tam gdzie na skutek wykonanej akcji były ciężkie straty i ofiary, tam zataja się przynależność organizacyjną wykonawców. Czy może dlatego nikt się nie chce przyznać? Trzeba nam jednak rzetelnej prawdy, choćby była bardzo gorzka. Na skutek działalności Huby, hitlerowcy spalili i wymordowali m. in. w Galkówku Huciska, Michłowi przestał istnieć za sprawą Ponurego, a przecież i Hucisków i Ponurego stawiamy pomniki. Ofiary choć bardzo bolesne nie poszły na marne.

Pierwszy wybuch nastąpił przy rozładunku min, które zostały dostarczone z podobnych lagrów w Stawach k. Puław, gdzie zbliżający się front spowodował ewakuację. Istnieje przypuszczenie, że ładunek wybuchowy został właśnie założony w Stawach przez tamtejsze oddziały Armii Krajowej. Jeżeli chodzi o żołnierzy Armii Krajowej z terenu Galkówka to: Stefan Ślimińczuk zginął przy pierwszym wybuchu, zaś Stanisław Szczepaniak, Antoni Płotowski i Stanisław Kaźmierczak aresztowani jesienią 44 r. ponieśli śmierć w Radogoszczu. Do dziś nie wiadomo, czy trzej ostatni byli aresztowani w związku z wybuchami.

Według relacji ludzi, którzy byli zatrudnieni w lagrach, warunki pracy jak na okupację nie były najgorsze. O Niemcach z komendantury lagrów istnieją opinie, że byli w większości przeciwnikami hitlerizmu, mówili się, że „szło z nimi żyć”. Wspomina się Niemca nazwiskiem Kister, którego ponoć znano z okresu przedwojennego jako oficera Wojska Polskiego o nazwisku Skrzyński. Otóż ten Kister-Skrzyński zaraz po wybuchach zniknął z Galkówka, a tuż po wojnie był widziany w stopniu majora Wojska Polskiego. Czyżby wiceprzewodniczącego kapitana Klossa?

W dzień wybuchów lagry wizytowała komisja z wyższego dowództwa niemieckiego. Sprawdzano m. in. stan zabezpieczenia p-pożarowego i sygnalizacji alarmowej. Jeden ze sprawdzających wszedł na wieżę obserwacyjną, na której dyżur pełnił Polak, Jan Zrobiek. Niemiec nakazał Zrobiekowi opuścić wieżę i pozostał na niej sam przez kilka minut. Po zejściu z wieży Niemiec natychmiast opuścił lagry. Zaraz potem nastąpiły pierwsze wybuchy. Po wieży obserwacyjnej nie pozostało śladu. Zginął tam również Jan Zrobiek. Ci, którzy są zwolennikami wersji, że wysadzenie lagrów nastąpiło na skutek działalności antyfaszystowskiego ruchu oporu zwracają uwagę, że nastąpiło to w kilka dni po nieudanym zamachu na Hitlera (20.7.44 r.). Podobne wypadki zanotowano w kilku miejscach w Rzeszy i okupowanej przez Niemców Europie.

Z innych wersji wynika, że nie było żadnej dywersji, żadnego działania ruchu oporu, że wybuchy nastąpiły na skutek nieszczęśliwego wypadku. Wystarczyła mała nieostrożność, zaproszenie ognia, a nieszczęśliwe gotowe. Dzień był słoneczny, było bardzo ciepło. W tym całym nieszczęśliwym dniu Galkówka dziwnie było zachowanie się Niemców. Nie zastosowano w stosunku do Polaków żadnych represji. Jedynie na skutek zniszczenia lagrów nie wszyscy znaleźli zatrudnienie. Młodzież żeńska wywieziono do pracy w Poznaniu, męską do Leszna. W czasie wybuchów przestał istnieć granicę z GG. Ludzie uciekali, aby dalej od Galkówka. Pomoc lekarska dla wszystkich była jednakowa. Pogrzeb ofiar odbył się na koszt Niemców.

Dwa lata temu, 27 lipca 1984 r., w 40 rocznicę opisanych wy-

padków, z inicjatywy tutejszego koła ZBoWiD odbyła się skromna uroczystość wspomnieniowa przy udziale rodzin ofiar, społeczeństwa Galkówki oraz kombatantów. Wspomniano te tragiczne dni. Na grobach ofiar złożono kwiaty i zapalono znicze. Mówiono o potrzebie zachowania w pamięci tych wydarzeń. Tablica upamiętniająca te tragiczne wypadki będzie tylko skromnym dowodem pamięci. Ludzie, którzy wtedy zginęli, to również ofiary wojny i dlatego należy o tym pamiętać. Opinię taką wyraziła również Okręgowa Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi i wniosek o upamiętnienie tych tragicznych wydarzeń zaakceptowała.

ZDZISŁAW T. PIASECKI
Prezes koła ZBoWiD
Galkówek

„PRACOWNICZA CZY ROBOTNICZA”

Dopiero na wczoraj znalazłem trochę czasu na dokładne przestudiowanie artykułu Bronisława Muszyńskiego pt. „Pracownicza czy robotnicza”, zamieszczonego w 34 numerze „Ogłosów”.

Myszę, że autor powinien wyraźniej stwierdzić, że rady zostały wypuszczone w maliny, albowiem oczekuje się, że właśnie one będą wypracowywały alternatywne w stosunku do dyrekcji rozwiązania.

Jest rzeczą oczywistą, że temu zadaniu, amatorskie gremia działające społecznie, nie mogą i nie będą mogły podjąć, żebyśmy je nawet najtroskliwiej szkolili.

Czytałem kiedyś sprawozdanie z kontroli przeprowadzonej przez NIK, w którym ubolewano, że rady pracownicze zbyt mało zajmują się obniżką kosztów, racjonalizacją gospodarki materiałowej, podnoszeniem jakości, poprawą warunków pracy, itd. Zbyt często zapomina się, że samorząd i rada pracownicza jest organem władzy, a nie zespołem robotników. A władza nie robi, tylko rządzi, tzn. analizuje sytuację, prognozuje przyszłość, wyznacza zadania, nagradza i karze.

Wydaje się, że warto, aby nasze samorządy bliżej przyjrzały się tzw. partycypacji, czyli udziałowi pracowników w sprawowaniu władzy w krajach kapitalistycznych. Warto by podejrzeć tam przyjęte rozwiązania prawne i stosowaną praktykę.

Problem polega na tym, żeby każdemu prawnie przyznać co najwyżej tyle władzy, ile może udźwignąć i tyle przydzielić pracy, ile może wykonać.

Uważam, że samorządy mogą się pod ciężarem władzy i nałożonych zadań nie tylko ugnać, ale wręcz załamać.

Co robić? Wydaje się, że słusznie proponuje B. Muszyński — samorządy i rady pracownicze powinny być przede wszystkim organem władczym, tzn. nie powinny wypracowywać rozwiązań, lecz żądać ich opracowywania przez specjalistyczne służby, zatwierdzać lub odrzucać, a w przypadku rozwiązań alternatywnych oceniać i wybierać, a ponadto kontrolować realizację i wyniki.

W każdym bądź razie, warto by podkulturować nad formą władzy samorządów, zakresem ich zadań, obowiązków i odpowiedzialności.

Nazwisko i adres znane redakcji

LEJ Z PROBLEMAMI

Budowę Zespołu Górniczo-Energetycznego w Bełchatowie zajmowała się Najwyższa Izba Kontroli wielokrotnie. Po ostatniej kontroli w końcu 1982 roku zalecono Ministerstwu Górnictwa i Energetyki oraz różnym jednostkom współpracującym inwestycję wdrożenie konkretnych wniosków, niektóre z nich miały charakter wręcz zasadniczy dla właściwej jej kontynuacji. Dla resortu stały się one jednak tylko pobożnymi życzeniami, z którymi można się zgadzać, ale nie znaczy, żeby uwzględnić w pracy. W szczególności ministerstwo nie zapewniło uściślenia danych o zużyciu węgla, nie rozwiązało zagadnienia rytmicznego zapotrzebowania potrzeb na paliwo Elektrowni Bełchatów I w okresie przewidywanego eksploatacji mniej zasobnej części, a także doprowadziło do założenia w programach przedkładań do zatwierdzenia przez rząd budowy w Elektrowni Bełchatów II sześciu bloków, mimo że dotychczas nie rozwiązano zagadnienia zrównoważenia bilansu paliwowego w tym rejonie. Brak realizacji tych wniosków może okazać się brzemieniem dla losów tej jakże ważnej dla kraju inwestycji.

Z roku na rok szacunki zasobów węgla brunatnego w Bełchatowie są mniej korzystne: w końcu grudnia 1981 r. wynosiły one 1246,8 mln ton przy wartości opałowej 2159 kcal/kg, w grudniu 1982 r. — 1130 mln ton, w końcu grudnia 1983 r. — 1084 mln ton przy wartości opałowej 2111 kcal/kg, w połowie 1985 r. — 1067 mln ton przy wartości opałowej 2075 kcal/kg. Zasoby te uległy dalszemu zmniejszeniu po uwzględnieniu rzeczywistej naturalnej wilgotności węgla. W oparciu o obowiązującą instrukcję z 1960 r. przyjmowano w dokumentacji geologicznej założenie, że wilgotność wynosi 50 proc. W trakcie udostępniania złoża okazało się, że naturalna wilgotność węgla w złożu Bełchatów jest wyższa i wynosi ok. 53 proc.

Jeszcze mniejsze są zasoby wydobywalne, które mogą ulec dalszemu zmniejszeniu m. in. wskutek: dokładniejszego zbadania zaburzonej budowy części złoża w rejonie południowej skarpy odkrywkowej Bełchatów, konieczności tworzenia filarów ochronnych w rejonie wysadu solnego Dębiny oraz tworzenia tzw. pól bezpieczeństwa w spagu pokładu węglowego (w zagłębieniu partii złoża). Prace geologiczne przewidziane „Programem kompleksowych prac geologiczno-badawczych na złożu węgla brunatnego Bełchatów” z 1984 r. są realizowane zaledwie w kilku procentach. Konieczna jest kontynuacja badań wpływu wysadu solnego Dębiny na stopień zasolenia wód podziemnych i ewentualnego skłócenia soli do ługowania pod wpływem przepływu wywołanego lejem depresyjnym. Według COBPGO „Poltegor” ługowanie to może wywołać deformację górotworu, uniemożliwić wybranie węgla zalegającego w bezpośredniej osłonie wysadu. Nie rozpoznano dotychczas genyzy występujących w rejonie KWB Bełchatów wstrząsów sejsmicznych, od czego uzależniona jest działalność zmierzająca do zmniejszenia ich ewentualnych ujemnych skutków w kopalni i obiektach budowlanych. Nie udało się na razie dokonać interpretacji zarejestrowanych przez 5 aparatów sejsmologicznych wstrząsów.

Uchwała nr 193/83 Rady Ministrów z 3 września 1982 roku w sprawie dalszej realizacji budowy ZGE Bełchatów oraz inwestycji towarzyszących mówiła o zainstalowaniu w Elektrowni Bełchatów I 12 bloków energetycznych o łącznej mocy 4320 megawatów. W owym okresie znano już potencjalne zagrożenia w zakresie wystarczalności dla tej elektrowni zasobów węgla z pola odkrywkowej Bełchatów. Docelowa zdolność wydobywa węgla w 1988 r. w ilości 38,5 mln ton miała zapewnić pokrycie potrzeb paliwowych Elektrowni Bełchatów I (36,0 mln ton rocznie), po osiągnięciu przez nią docelowej mocy. Pozostałe 2,5 mln ton miało stanowić gwarancję niezawodnej pracy oraz bardziej intensywnego od projektowanego wykorzystania elektrowni. Okazuje się jednak, że zasoby węgla w polu budowanym obecnie odkrywką Bełchatów zapewniają eksploatację 12 bloków w Elektrowni Bełchatów I przez około 28 lat, a więc znacznie poniżej okresu technicznego i ekonomicznego uzasadnionego, który wynosi ok. 40 lat. Nie jest w pełni zapewniona też rytmiczność bieżących dostaw węgla, szczególnie w okresie eksploatacji uboższych partii złoża (1985—1988 r.).

Podobnie błędne ustalenia dokonano w przypadku odkrywkę Szczerców, której budowę rozpoczęto w 1986 r.

WACŁAW OPACKI

Pomyśl spędzenia dwóch tygodni nad Bałtykiem podsunęli mi koledzy z redakcji. Jedź — mówią — Beniek nad nasz Bałtyk błękitny, zobacz, jak kulturalnie i godnie spędzają urlopy nasi rodacy. Moze nasze szlachetne obyczaje upowszechnisz w swoim kraju a może nawet, za swoją sprawą, dotrą one do Perszeronii...

Pojechałem, a co mi widział akuratnie tu opisuję, wystrzegając się jakiegokolwiek fałszu, którym się brzydzę, jak wie-przowiń.

Zajechałem do miejscowości... niech będzie N. Nomina sunt odiosa, jak mawiali starożytni. Perszeronicy, za czasów regenta Meka Karty, który nadzwyczaj kochał inwigilację obywateli i wszelkie delatorstwo, przekształcili to przysłowie — brzmiało u nich: „Lepiej po pysku niż po nazwisku”.

Opowieść bliskowschodnia

Beniek nad Bałtykiem

Pojechałem pociągiem, rzecz jasna, jako wierny przyjaciel Perszeronii unikam pojazdów samochodowych, które w tym kraju już nie są wprawdzie zakazane, ale i tak budzą powszechną niechęć.

Pierwsza rzecz, jaka mnie zdziwiła, to fakt, że na pociąg, którym jechałem nie mogłem sobie wykupić miejsca sypialnego. Tylko z Warszawy! No cóż, znam kraje wschodu, w których bywają linie kolejowe (jeśli w ogóle bywają) wyłączone ze stolicy i do stolicy. Tam nie istnieją takie problemy a lud i tak bywa zadowolony, zresztą najczęściej jeżdżą się na ośiach i wielbłądach i po kłopotach.

Przy okazji — populacja wielbłądów wydaje się w Polsce wyjątkowo niewielka... O niezbyt wielu ośiach jako lojalny gość tego kraju wypowiadać się nie będę.

Zajechałem przeto i udałem się do domu wypoczynkowego, do którego uprzednio wykupiłem skierowanie.

Jako człowiek oszczędny doznałem kolejnego, niemiłego rozczarowania. W recepcji tegoż domu znów musiałem uiścić jakieś opłaty. A gdybym nie miał pieniędzy? — zapytałem panią recepcjonistkę — przecież mam bilet kolejowy i skierowanie, mogę nie mieć innych wydatków...

Popatrzyła na mnie uważnie: — Bez pieniędzy? Na wczasy? Do tego cudzoziemiec? Ciesz się pan, panie Ben... panie Magneton, że nie opłacasz pan w złonych. Przy okazji, po ile pan bierzecie? Mogłabym, pan rozumiesz, coś owsem, czincz many, po jakimś ludzkiem kursie... andersten?

— Nie jestem waluciarzem, pieniądze wymieniam w banku. Ponadto nie nazywam się ani Magneton ani Andersen tylko Grundik, Ben Grundik, gdyby pani łaskawie chciała zapamiętać...

— Zapamiętam, na pewno zapamiętam — mruknęła z pogardą.

W swoim pokoju znalazłem wygodną leżankę, reprodukcję obrazu Fałata z nalepioną pośrodku kartką z numerem inwentarowym, stół, krzesło i szafę. Nic więcej! Nawet radio ani lampki nocnej! Co tu pobiegnie poszukać służby hotelowej. Bezszyte. Dom wypoczynkowy nie jest żadnym Hiltonem — wyjaśni mi kierownik — lampki nie przysługują, bo goście pili wódkę z kłosa do lampy, radio zepsuło albo ukradli, a sprzątaczkę pracującą od ósmej do piętnastej. To jest normalny zakład pracy, a nie jakiś — za — przeproszeniem — harem... Pan jestes polonijny? Co pan u nas robisz? Nie można było z Orbisem albo z prywatną firmą? A potem — zupełnie tak samo jak recepcjonistka użył nieznanym mi dotąd polskich słów „czincz many” i nazwał mnie „Andersenem” choć jako żywo nie przypominał duńskiego baśniopisa.

Gwoździł sprawdził, dodał muszę, że z dziwną propozycją, brzmiała po polsku „czincz many” spotkałem się jeszcze niejednokrotnie i zawsze moja odmowa budziła u pytającego co najmniej zdziwienie.

Udałem się do pensjonatowej restauracji na śniadanko. Pokaźnych rozmiarów jejmość spojrzała na mnie z nienawścią pomieszaną z politowaniem — śniadanie? Proszę pana śniada-

nie wydajemy do godziny dziesiętej. A jest już dziesiąta trzydziści. No, może znaleźć coś w kuchni. Ale na przyszłość proszę punktualnie! To jest dom wczasowy a nie jakaś knajpa. Rzeczywiście, na posiłki musiałem przychodzić o ściśle określonych godzinach, co nie zdziwiło mi się nigdzie na świecie.

Na obiad przyszedłem więc w marynarce i krawacie, jak to jest we zwyczajach przyzwoitych restauracjach i zaordynowałem: jakaś zupa z jarzyn i kawałek ciecierzyny. Na deser proszę o kawę!

To już kompletnie zdenerwowało kelnerkę: — Czyś pan się urwał z choinki? A może pan jesteście z granicy? Tu nie ma potraw z karty, dziś jest zalewajka i pierogi.

— Ale kawę mogę poprosić, dopłacić jej cenę! Nic nie odpowiedziała, stuknęła się w czoło i odwróciła na pięcie.

Podobnie było z kolacją. Mu-

mi tylko brzęchać sta do pierwszej linii boi, a tam wody najwyżej do pasa. Dowiedziałem się też, że wynajęcie kajaka albo roweru wodnego wymaga także posiadania wymienionej, tajemniczej karty.

A to dopiero! Tyle słyszałem o zniesieniu reglamentacji a tu się okazuje, że pływanie, rower wodny i kajak też na kartki!

Zniechęcony nieco zrezygnowałem tego dnia z pertraktacji z przystojnymi młodzieńcami, kapalem się tylko do pasa i zdeglustowany wróciłem do pensjonatu (pardon, do domu wczasowego). Ale dnia następnego, mimo iż pogoda była nieco gorsza, wiatr i wysoka fala, udałem się do tych młodych ludzi i zgłosiłem chęć odbycia egzaminu z pływania, aby zdobyć te tajemnicze uprawnienia plażowo-kaplewo-pływackie. Wówczas jeden z nich wygrzebał się spod koca (rzecz się działa w domku z napisem „Ratownik”), otworzył niechętnie jedno oko i powiedział: — Panie zagraniczniku, widzisz pan tę czarną flagę?

— Owszem — odpowiedziałem — myślałem, że to dzieci bawią się w piratów.

— Panie Grundiku, pan mi tu nie odstawiaj naiwniaka, na Zachodzie też są kapieleńskie strzeżone, czarne flagi itp.

— Ja bywałem z reguły na południowym wschodzie, tam naprawdę nie stykam się z niczym takim. W Perszeronii na przykład, która zresztą nie ma dostępu do morza...

— Nie wiściak mi pan żadnej tu Perszeronii ani innej Gramofonii, skoczmy to gadanie. Pójdę panu na rękę, dostaniesz pan tę Kartę nawet bez egzaminu. Tylko że u nas taryfa jest taka, dwie stowy i pół rury. No, dla pana, skądinąd obywatela obcego może być w przeliczeniu na dolce.

— A co to jest pół rury? Kiedys już słyszałem takie określenia, ale chcę się upewnić czy nie zachodzi tu nieporozumienie...

Wkrótce też dowiedziałem się, co to znaczy „pół rury”. Wieczorem, w restauracji, do której zmuszony byłem iść, bo w kuchni domu wczasowego zaszerwowała potrawę pn. „bigos mięsno-jarzynowy”, zamówiłem sobie szaszłyki barani i „coś do picia” przewidując, że w tak upalny dzień może to tylko oznaczać colę, mirtindę lub nawet wodę mineralną, która jest w Polsce trudno dostępna.

Kelner na to: — Szanowny pan pół rury sobie życzy?

W przekonaniu, że pół rury oznacza objętość jakiegoś naczynia, zawołałem: A daj pan całą rurę, bardzo mi się chce pić!

Kelner popatrzył na mnie z uznaniem i... no już nie muszę pisać, co mi podał. Zrezygnowałem oczywiście, nawet nie ze względu na abstynencyjność, ale klimatyczną. Inni — wokół — goście lokalu nie rezygnowali bynajmniej, wypili te „pół rury” lub „całą rurę”.

Innym zaskoczeniem był dla mnie „rejs statkiem białej floty” do sąsiedniego portu. Chciałem zwiadać polski port i poszedłem dowiedzieć się, ile taki rejs kosztuje. Okazało się, że jest droższy od normalnej podróży autobusem pięć razy... Ciekawe, że szkół jeszcze pamiętałem, że transport wodny, a zwłaszcza morski jest najtańszy. Widocznie w Polsce to prawo ekonomiczne nie obowiązuje...

Zdecydowałem się jednak. Widocznie w takim rejsie, na eleganckim spacerowym statku mają miejsce jakieś niesłychane atrakcje, dancing, bezpłatny bar i co tam jeszcze. A może nawet ruletką? Wiem, że jest w Polsce zakazana, ale na statku, poza granicą morską?

Statek okazał się być czymś w rodzaju wagonu tramwajowego, osadzonego na starym kutrze rybackim. Wnętrze też przypominało tramwaj — lawki ustawione rzędami i... koniec. Natomiast zamiast jakichkolwiek atrakcji był zakaz palenia i... fotografowania.

Na dodatek cała podróż trwała dużo dłużej niż ta sama, jeśli odbyć ją autobusem.

Dziwny kraj, dziwny sposób rozrywki i wypoczynku. Polubiłem już Polskę, ale zrozumieć jej nie mogę. Po urlopie nad Bałtykiem rozumiem jeszcze mniej niż przed nim.

Kończąc staropolskim pozdrowieniem „czincz many!”.

BEN GRUNDIK

Siedziałem u „Fukiera” na Starym Mieście i zastanawiałem się co dalej zrobić z tak mile rozpoczętym popołudniem. Czerwone wino w kieliszku na wysmukłej nóżce polyskiwało tajemniczo w półmroku piwnicy. Było głośno i duszno. Jakaś hałaśliwa grupa pijaków rozsiadła się przy stole koło okna. Starzy bywalcy z godnością i nutą poufałości wołali po imieniu kelnerki; dyskretnie pstryknięcia palców miały dla wtajemniczonych wagę kieliszka białego wina albo i całej butelki, żeby się nie rozdrabniać. W najciemniejszym kątku skryła się para zakochanych zupełnie tak jakby słowa miłości bali się i tak przecież nędznego światła piwnicy. Kilkoro młodych ludzi siedziało naprzeciwko mnie. Smutni, przygaszeni, z nabożeństwem sięgali po stojące przed nimi wino.

— Można? — nieznanym wyrósł jak spod ziemi. Nie tyle spytał, co wskazał jednoznacznie gestem na stojące koło mnie krzesło i pytająco uniósł brwi.

— Proszę.

I tak następne cztery godziny spędziłem z Jensenem, Holendrem, który po raz pierwszy w życiu przyjechał do Polski i spędził tutaj dwa miesiące wakacji, toteż nie mogłem się powstrzymać od pytań o Polskę i od naszkicowania jego słowami jeszcze jednego obrazu z cyklu „Polska oczyma cudzoziemca”.

— Przyjechałeś z Holandii?

— Niezupełnie. Jestem Holendrem, ale mieszkam na stałe w Monachium i studiuję w tamtejszej Szkole Sztuk Pięknych. — odpowiedział Jens.

— Dlaczego wybrałeś się na wakacje akurat do Polski?

— Znam już całą Europę Zachodnią, a w niektórych krajach byłem kilkakrotnie i w tym roku zapragnąłem trochę egzotyki. Myślałem o Budapeszcie, ale że w Polsce, w Krakowie, mam kilku przyjaciół plastyków to wybrałem Polskę.

— Każde spotkanie z cudzoziemcem zaczyna się od stereotypowych pytań, jak ci się tutaj podoba i jakie są twoje pierwsze wrażenia.

— Polska wydaje mi się być ciekawym krajem. Trudno jest mi wiele rzeczy zrozumieć, niemniej to co zobaczyłem daje mi wiele do myślenia. Nigdy się tego nie nauczyłem z książek czego możesz się nauczyć z bezpośrednich kontaktów z ludźmi. Filmy geograficzne są bardzo potrzebna rzecz, ale patrzywszy wtedy na świat cudzymi oczyma, a w takiej podróży jak ta patrzę na świat swoimi oczyma i dochodzę do własnych wniosków. A czy Polska podoba mi się? Jest inna niż to wszystko do czego się przyzwyczailam.

— Co widziałeś w Polsce?

— Oczywiście byłem w Krakowie. Jest zachwycający. Ma atmosferę, której nie znalazłem w innych miastach w Polsce. Inna sprawa, że każde miasto, w którym tutaj byłem, jest trochę inne od pozostałych. Byłem we Wrocławiu i przyjemnie mnie zaskoczył. Jest taki młody i świeży. Gdańsk zachwylił mnie swoim Starym Miastem, ale jest bardzo podobny do miast holenderskich, w Warszawie ludzie próbują być na bieżąco ze sprawami, które dzieją się w Europie. To widać i po zachowaniu i po sposobie ubierania się. Każde z tych miast sprawia wrażenie jakby żył tam różni ludzie. Byłem jeszcze w Zakopanem i na Mazurach.

— Pierwsze wrażenie?

— Wiesz, najważniejsze wrażenie jakie odczułem, to to, że u was jakby za mało się myślało o człowieku. O takim szarym, zwyczajnym człowieku. Brakuje rzeczy, które ułatwiałby mu życie i które by były zrobione z myślą o sprawieniu mu przyjemności. Mam takie odczucie, jakby robiono tylko rzeczy niezbędne, takie jakie muszą istnieć wszędzie na świecie, ale tak naprawdę to wiele z nich nabiera tu innego znaczenia.

— Co masz na myśli?

— Na przykład restauracje. Nie mówię o tych droższych. To osobny rozdział. Ale o takich na ulicach, Barach, gdzie można byłoby wskoczyć na sandwicze czy pizzę, wypić kufel piwa albo kawę. Niby są po to, żeby można było tam coś zjeść, ale przecież nie chodzi tylko o fizjologiczne zaspokojenie głodu. Chodzi też o radość jedzenia, przebywania w miłym otoczeniu, a te wazje restauracyjki są okropne. Ani w nich miłej atmosfery, często bardzo brudno, ani dobrego jedzenia. Inna sprawa, że jak rozpoznawano we mnie cudzoziemca to obsługa robiła się miłsza. Uśmiechano się. Czy ja jestem innym człowiekiem niż ci, którzy mówią po polsku?

— A te drogie?

— Tam przychodzi inny rodzaj ludzi niż ci, których widziałem na ulicy.

Najczęściej młodzi, koło trzydziestki, ubierają się tak, że różnią się od normalnych przechodniów, ale nie różnią się między sobą. Tak jakby stanowili sami dla siebie wzorce mody. Wiesz, ja jestem plastykiem, więc na to jak się kto ubiera bardzo zwracam uwagę. I oni i ich dziewczyny mają w całej postawie i na twarzach taką pewność siebie i kelnerzy to widzą, bo zauważyłem, że inaczej ich obsługują.

— A w takim razie jak ubiera się polska ulica?

— Dla mnie zaskoczeniem jest, że szarość może mieć tyle odcieni.

— ???

— Wasze ulice są szare, ludzie ubierają się w szarych kolorach. Wszystko jest szare, ale w różnych odcieniach. To chyba musi być najmłodniejszy kolor tego lata w Polsce, prawda? A poza tym taki straszny pośpiech. Dlaczego wy ciągle się śpieszycie?

— Ja odczułem zupełnie inne wrażenie, że nikomu się nie śpieszy.

— Taaak? Mnie się wydaje, że wy macie bardzo dużo spraw do załatwienia, bo taki ruch. Wszyscy gdzieś biegną. Jesteście chyba najbardziej pracowitym narodem świata. Ale powiedz mi, dlaczego nikt nie sprząta przed domami? Wygląda to tak, jakby nie było wody i czekano by na deszcz.

— Niby tak, ale teraz chodzą specjalne komi-

sje i karzą dozorców za niewypełnianie obowiązków...

— To nie lepiej byłoby im zapłacić za to sprzątanie tak, żeby im się chciało pracować? A wracając do polskiej ulicy, to bardzo podoba mi się, że macie tyle kwiatów. Najpiękniejsze są chyba w Zakopanem koło dworca kolejowego i autobusowego. No i śliczne dziewczyny. Starają się być naprawdę równo z paryską czy londyńską modą, to widać. Szczególnie w Warszawie. A ty też jesteś z Warszawy?

— Nie, z Łodzi. To tak miasto...

— Wiem, wiem. Styszałem.

— ???

— Słyszałem i czytałem, że to prawdziwie secesyjna perlela. Nawet w kilku katalogach spotkałem się z fotografiami paru domów z Łodzi. Następnym razem muszę się koniecznie wybrać do Łodzi.

— Byłeś też na Mazurach i w Zakopanem.

— Tak, to było fantastyczne. Wprawdzie z Monachium prawie widać Alpy i często jeżdżę na narty do Ga-Pa, ale te wazje, Tatry mają taką atmosferę przytulnego, kameralnego zakątka. Widać, że wy lubicie tam spędzać wolny czas, bo wszędzie mnóstwo ludzi. Aż trudno było coś zjeść. Czy nie można otworzyć ze dwieście, trzysta barów skoro tyle ludzi tam przyjeżdża? Przecież to czysty zarobek. A poza tym ludziom byłoby przyjemniej na wakacjach jakby się nie tłoczyli i czasu nie spędzali w kolejkach.

— A jak podobały ci się Mazury?

— Bardzo. Tam jest naprawdę pięknie. Szczególnie w okolicach Augustowa. Moi polscy przyjaciele mają żeglówkę. Pływaliśmy po jeziorach, które są takie urokliwe. Tylko dlaczego tam jest tak brudno, czy wy nie zwracacie uwagi na ochronę środowiska?

— Zwracamy. Mamy nawet specjalne biura i komisje do spraw ochrony środowiska, a nawet ustawę o ochronie środowiska.

— To dobrze, bo Mazury są naprawdę piękne.

— Miałeś dużo okazji do rozmowy z Polakami?

— Ze starszym pokoleniem rozmawiałem po niemiecku, młodszy znają angielski, ale często musiałem się ograniczyć do rozmowy za pomocą rąk.

— No i?

— Jesteście nadzwyczaj uprzejmi. Jak nie mogłem gdzieś trafić, to zdarzało mi się, że zaprowadzono mnie pod same drzwi domu, którego szukałem. Co prawda, gdy stałem w kolejce po bilety na dworcu w Zakopanem, to ludzie strasznie krzyżeli na siebie i na mnie też, ale jak pani sprzedająca bilety nie mogła mnie zrozumieć, to zaraz przybiegło kilka osób i przetłumaczyły mi moje pytania o co mi chodziło. Trudno dochodzi do rozmowy, ale jak już się ją zaczyna, to zdarzało mi się, że opowiadała historię całej rodziny. Ludzie czują potrzebę rozmowy, ale mało czasu na nią poświęcają. Każdy chodzi taki zamysłony, jakby cały czas miał poważny problem do rozwiązania. I tak mało się śmieje. Paru rzeczy jednak nie mogę zrozumieć. Na przykład, dlaczego w takim hotelu koło poczty w Zakopanem, o jedenastej, nie ma piwa w kawiarni.

— Bo sprzedaje je od pierwszego.

— Ale w takim razie, dlaczego nie ma go już od drugiej, a jak przyszedłszy ze znajomymi, którzy porozmawiali z kelnerką, to piwo było. Nie wolno wszystkim sprzedawać piwa? Przecież alkoholu u was w sklepach nie brakuje. Wy chyba bardzo dużo pijecie alkoholu, prawda?

— Tak, to poważny problem społeczny, ale rząd stara się temu przeciwdziałać. Mamy ustawy i zarządzenia o wychowaniu w trzeźwości. Widzisz, to że przed trzynastą nie można kupić alkoholu, to też przejaw walki z alkoholizmem. Ale potem można i to dużo.

Jechałem z Zakopanego do Krakowa. Strasznie długo to trwało i jacyś mężczyźni urzędnicy bankiet w przedziale. Ja byłem obcy, ale mnie poczęstowali. To było bardzo miłe, ale niestety oni nie znali niemieckiego, co tylko mówił o pilce nożnej i o Cruffie, ot i cała rozmowa. Nawet konduktora poczęstowali jak przyszedł sprawdzić bilety.

— Wypili?

— Zdjął czapkę i wypił. Wszyscy byli dla siebie bardzo miłi i dużo ze sobą rozmawiali.

— Podróżyłeś po Polsce pociągami?

— Pociągami, autobusem, samochodem i rowerem.

— ?

— Pożyty mi go człowiek u którego mieszkalem na Mazurach jak skończył żeglować. Jęździłem po lasach. Są wspaniałe. Zresztą w ogóle mieszkanie u tego człowieka było bardzo dużym przeżyciem. Czysto, porządnie. Przywoził ryby. Gospodni gołowała dla mnie i moich przyjaciół. Młode rodzinie i nie tak drogo jak w hotelach. Tak, hotele macie bardzo drogie i a kiepską obsługą. Nawet nie to, że niegrzeczna, ale arogancka.

— A właśnie, powiedz mi, dlaczego wy macie specjalne sklepy, w których można kupić lepsze towary niż w normalnych sklepach, a do tego płacicie w dolarach, a zarabiacie w złotych?

— Bo tam sprzedaje się towary zachodnie.

— To dlaczego w tych sklepach jest wódka polska?

— Bo to jest tak zwany eksport wewnętrzny.

— Eksport wewnętrzny? To chyba zaprzeczenie samo w sobie, ale ja się na ekonomii nie znam. Nie rozumiem tylko, dlaczego na rynku są dostępne towary, które można kupić za pieniądze, którymi nie płaci się za pracę. To jeszcze jedna z tajemnic polskich, których nie mogę pojąć.

Siedzieliśmy u „Fukiera”, i ani sie obejrzelismy jak przyszedł się pożegnać. Jens jeszcze kilka dni miał spędzić w Warszawie, toteż gorąco mu polecałem Wilanów, Zamek Królewski no i Żelazową Wolę, bo był miłośnikiem Chopina.

ANDRZEJ BETULSKI

1. „Hotel Grand”. W drzwiach portier zgłębiony wół taksuje warokiem wchodzącego: „Gość” to — czy tylko „gość”? Bawem „Gość” — to ten, który zostawi tu kupę szmalu. Da napiwek — może nawet w zielony? — za otwarcie drzwi, za zanieśnięcie walizki do pokoju, za sprowadzenie taksówki lub tylko za sam miły uśmiech. A „gość” śpiąc swoją delegacyjną walizkę, burknąc pod nosem „do widzenia” i tyle. Goście — tacy przez duże „G” — zawsze zapadają w pamięć. Inni — nie. No, chyba że narozrabiają i znajdują się na „indeksie”. Tych trzeba pamiętać. Choć walizki jednych i drugich są tak samo ciężkie.

„Grand Hotel” posiada swój specyficzny urok, klimat i atmosferę, tak charakterystyczną dla starych budowli. Przyciąga to — jak magnes — pewnych gości, którzy przebywając w Łodzi nie chcą mieszkać nigdzie indziej, tylko tu. Są i tacy, co zatrzymują się już od 25 lat! Tych wita się jak starych, dobrych znajomych, którzy po długiej nieobecności przyjechali w odwiedziny. Dostają zawsze ten sam pokój i czują się tu jak u siebie w domu, o czym świadczą liczne wpisy do księgi pamiątkowej.

2. „Hotel Grand” — jak wszystkie budynki tego typu — posiada rezerwowe zasilanie elektryczne. Do tej sieci podłączone są jedynie lampy w całym hotelu; nie ma więc napięcia w gniazdkach. Pewnego razu, podczas pobytu w hotelu bardzo znanego muzykologa, wyłączono prąd.

WITOLD WERNER

Ten hotel ma duszę...



Foto: Grzegorz Gałasiński

Budynek utonął w ciemnościach. Po chwili światło znów rozbiło — tym razem pochodziło już z agregatu prądowców. Muzykolog odnalazł pokój i powiedział jej, że chciałby się ogolić, lecz u niego nie ma światła. Pokojowa weszła do swego służbowego pokoiku i przyniosła zdumionemu muzykowi... dwie świece.

3. Do recepcji szedł pewien bardzo znany aktor i ze skruszoną miną prosił o przysłanie mu do pokoju konserwatora z drabiną, aby ten naprawił oświetlenie. Na miejscu okazało się, że aktor — któremu Pan Bóg dał talent, ale poskąpił wroście — założył się z kolegami, że... doskończy do żyrandola Zakład wygrał, skoro potrzebna była interwencja elektryka...

4. Któregoś dnia przeraźliwy, histeryczny krzyk pokojowej: — „Mordercy! Zabili człowieka!” — zaalarmował cały hotel. Przechodzący korytarzem dwaj panowie natychmiast wbiegli do pokoju zajmowanego — jak się później okazało — przez ekipę filmowców. Ich oczom ukazał się makabryczny widok: z szafy wystawała sina, ludzka ręka ze złotym sygnetem na palcu. Wyrażnie widać było strużkę zakrzepłej krwi i plamy opadłe. Pierwszy z panów nie wytrzymał tego widoku i... zemknął. Drugi — widać bardziej odporny na „mocne wrażenia” — otworzył szafę. Wewnątrz leżał... manekin — rekwizyt...

5. Aktor — nawiasem mówiąc stały bywalec hotelu, zaprzyjaźniony już z obsługą — jak bomba wpadł do recepcji. Rzucił na ladę swoje rzeczy i ze słowami: — Wróć za trzy dni, to odbiorę — zniknął za drzwiami.

6. Po każdym gościu pokój jest sprzątnięty, a pozostawione przezeń rzeczy — jeśli przedstawiają jakąś wartość, są oddawane do depozytu. Do zapominalskiego wysyłane jest następnie zawiadomienie, że zguba jest do odebrania. Czasem — nawet po dwóch latach, niektórym udaje się odebrać zapomnianą niegdyś maszynkę do golenia. Czy należy jednak wysłać zawiadomienie do mężczyzny, który sam był zameldowany w jednoosobowym pokoju, że zapomniał zabrać... damską bieliznę?

7. Różne rzeczy, dla niektórych gości przedstawiają ogromną wartość. Zdarzyło się, że z Warszawy przysłano kiedyś samochód z kierowcą po zapomniany numer... „Le Monde”.

Innym razem pokojowa znalazła pod łóżkiem metalowy przedmiot, przypominający swym kształtem starą puszkę po konserwach pogiętą i — jak sądziła — zapewne bezużyteczną. Wyrzuciła więc ją do kosza na śmieci. A gdy z Warszawy zatelefonował lokator tego pokoju — muzyk jazzowy, grający na trąbce — że w po-

koju zostawił... kłumfik, bez którego nie może wystąpić na koncercie w Amsterdamie, wszystkie pokojowe pobiegły do szopy na śmieci, by nieopatrnie wyrzucony przedmiot odnaleźć. Koncert odbył się w przewidzianym terminie...

8. Zdarza się, że gość hotelowy poczuje się bardzo, bardzo samotny. Jak pewien pan, który przyjechał na Łódzką giełdę kupić samochód. Samochodu nie udało mu się nabyć, więc dla otarcia łez zaprosił do pokoju pewną panią o dość wątpliwej reputacji. Bojąc się jednak o swe pieniądze, zawiązał je w gazetę, a tę — zupełnie bezwiednie — wyrzucił do kosza na śmieci. Na szczęście pokojowa zainteresowała się dziwnym zawiniątkiem i cała gotówka wróciła do właściciela.

9. Atmosfera hotelu dodatnio wpływa na uczucia. Młody Szwed tak zadurzył się w polskiej dziewczynie, choć ta prowadziła się w sposób — delikatnie mówiąc — dwuznaczny, że koniecznie chciał wstąpić z nią w małżeński związek. Przyjeżdżał do niej ponad rok i dopiero groźba wydziedziczenia położyła kres temu uczuciu...

Jednemu z gości włoskich tak bardzo spodobała się natomiast pewna pokojowa, że był skłonny ofiarować jej wszystkie souvenirs przywiezione do Polski. Gorąca, włoska krew wzbierała w nim do tego stopnia, że dopiero rura od odkurzacza ochłodziła jego miłosne zapędy...

warów a głodny nikt nie chodził. Jej „śladami” — prowiantu wzbogacił dary z zagranicy otrzymywane przez Kościół...

14. Pan — tym razem z Republiki Południowej Afryki — łodzianin z pochodzenia, który przyjechał do Polski, by tu znaleźć miejsce na emerytalny, przyszedł do recepcji — mimo iż był zakwaterowany w innym hotelu — z kawałkiem papieru toaletowego i pytaniem, czy to jest papier toaletowy, czy też papier ścierny? Miał ponadto wątpliwość, czy Polacy w ogóle się myją. Dopiero, gdy recepcjonistka oprowadziła owego pana po pokojach „Grand Hotelu” i pokazała mu kosmetyki, które otrzymuje gość hotelowy (szampon, mydła toaletowe o różnych zapachach) oraz wyposażenie niektórych łazienek (waga, suszarkę do włosów czy rekreacyjny rower) — zmienił zdanie. Był zaskoczony, bo ponoć hotele na Zachodzie nie oferują takich udogodnień! I gdy tylko w „Grandzie” zwolniło się miejsce, natychmiast się tam wprowadził. Wizyta owego pana w hotelu nie była przypadkowa: jego ojciec był współwłaścicielem „Grand Hotelu” jeszcze w czasach, gdy dopiero do budynku głównego dobudowywano boczne skrzydła.

15. Goście mają także swoje nawyki i przyzwyczajenia. Kierownika recepcji zaintrygował pewnego ranka miarowy odgłos uderzeń. Sprawa wyjaśniła się na korytarzu: to wyznawca Allacha klęczał na dywanie z twarzą zwróconą w stronę wschodzącego słońca i bił głową w podłogę...

16. Trzeba przyznać, że hotelowa kuchnia cieszy się doskonałą opinią. Nie dziwnego — kucharze wielokrotnie zdobywali nagrody na konkursach kulinarnych nawet we Francji! A potrafią przyrządzać prawdziwe cuda. Często też otrzymują od Wytwórni Filmów Fabularnych zlecenie na wykonanie dekoracji stołów do filmów historycznych. To właśnie z tutejszej kuchni pochodzą dziki faserowane truflami, bażanty nadziewane grzybami czy pieczone prosięta z jabłkiem w ryjku...

17. Powodzenie kuchni bierze się także stąd, że na czas przyjazdu awizowanej grupy turystycznej z innego kraju kuchnia przygotowuje potrawy, do jakich przyzwyczajeni są turyści w swej ojczyźnie. Nawet, jeśli jest to TSU YUK BENG TONG, PINDANG DAGING DENGAN KOL czy też LOMO A LA HUANCAINA...

18. Zdarza się, że gość restauracji prosi do swego stolika szefa kuchni, by ten przyrządził mu jakąś specjalną potrawę. I jeśli nie są to np. homary, filety z rekina czy comber z antylopy, których w kraju zdobyć oczywiście nie można, to nie zdarzyło się jeszcze, żeby zlecenie nie zostało przyjęte! Nawet wtedy, gdy gość, pochodzący z krajów arabskich przyjechał do hotelu z...baranem, z którego szef kuchni miał mu przyrządzić potrawę...

19. Kilku panów ze Swarzędza przywiozło do Łodzi meble. Zadowolony z udanej transakcji zrobili „małe obławienie”. Podczas wesołej zabawy, rzucali w siebie — jak piłką — puszką bejcy, puszką siemienia, a zawartość zalała sufit, ściany i podłogę. Kosztowało to panów około 50 tysięcy złotych. Na pamiątkę zabrali ze sobą zniszczoną wykładzinę, którą położyli w meblowozie, twierdząc, że teraz mają najdroższy samochód meblowy w całym województwie poznańskim...

20. Bywa, że hotel odwiedzają treserzy zwierząt wraz ze swymi pupilkami. Pokojowa zastała kiedyś ogromnego... wężyka białego wylegającego się w wannie z ciepłą wodą. Innym razem recepcja zaalarmowana została telefonicznie, że pewna pani — treser nie może sobie dać rady z pynem, który w poszukiwaniu ciepłego miejsca... wśliznął się jej pod koldrę! Papugi, małe psy nie robią więc na obsłudze większego wrażenia.

21. Przydarzają się również śmieszne pomyłki. Pewien gość przybiegł do recepcji z pretensją, że w jego pokoju nie ma... łóżka! Po chwili wszystko się wyjaśniło: pan po prostu wprowadził się do pomieszczenia gospodarczego obok windy towarowej...

Inny pan miał pretensję, że w pokoju — rzekomo z łazienką — wcale łazienki nie ma! I znów okazało się, że to tylko pomyłka. Drzwi do łazienki były bowiem identyczne, jak drzwi do szaf ubraniowych. A że znajdowały się pomiędzy szafami, więc o pomyłkę nie było trudno...

22. Swego czasu, w niektórych łazienkach były bidety. Z przyczyn technicznych trzeba było je niestety zlikwidować. Może to i lepiej, bo nie wszyscy wiedzieli, do czego one służy. Pół biedy, jeśli trzymali w nich... masło, lub też... prall! Koszule czy skarpetki. Gorzej, jeśli traktowali je jako WC...

23. „Hotel Grand” — jak każdy hotel „Orbisu” podlega okresowej kontroli. Wygląda ona w ten sposób, że kontroler — oczywiście incognito — przebywa w hotelu kilka dni i skrupulatnie notuje wszystkie, nawet najdrobniejsze spostrzeżenia. Ot, choćby takie, czy portier ma zapięte wszystkie guziki przy mundurze, po ilu sekundach telefonistka odbierze telefon, czy ma miły tembr głosu. Daje także recepcji różne dziwne zlecenia. Jednego razu zażyczył sobie, by podano mu adres sklepu z częściami zamiennymi do zagranicznych samochodów, który dosłownie kilka dni wcześniej został otwarty. Było z tym sporo kłopotu, ale zlecenie zostało wykonane.

W czasie tej kontroli hotel wypadł więcej niż bardzo dobrze. Wraz z protokołem, na adres hotelu przysłała kartka, na której kontroler skreślił kilka słów — niejako od siebie:

„Ten hotel ma swą „duszę”, niepowtarzalną i nie do skopiowania...”

Co będziemy nosić jesienią

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI



Uważaj Karol! Dochodzimy już — Głos Kazika jakoś dziwnie spokojny. — Przed bramą numer dwadzieścia trzy zatrzymam się. Będę cię ubezpieczać. Resztę znasz. No, idź — dodał.

Kilka spojrzeń w bok. Cisza. Zle. Karol czuł, że ogarnia go napięcie graniczące wręcz z paniką. Był szybciej, Brama. Ręce zaciśnięte. W jednej walter, w drugiej kartka... W imieniu Rzeczypospolitej... Jak ja to zrobię — pomyślał. Trzeba wejść! Dwa kroki w ciemność. Zatrzymał się przy spisie lokatorów. Zaczepił powietrze. Obrót w lewo. Błysk wystrzału. Piekący ból w łokciu. Drugi strzał, tuż obok w ścianę. Wyszarpnął pistolet i z całej siły nacisnął spust. Uciekając, widział opadający na ziemię cień...

...Od pewnego czasu odczuwała jakiś dziwny niepokój. Coś jakby obawa lub podniecenie. Czasami lek przed czymś nieznany. Wówczas nawroty czasu, wydawało się, zapomnianego. I wtedy mocno zaciskała ręce, szukała papierosów, włączała głośniejsze radio, chodząc po mieszkaniu, wyglądała przez okno, usiłowała coś zrobić, ale po chwili siadała na tapczanie i bezmyślnym wzrokiem wodziła po ścianach, podłodze, suficie, meblach. Czasami gwałtownie zrywała się i chciała gdzieś iść. Ale kiedy otwierała drzwi, kiedy przestępowała przez próg domu, kiedy z ulicy dobiegał normalny, codzienny od lat ten sam zgiełk, wówczas jakby coś z niej spadało. Doznawała ulgi, wracała z powrotem do mieszkania, zamykała drzwi, kładła się do łóżka. Pograżona w letarg myślała: — Co mi jest, po co ja się martwię, dlaczego się boję. Tyle lat. Tyle lat...

...Najpierw usłyszała strzały. Potem gwałtowne stukanie. Chwycając się doszła do drzwi.

— Proszę pani! Proszę pani! — W zmęczonych oczach dozorca widziała przerażenie. — W bramie leży pani syn!...

Kiedy zobaczyła ciemny beret i rozrzucone nogi w oficerskich jakby za dużych butach — zachwiała się, ale nie zemdląca.

— Na miłość boską, niech pan sprowadzi doktora! — krzyknęła. Dozorca popatrzył na syna, potem spojrzął jej w oczy... Lewe oko Andrzeja, nienaturalnie wielkie, skrzep krwi i czarny strumyk wzdłuż nosa.

— Nie żyje już, czy pani tego nie widzi. — Chwyciła się za serce. A jednak to nadeszło. Tylko dlaczego Andrzeja? — pomyślała.

...Niechże się pani uspokoi, proszę wreszcie przestać krzyczeć. Gestapowiec patrzył na nią z ledwo dostrzegalną pogardą. — Proszę się nie martwić. Znajdziemy tego bandytę, który zabił pani syna. Powinna pani jak najszybciej stąd się wynieść, mogę w tym pomóc...

...W słuchawce usłyszała: — Czy to pani Halina Brańska? Zawahała się... Tak! — odpowiedziała wolno. Zrobiło jej się duszno. Okna zamknięte? Niel. Jest lato, więc zawsze są otwarte.

— Bardzo przepraszam, że zakłócam spokój. Pani mnie nie zna, szczerze mówiąc ja również nie znam pani. Ale mam tak poważną sprawę, że pomimo tego ośmielam się gorąco prosić choćby o chwilę rozmowy. — Nieznany mężczyzna mówił wolno, prosił nie natrącając, jakby chciał aby ostateczna decyzja należała wyłącznie do niej. — Bardzo proszę — dodał cicho.

— Dobrze — odpowiedziała — ale o co chodzi. Miała ochotę napić się czegoś... Właściwie powinnam się zapytać, kto on jest.

— Przepraszam za kłopot, ale wolałbym nie przez telefon. Gdyby to pani nie przeszkadzało, to zaprosiłbym na spacer lub do jakiejś kawiarni... Czy pani mnie słyszy?

— Tak, tak — odpowiedziała... Gdzieś tu były papierosy... Jaką on miał twarz? Jaką miałby teraz?

...Co pani mówi? — Aha! No więc tak, niedługo stuknie mi czterdziestka...

...A tamten miał wtedy chyba siedemnaście lat, prawie tyle co Andrzeja...

...Ostatnio trochę przytyłem. Zona zaleca

mi odchudzanie — słysząc było w słuchawce.

— Wie pan — powiedziała nagle. — Niech pan przyjdzie do mnie do domu. Mieszkam niedaleko dworca. Tylko nie dziś. Może pojutrze, o szóstej?

— Wspaniale! I jeszcze raz najserdeczniej przepraszam za zakłócenie spokoju. Aha. Na jakiej ulicy pani mieszka?

— Młynarskiego dziewięć, na pierwszym piętrze.

IAN NOSKO

Jestem wolny!

...Jak to było wtedy z Jerzym? Czy to możliwe, że mogłam być tak naiwną, ale i skąd też miałam tyle odwagi — myślała.

...Proszę pani. My Niemcy, nigdy niczego nie robimy bez powodu. Pani maż nie chce nam powiedzieć, kiedy i gdzie mają się spotkać dwaj ludzie, na których nam bardzo zależy. Boimy się o ich bezpieczeństwo. Czy pani rozumie? Boimy się, ażeby się im nic nie stało. Ale jeszcze bardziej martwimy się stanem zdrowia pani męża. Niech mu pani pomoże, niech go pani przekona, że jeszcze kilka dni, a zostanie pani sama. Słyszysz pani? Sama!... Syn? No chyba nie ma pani złudzeń. Ma siedemnaście lat. Zresztą, właściwie to pani nie ma już syna. On zginie, nie dziś, to jutro. Ale męża to pani może mieć na całe życie, każdego dnia, w każdej minucie. On jest ciężko chory, niewiele mu zostanie życia, jeśli pani nie zabierze go stąd. Ma chore płuca i powinien natychmiast wyjechać, najlepiej w góry. Zależnie to, ale przedtem musi pani uwolnić męża od tego ciężaru, który go przytłacza. Od kilku słów. Ja wiem, że to nielato. Niech pani zapyta męża, co pani ma robić dalej. Do kogo zwrócić się o pomoc. Mnie to wystarczy. Więcej nic nie chcę wiedzieć. To tak niewiele! Prawda! A tak dużo chcę pani dać. Włec jak?

...Czy Jerzy w ogóle coś mówił? Czy w ogóle coś wiedział i słyszał wtedy? Kiedy go wypuszczono był nieprzytomny, ale ona była szczęśliwa, pełna ufnej nadziei. Była ciałem przy nim. Kiedy w kilka dni później wrócił Andrzeja, jedynie ich dziecko, spojrzała na niego z milczącym wyrzutem, jak na natręta. Nie pozwalała mu wejść do pokoju!...

...Ja tylko na chwile, muszę uciekać, wszędzie łapanki, aresztowali połowę naszych. Ktoś sygnął... — Dopiero teraz zauważyła zaciekły wyraz twarzy i oczu syna. — Chciałam... chcę — dodał z naciskiem — porozmawiać z ojcem. Zamarła. Potem odsunął ją i wszedł do pokoju...

...Odłożył słuchawkę i spojrzał na siedzącego za stołem mężczyznę.

To na nic. Znowu fałszywy ślad. I w ogóle żałuję, że przypomniała mi się ta stara sprawa.

— Zawsze byłeś narwańcem. Zawsze cię takiego pamiętam. Ale po tylu latach myślałam, że się zmieniłeś. Jak z tobą wytrzymują w tym archiwum? Przecież tam siedzą same mole i ramole.

— Przesadzasz, Karik? Przesadzasz! Muszę jednak przyznać, że czasami żałuję, że mam taką pracę. Gdybym trafił gdzie indziej, na przykład do szkoły, czy ja wiem zresztą gdzie, to myślę, że miałbym spokojne sumienie. Bo nie bym nie wiedział.

— Teraz, to ty Karol przesadzasz. A to, że wtedy zastrzeliłeś Andrzeja, nie dręczyło cię.

— Tak, to prawda. Ale przynajmniej miałem proste wytłumaczenie. Ktoś do mnie strzelał i usztynił na zawsze rękę. Zresztą strzelałem na oślep, nie wiedząc do kogo. Im dłużej o tym myślę, to nabieram coraz mocniejszych przekonań, że Andrzeja — w odróżnieniu ode mnie — strzelał wtedy wiedząc do kogo i dlaczego. Musiał od kogoś się dowiedzieć, że to

winięś odgrzebywać tej starej sprawy. Obawiam się jakichś komplikacji. To jest stara kobieta. I do tego ciężko chora.

— Jest chora, bo czuje się winną. Kiedy uolnisię od tego, będzie i jej, i mnie lżej.

— Oby tak było — Kazik sięgnął do karafki — no zdaje się, że to już reszta — powiedział. Po chwili dodał — chodźmy spać.

...Po co ja go tutaj zaprosiłam. Jak mogłam coś takiego zaproponować temu obcemu człowiekowi. Mój Boże, żebyż to tylko był jakiś nieznajomy, a nie on... Spojrzała na zegar. Za dziesięć szósta. Chodziła po pokoju zatrzymując się co chwila i nasłuchując. Ale nie słyszała żadnych kroków. Trochę się uspokoiła. Może nie przyjdzie — myślała. Podświadomie jednak czuła, że przyjdzie i że w jej spokojnym dotąd życiu musi się coś zdarzyć. Tyle telefonów odbierała w tym domu przez dwadzieścia kilka lat, ale żaden nie wywołał w niej takiego niepokoju, co ten ostatni.

...Dzwonek. Najpierw jeden, potem dwa. Przekręciła zatrask. W tym momencie poczuła, że serce podchodzi jej do gardła. Oparła się o kłamek. Drzwi delikatnie otwarły się. Podniosła głowę. W szparze ujrzała tysego, tegiego mężczyznę patrzącego z obawą na rozchylające się drzwi. Poczuła ulgę. Otworzyła szerzej i powiedziała — proszę wejść.

Karol usiłował być swobodnym. Z uśmiechem zapytał:

— Nie bała się pani mnie wpuścić?

— Mówiąc szczerze, trochę tak — odpowiedziała. — Proszę, niech pan siada, może tu, na tym krześle. Wie pan, ostatnio rzadko kogo przyjmuję, toteż każda wizyta to dla mnie przeżycie, a pana to w ogóle nie znam.

— Och! Przepraszam — jestem Andrzeja Grzeliak — przedstawił się zmyślonym nazwiskiem. Brańska lekko przybladła, a potem odetchnęła.

— Napije się pan herbaty — uśmiechnęła się.

— Mówią, że dobrze parzę.

— Bardzo proszę, z przyjemnością — odpowiedziała.

Przez chwilę odwrócona, przygotowywała szklankę, wlewała esencję i wodę. Dodawała jakichś kropli.

— Jeżeli to jest ona, to jakże mocno się zmieniła — myślał w tym czasie Karol — zwłaszcza straszliwie zmęczone oczy, odbierały ochotę do mównia wprost o tym co chciał jej powiedzieć.

— Proszę bardzo, niech się pan częstuje — Brańska spokojnie podsuwała szklankę z aromatyczną herbatą. Proszę także skosztować ciasta domowego wypieku — dodała.

— To bardzo miłe z pani strony — powiedział zdawkowo...

...W pokoju komendanta posterunku MO zadzwonił telefon. Siedzący przy biurku sierżant podniósł słuchawkę.

— Łódź na linii — zwrócił się do osoby krążącej niecierpliwie po pokoju.

Kazik odebrał słuchawkę, po czym wolno, z namysłem powiedział:

— Czy to Archiwum Miejskie w Łodzi?

— Tak, tu sekretariat dyrektora, a kto mówi — usłyszał pytanie.

— Proszę pani, chciałbym rozmawiać z panem Karolem Ratajskim. Jestem jego przyjacielem, ale dawno się z nim nie widziałem.

— Ależ proszę pana, to niemożliwe. Pan Ratajski już dawno u nas nie pracuje.

— Jak to nie pracuje?

— No proszę pana... jakby to panu powiedzieć... chwilczkę... W oddali słychać było szmer naglej wymiany zdań. Po chwili w słuchawce rozległ się energiczny głos:

— Kawecki, dyrektor archiwum — słucham pana.

Kazik błyskawicznie podjął decyzję i jak najbardziej oficjalnie się przedstawił, po czym powtórzył prośbę. Dyrektor w kilku zdaniach poinformował o tym, co wiedział o Karolu Ratajskim. Chciał kontynuować rozmowę, ale Kazik przerwał ją:

— Dyrektorze, proszę wybaczyć, ale każda chwila jest droga...

Dokończenie w następnym numerze



Rys. Janusz Szymański-Głaz

Zwyczajem mocno zalozonym wśród wielu miesz-
kańców dawniej Łodzi był nawyk spędzania wolnego
czasu w okresie letnim w „piwnych” ogródkach. Gdy
tylko nastąpiło ciepłe dni, właściciele restauracji
i piwiarni, o ile warunki miejscowe na to pozwalały,
otwierali przy swoich lokalach dla wygody gości
większe lub mniejsze ogródki. Przy ogrodowych stołkach gęsto
rozstawionych pod koronami drzew piwosze delectowali się
chłodnym, słodkim napojem. Niektóre ogródki posiadały estradę,
na których dla rozrywki gości odbywały się rozmaite wy-
stępy artystyczne.

Do najstarszych i najbardziej znanych należały ogródki roz-
rywkowe „Paradyz” przy ulicy Piotrkowskiej 175 i „Arkadia”
przy ulicy Konstantynowskiej 14/16 (obecnie Obrońców Stalin-
gradu). Ówczesny właściciel „Paradyzu”, oberżysta Ludwik Ben-
dorf, wykorzystując walory wypoczynkowe obszernego i ładnie
urządzonego ogrodu, organizował w nim koncerty muzyki roz-
rywkowej połączone z występami żonglerów, iluzjonistów, gim-
nastyków. Podobne widowiska prezentowano w ogródku „Arka-
dia”, należącym do cukiernika Fryderyka Sellina. Na estradzie

W ogródku przy piwie

ogrodowej odbywały się koncerty orkiestry wojskowej, produk-
cje szansonetek, cyrkowców itp. Wiele oklasków zbierali lu-
dzie-węże, którzy — nadając swemu ciastu taki układ, że w pierw-
szej chwili nie wiadomo, gdzie szukać głowy a po bliższej ob-
serwacji znajdujemy ją w miejscu całkiem niewłaściwym.

„Piwne” ogródki dawały spore dochody ich posiadaczom. Po-
zazdrościli im właściciele browarów i dla pomnożenia własnych
zysków również zaczęli zakładać ogródki pomysłane jednak na
większą skalę. Pierwszym uczynił to spadołkierzy Karol Anstadta,
który pod koniec lat siedemdziesiątych XIX wieku niemal
nakładem kosztów założył w sąsiedztwie swego browaru pięknie
urządzony ogród rozrywkowy, zwany Helenowem (dzisiaj park
im. 19 Stycznia). W ogrodzie tym codziennie koncertowała orke-
stra wojskowa pod batutą Edwarda Dietricha. Muzykę wojsko-
wą prezentowali repertuar lekkich marszy, walców, melodii operet-
kowych. Odbywały się tu również rozmaite atrakcyjne imprezy:
coraz kwiatowe, popisy strażackie itp. W 1898 roku nastąpił tu
wzrost balonem żeglarska powietrzna P. Kolombo i skok ze
spadochronem z wysokości 3000 stóp. Inwestycja Anstadta okaza-
ła się w pełni opłacalna. W ciągu tylko jednej letniej niedzie-
li potrafiło wypić w Helenowie 150 hektolitrow piwa. Oczywiście
— z browaru Anstadta.

Znacznie skromniej prezentował się ogród Braci Gehlig po-
łożony przy ulicy Letniej na Kosznicach. W przeciwieństwie do He-
lenowa, odwiedzanego głównie przez samodzielną mieszczanów,
ogród, a raczej las Gehligów służył za miejsce spacerów i wy-
poczynku ludzi ze sfer uboższych. Rzecz oczywista, że był
tego ogrodu mieli możliwość raczenia się piwem wyłącznie produk-
cją Gehligów.

Podobnie wyglądała sprawa w położonej niedaleko lasu miej-
skiego Leśniczówce. Właściciel lokalu O. Miłach aspirował go
w piwo z własnego browaru. Koncertowała tu orkiestra ar-
tywistów. Niekiedy też występowali na estradzie magicy i akro-
baci cyrkowi.

Podobnego typu atrakcje zapewniał swoim gościom dzierżawca
ogrodu Żeromskiego Majstrów Tkackich przylegającego do ulicy
Przełaz (obecnie Juliana Tuwima). Dla odmiany grała tu orke-
stra 37 pułku infanterii pod batutą kapelmistrza Franciszka
Adamczyka.

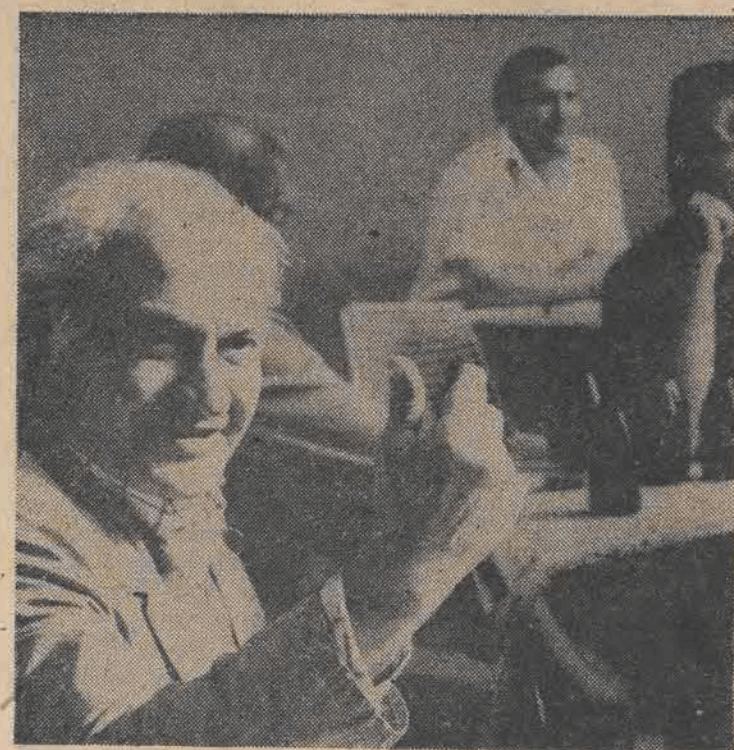
Najbardziej dostępnym dla ludzi niezasobnych w gotówkę był
ogród „Elisium”, położony na Księżym Młynie u zbiegu ulicy
Przedmianowej i Emilii (obecnie 8 Marca). Wstęp wynosił tylko
5 koniek. Właściciel tego ogrodu i restauracji G. Jensch wi-
docznie brał pod uwagę położenie swego ogrodu w ubogiej
dzielni robotniczej. Również tutaj występowała orkiestra wojs-
kowa.

Ogromną sensację wywołały w Łodzi popisy akrobatyczne „li-
nochoda” Blondina występującego latem 1886 roku w ogródku
restauracyjnym Drehera przy ulicy Piotrkowskiej. Spośród
dziewiętnastowiecznej rzeszy gimnastyków cyrkowych, ten wła-
śnie francuski „linochód” zdobył największą sławę. Popisy Blon-
dina zgrupowały na miejscach płatnych około dwustu osób, ale
gawronów było chyba kilkanaście tysięcy. Na sąsiednich uli-
cach, mianowicie na Spacerowej (al. Tadeusza Kościuszki) i
Zielonej, na wszystkich balkonach, parkanach a nawet na da-
chach domów były tłumy widzów przyglądających się akroba-
cie spacerującemu po linie rozciągniętej na wysokości trzecio-
go piętra.

Nieco inny charakter posiadały miniaturowe ogródki, istniejące
przy Grand Hotelu i przy hotelu A. Mantuffa. Odwiedzała
je elita miejscowego społeczeństwa i goście hotelowi. Urządzane
tutaj imprezy wyróżniały się wysokim na ogół poziomem arty-
stycznym, dostosowanym do wymagań ludzi o znaczących aspi-
racjach kulturalnych. Z uwagi na małe rozmiary estrad w o-
gródkach hotelowych występowały tu niewielkie ale doskonale
zorganizowane zespoły muzyczne, kraiowe i zagraniczne, często z udziałem
solistów: skrzypce, harfistek, pianistów, piosenkarek.

Znacznym uatraknianiem bywał „piwnych” ogródków, a
zwłaszcza ich części zainteresowane występami na estradzie,
były halasy dochodzące z ulicy: turkot wozów rzeźni koni,
szczękanie. Na to nie było już jednak żadnego wpływu.

WACŁAW PAWLAK



A tak pije się piwo obecnie.

Foto: Grzegorz Gałusiński

NR 38 (1486), XXIX, 20 WRZEŚNIA 1986 R.

1 Nagłe zastępstwo

Bliskie spotkania

Jeśli wśród czytelników „Na-
głego zastępstwa” jest ktoś,
kto czyta te felietony stale (a
autorska próba każę mi
wierzyć, że jest choć jeden) to
zauważył zapewne, że cykli-
cznie pojawiają się tematy z
dziedziny porównawczo języko-
wej. Podobnie z tematyką tzw.
propagandy wizualnej i rekla-
mowej. Tak się zdarza, że mam
dwa smaczne kawałki z oby-
dwu branz jednocześnie, choć
felieton będzie zgola o czym
innym. Jak w wiosennej Alii
Fugaczowej: „zresztą piosenka
nie o nim, a miłości”.

Pierwszy kawałek to dener-
wujące mnie od dawna rekla-
mowe napisy na szybach wy-
stawowych: „FIRANY”. Przy-
sięgam na wszystkie świętości
i na wszystkie słowniki języka
polskiego że słowa takiego nie
ma w naszym języku! Są tyl-
ko „firanki” i wbrew pozorom
nie jest to zdrobnienie. Rzecz
się ma zupełnie inaczej niż z
„nożyczkami” i „nożyczkami”,
żadna analogia tu nie wystę-
puje.

Nie wiem jakie są w tej
dziedziny kompetencje odpo-
wiednich wydziałów Urzędu
Miasta ale jeśli są jakieś mo-
żliwości to namawiam władze
administracyjne do ukarania
mandatami wszystkich właście-
li, alientów itp., którzy na
swoich wystawach wypisali te
nieszczęsne „FIRANY”. Niezły
grosz wpadnie do miejskiej kie-
sy, jako że zjawisko jest po-
wszechnie.

Podobno zanieczyszczanie
miasta jest karalne. A to prze-
cież także zanieczyszczanie, bo-
daj jeszcze gorsze. Zanieczyszc-
li ulicę Armii Czerwonej w
Łodzi jacyś organizatorzy dzi-
wnej imprezy. Oto w pobliżu
Zakładów im. i Maję widziałem
spórą tablicę o treści nastę-
pującej: „Witamy uczestni-
ków spotkania lekarzy z pa-
cjentami”. Też powinni zapłacić
mandat!

Jednak nie akurat ci „pacje-
ci” dali mi asumpt do niniejszej
pisaniny, tylko sama idea spot-
kania pacjentów z lekarzami.
W pierwszej chwili zdumiałem
się — przecież pacjenci spoty-
kają się z lekarzami w ich (le-
karzy) gabinetach, przecież są
to spotkania o wysokim sto-
jnie intymności i zaufania, ja-
kie jeszcze spotkania są oby-
dwu stronom potrzebne?

Jednak po namyśle dosze-
diem do wniosku, że takie spot-
kanie ma sens. Przypomnijmy
sobie, drogi czytelniku, swój
ostatni pobyt w uśpieniźnie
placówce służby zdrowia:

— Rozebrać się! Oddychać!
Nie oddychać! Ubrać się! Re-
cepta! Po zwolnieniu do sio-
stry! Następny!

To ma być dialog między-
ludzkim? To ma być kontakt
psychiczny? A spotkanie, któ-
re odbyło się na Widzewie za-
łatwio (jak sądzi) wszystkie
te sprawy hurtowo i — jak się
to pięknie mówi — komplekso-
wo. Wyobraźmy sobie te dia-
logi:

— Pan doktor pamięta? Zia-
maną nogę mi pan składał w
lutym.

— Tak, tak, przypominam
sobie! Nawet zapomniałem wó-
wczas powiedzieć pani że nogi
ma pani świetne... Ładnie się
zrosło jak widzę... Co pani ro-
bi wieczorem?

Takie i inne bliskie spotka-
nia są zarówno lekarzom jak i
„pacjentom” bardzo potrzebne.
Rozładują stresy, zbliżają czło-
wieka do człowieka. Zaryzyku-
ję nawet twierdzenie, że słu-
żą sprawie porozumienia na-
rodowego.

Skoró już o porozumieniu
narodowym mowa, to sądzi, że
jakieś ciąża społeczne, pod e-
gidą PRON rzecz jasna, mogą
zorganizować szereg innych, rów-
nie pozytywnych spotkań w imię
konsolidacji społeczeństwa i
wzajemnego zbliżenia róż-
nych grup społecznych.

Żeby nie sięgać daleko: spot-
kanie sprzedawców z klientami!
Już widzę oczyma wyobraźni
te przyjaźnie, zawierane ku
obopólnej radości i korzyści.
Te wzajemne wyjaśnienia „da-
wanych konfliktów”:

— To chyba pan nazwał mnie

miesiąc temu chamką i koc-
moluchem?

— Owszem, droga pani, ale
pani była łaskawa nie tylko
niedowazyć mi sara edamskie-
go, ale jeszcze nie wydać pe-
nej reszty!

— Puśćmy, to w niepamięć,
pogodźmy się jak Polak z Pol-
ką. Niech pan wpadnie kocha-
ny, w środę. Będę miała dosta-
we herbaty „Earl Grey”.

I proszę bardzo! Zamiast
dwojga zacierzwilonych, naje-
zonych wrogo ludzi mamy w
wyniku spotkania, parę przy-
jaciół, dwoje rodaków, goto-
wych sobie iść ofiarne z po-
mocą w najtrudniejszych chwi-
lach kolejkowo-handlowego ży-
cia.

Był przed laty cykliczny pro-
gram telewizyjny Gruzji i Fe-
dorowicza pt. „Poznajmy się”.
Szlągowcem programu był
refren: „Poznajmy się, polubi-
my się, nie dajmy się...” itd.
To jest hasło na dziś!

Proponuję zatem serię spot-
kań, bliskich, bardzo bliskich
spotkań pieszych z kierowca-
mi, milicjantów z przestępca-
mi, kontrolerów MPK z gawo-
wiczami, lokatorów z dozorca-
mi, emerytów z pracownikami
ZUS itd.

Kończąc, mam bowiem „spotka-
nie z czytelnikiem”!

ANDRZEJ
KAROL

2

Złodziejstwo

Od najdawniejszych czasów
złodziejski proceder spotykał
się z powszechnym potępieniem
społeczności a i w kodeksach
praw nakładano zań kary su-
rowe i bez zawieszenia. Krad-
zież dzielimy ze względu na
podmiot i przedmiot. Jak cho-
dzi o podmiot — podział ist-
nieje na indywidualną kradzież
oraz wielkie operacje zwane
też biznesem, bądź racją stanu.
Można też zauważyć, że
właściwie pojęcie „kradzieży”
pojawia się jedynie w odniesie-
niu do praktyk pojedynczych,
ewentualnie niedużych grup
przestępczych. Wyżej — po-
jęcie owo zanika, a zaczynamy
mówić o gospodarce, polityce
lub zagospodarowywaniu bo-
gactw naturalnych.

Gdy zaś chodzi o przedmiot
kradzieży, to historia ludzko-
ści nie zna takiego, który by nie
był choć raz ukradziony lub
też nie istniał wobec niego ta-
ki zamlar. Kradziono więc pie-
niądze i przedmioty o dużej
wartości handlowej czy arty-
stycznej. Kradziono sobie naw-
zajem kraje i ludzi, licencje i
pomysły, symbole i tematy do
powieści. Kradziono także do-
bre imię, sławę i zasługi.

Jednym słowem wszystko, za-
wsze i wszędzie kradziono, co
nieodmiennie spotykało się z
odwetem, rewanżem, należyta
karą lub zupełnie pokątną
zemstą — zależnie od posiada-
nych środków egzekucyjnych.
Jeden tylko towar, jeśli można
go tak nazwać — kradziony
był, jest i będzie najposzczę-
śniej, a mimo to sprawy za-
zwyczaj uchodzą cało. Nikt im
nie obcina prawej ręki, nie skła-
zuje na więzie, dyby, pięgi czy
choćby podanie nazwiska do
publicznej wiadomości z
odpowiednio potępiającym ko-
mentarzem. Tym towarem, do-
brem, wartością kradzioną bez-
karnie jest CZAS. Co prawda
Anglicy naród praktyczny, wy-
myśliłi dewizę, iż CZAS TO
PIENIĄDZ i nawet skutecznie
ją wprowadzili w życie, je-
dnak nie znaleźli w świecie
nazbyt wielu naśladowców.
Szczególnie niewiele znalazło-
by się ich na wschód od Odry
i Nysy Łużyckiej. Co, być mo-
że, spowodowane jest dużym
przywiązaniem do tradycji, sz-
cunkiem dla pamięci przod-
ków, a wreszcie słusznym sce-
ptycznym stosunkiem do zgni-
ły zachodniej.

Istnieje stare jak świat dom-
niowanie, iż prawdziwie władzę
sprawuje ten, kto w majestacie
urzędu, w bogatej ornamenty-
ce prawnych przepisów i okół-
ników może kraść cudzy czas.
Starożytni władcy feudalnego
Wschodu zawsze pamiętali o
zasadzie, że tylko poddany,

który musi czekać bardzo dłu-
go na decyzję władcy, mięknie,
kruszeje i pokornie w długiej
niepewności, nabiera właściwe-
go szacunku dla władzy, szpar-
ko podporządkowuje się jej
wymaganiom. Potężny jest ten,
kto może kazać ci czekać, a
w dodatku ma jeszcze na pod-
orędziu bat na wypadek, gdy-
by ci było nadmiernie żal swe-
go czasu.

Tą też zasadą kieruje się ca-
ła armia ludzi w naszym kraju,
a jedyną racją ich bytu jest
udowodnienie reszcie swej
niezbędności, ważności i wła-
dzy. Nie ma też najmniejszego
znaczenia czy każe ci czekać
przed ladą pani sklepowa, bo
akurat musi poplotkować, czy
też pan taksówkarz, który za-
wsze i wszędzie każe ci na sie-
bie czekać, jakby zapomniał, że
jest do obsługiwania ciebie,
czy też będzie to wysoki urzę-
dnik o swą powagę i nieskon-
ny do traktowania petenta jak
równego sobie.

Nie ma najmniejszego sensu
dowodzenie wielkości ponoszo-
nych z tego tytułu strat, cał-
kiem wymiernych w pieniądzu,
nie ma — bo jeszcze się taki
nie urodził, żeby mu się udało
pokarać złodziei czasu. Więc
kradną wszyscy wszystkim,
zwłaszcza ci, którzy powołani
są do oszczędzania społecznego
czasu.

Okrada nas z minut, godzin,
dni i lat naszego życia wielu.
Mija nam życie w kolejkach,
w poprawianiu czyjegós brako-
robstwa, starzejemy się czeka-
jąc zmiłowania miłościwie nam
panującego biurokracji, anty-
szamujemy w przedpokojach
przeróżnych biuralistów, ma-
łych i zupełnie nieważnych, ale
teraz akurat posiadających moc
decyzji w sprawach dla nas i-
stotnych. Wszyszczy już do
tego przywykli, wliczamy to
złodziejstwo w koszt własne i
cudze. Właściwie też nikt po-
ważnie nie rozważa ewentual-
ności, jaką mogłoby stać się
wpisanie w odnośne kodeksy
paragrafu grożącego długoletnim
wzieszeniem czy rujnującą grzy-
wną za kradzież czasu.

Najmieszaniejsze przy tym
jest to, że tak dotkliwego ra-
bunku nikt nie nazywa kra-
dzieją, a sprawy — złodziejem.
Nie jest wykluczone, iż dzieje
się tak dlatego, że — jak głosi
stare ludowe przysłowie — NA
ZŁODZIEJU CZAPKA. Z LI-
SA. A wobec tego wszyscy
chcemy mieć taką czapkę, a
jeszcze chętniej ukradlibyśmy
ją naszemu bliźniemu.

Nie proponuję bynajmniej
szanownym czytelnikom, wszę-
dzie świętej wojny przeciw zło-
dziejom czasu, a to z tej racji,
że wystąpiłoby niejako trudno-
ści z ustaleniem kto jest ban-
dytą a kto dzielnym szeryfem.

MALAGA

3 Spojrzenie z nad szachownicy

Technika i taktyka

Ponownie zamierzam dziś
trud o szachach, jednak już bez
przymilnych wstępów i podli-
zywania się najukochańszemu
PT Czytelnikom. Kto nie chce
czytać, niech nie czyta, jego
strata, dodam jedynie, że w
takim na przykład Związku
Radzieckim można spokojnie
rozmawiać o szachach z kim
się chce i gdzie się chce, za-
wsze znajdując chętnych dys-
kutantów, a i celnicy objuczo-
nych podręcznikami szachistów
traktują wyraźnie łaskawiej
niżli handlowe pospólstwo.
Warto jednak wiedzieć, że owe
książki wozł się ze Związku
Radzieckiego, nie do Związku
Radzieckiego — tam są bo-
wiem tańsze i dostępnejsze.

Nasz instruktaż nie dotyczy
wszelako przewozu książek, a
tego raczej, co się w nich znaj-
duje. Kasparow z Karpowem
zmagają się na przykład o ty-
tuł mistrza świata, o pierwszy
z nich mówi się, że jest przede
wszystkim taktykiem, o dru-
gim, że technikę realizacji
przeważił opanował aż do per-
fekcji. No dobrze, ale co to
znaczy?

Wspomniałem uprzednio, że
wstępna, debiutowa faza gry,
jest przeanalizowana aż do o-
brzydliwości. Niektóre kontynu-
acje — chociażby wariant o-
twartarty partii hiszpańskiej — są
rozpracowane mniej więcej do
trzydziestego posunięcia, a na
przezierny tej ilości ruchów
paru fuzerów można prze-
cież spokojnie obdzielić mata-
mi. Oczywiście obie walczące
strony znają świetnie te wa-
rianty, zawsze jednak można
w domu, w trakcie tak zwane-
go przygotowania debiutowego,
wykombinować coś nowego.
Niekoniecznie lepszego, lecz
odmiennego, sprawniejszego
grę na inne, mniej wyślizga-
ne tory.

W tym momencie pamięć
przestaje już podsuwać gotowe
rozwiązania, potrzebna staje się
natomiast ogólna wiedza o roz-
grywaniu pozycji określonego
typu, no i intuicja, która z
ogromu możliwości pozwoli
wyłowić tę najbardziej obiec-
ującą. Zgodną z naszym tempe-
ramentem, a mniej odpowiada-
jącą partnerowi, stale trzeba
mieć na uwadze, że w szachy
grają nie martwe figury, a
żywi ludzie, to przesycać na-
dzieją, to znów pełni wątpli-
wości.

Karpow jest starszy, przez
dziesięć lat królował na sza-
chowym tronie, od niego więc
zaczynamy. Umie wszystko,
szczególnie imponuje jednak
jego nieskazitelna technika, po-
zwalająca mu zwyciężyć pozor-
nie bez wysiłku.

W minimalnie lepszej, choć
w zasadzie remisowej pozycji,
Karpow po prostu potrafi za-
męczyć przeciwnika, robiąc
stale idealnie logiczne ruchy i
czekając na najdrobniejszą nie-
dokładność partnera. Ten zrobi
jedną, niemal niedostrzegalną,
a pięta odrobina się zacięka.
Jeszcze jest remis, ale już o
ten remis trudniej. Kolejna
małenka niedokładność — o
remis jest bardzo trudno. Na-
stępna niedokładność — ko-
niec.

Pozycje strategiczne jasne,
wolne od taktycznych powi-
kłań, Karpow rozgrywa niby
maszyną i to maszyną przy-
szłości, ponieważ podobnie
sprawnych komputerów jeszcze
nie wymyślono i z tą maszy-
ną dwa lata temu miał swój
pierwszy mecz stoczył całkiem
jeszcze młody człowiek, Garri
Kasparow.

Co zrobił?

Kasparow był i pozostał tak-
tykiem, zawodnikiem lubią-
cym pozycje cokolwiek „zwariowa-
ne”, w których nie wszystko
da się wyliczyć, a trzeba zdać
się na domniemanie, wyczucie,
intuicję właśnie.

Nie zataczając tej umię-
tności Kasparow już w trakcie
spotkań eliminacyjnych za-
czął jednak niespodziewanie
grać w stylu Karpowa, a na-
wet wybierać niekiedy ulubio-
ne systemy debiutowe swojego
przyszłego przeciwnika. W re-
zultacie przez rozgrywki pre-
tendentów przedarł się z tru-
dem, ale okrzepł, uwiarył, że
może stawić czoło mistrzowi
świata na jego ulubionym
gruncie.

Pierwszy mecz — ten prze-
wany po 48 partiach — sze-
dzi mu początkowo bardzo źle,
drugi zdecydowanie wygrał, w
trzecim prowadził i chyba ko-
rony szachowej nie odda. Gdy
trzeba walczyć technicznie,
chłodno i wytrwale, a choć
jest w tym odrobina słabszy,
rzadko mimo wszystko ponosi
straty. Jednocześnie Kasparow
wciąż próbuje „macić wodę”,
oddawać jednego czy drugiego
pionka na inicjatywę, ustawie-
nie zaskakiwać przeciwnika.
Wiele obserwatorów uważa, że
taki sposób prowadzenia walki
cokolwiek rozstroił Karpowa,
który gorzej znosi napięcie
psychiczne i niektóre partie
rozgrywa słabiej niż podczas
mniej ważnych ambicjonalnie
startów.

8.

I tak powróciliśmy do naj-
bardziej tajemniczej strony
szachów, w której poszczegól-
ne partie to bitwy, a mecz
— to cała wojna psychologi-
czna. Bywa że pozycja trzyma
się jeszcze mocno, ale jeden z
partnerów stracił wole oporu,
jego psychika została złama-
na i choć wynik nie został u-
stalony, to wyrok już zapadł.
Tego momentu nie są jednak
w stanie wychwycić nawet
arcymistrzowie przyglądający
się rozgrywce, co dopiero tacy
jak my dalecy, rzekłbym, ko-
respondencyjni kibice.

JERZY P.

ODGŁOSY 15

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(17)



11 kilometrów od punktu „0”. Tracąc przytomność już w pierwszych sekundach po wybuchu Michael Tomashek pozabawiał się nie tylko okazji obejrzenia topniejącej karoserii swojego popielatosrebrzystego Pontiac, zaprzepaścił on także okazję wysłuchania wokalizy polifonicznej (z elementami oratorium) wykonanej przez największy na świecie chór. Chór ten składał się z małych dziewczynek i małych chłopców, z dużych dziewczyn i dużych chłopców, z dojrzałych kobiet i dojrzałych mężczyzn oraz ze starych kobiet i starych mężczyzn i liczył kilkadziesiąt tysięcy członków. Ich wokalizę znano w całym świecie. Wokalizę tę nazywano autentyczną spontanicznością, prostotą i dużą ekspresją, co było godne podziwu, jeśli uważać, że wszyscy oni znaleźli się w tym chorze przypadkowo, bez względu na stopień utalentowania. Nieświadomemu naboru tych osób dokonał materiał pedny rakiety nośnej, a czynnikiem, który zachęcił je do śpiewu, była pośrednio głowica termojądrowa.

Wokaliza polifoniczna odśpiewana przez kilkuset tysięcy ten chór, skomponowana ex tempore, trwała niebawem krótko i mogłaby nosić tytuł: „Pożoga zbliża nas do Pana”. Byłaby słyszana na wielkim obszarze, gdyby nie zagłuszył jej potężniejszy, jednostajny huk ognia.

Nieprzytomny Michael Tomashek nie usłyszał więc tej wokalizy, chociaż znajdował się pośrodku choru. Nie usłyszał także eksplozji bąka z palnikiem, która rozzerwała prawy błotnik jego Pontiac, zanim zdążył się on stopić. Nie usłyszał już nic więcej. W następnych sekundach, nie odzyskawszy przytomności, stracił życie. Został zwieszony, wyżarzony i spopielonny. Jego głowa o kształcie posągowej klasycyzmu odpadła od tułowia, uderzyła o kant metalowej ramy sąsiedniego siedzenia i rozsypana się na kawałki, roniąc zgby, które grzechotały radośnie o podwozie i przez wypalone w nim dziury pacnęły na gorejący, półpłynny asfalt. Za parę kolejnych sekund rozsypane się reszta jego ciała.

Polifoniczna wokaliza słabła w miarę jak topniały szeregi członków choru. Wpiero przestały śpiewać osoby znajdujące się na ulicach, potem zamilkły te w budynkach, wkrótce uciłną głosy tych osób, które ukryły się w schronach. Większość chórzystów bardzo szybko wyspiewała z siebie ostatnie technicznie i w konsekwencji straciła jedyną możliwość obejrzenia wspaniałego zjawiska, jakim jest burza ogniorowa.

Zanim to jednak nastąpiło, zanim Michael Tomashek obrócił się w żużel, w tej samej chwili, ale trochę dalej od punktu „0”, Rebby Courquin trzymając torebkę pod pachą, spojrzała na niego z wyrazem zamyślenia i potępienia. Zanim to jednak nastąpiło, zanim Michael Tomashek obrócił się w żużel, w tej samej chwili, ale trochę dalej od punktu „0”, Rebby Courquin trzymając torebkę pod pachą, spojrzała na niego z wyrazem zamyślenia i potępienia.

— Bomba! Bomba! Bomba! Część gości wstała z miejsc i popatrzyła na siebie z wahaniem, ruszyła powoli do wyjścia. Byli to najwięksi sceptycy, którzy chcieli zobaczyć tę bombę na własne oczy. Jakby z zamiarem ich powstrzymania, prosto z ulicy uderzył się do schronu żywy, zionący płomieniami i dynem tobół, a w ślad za nim, przez drzwi szeroko otwarte na obu końcach korytarza, napłynęło do wnętrza rozognione powietrze. Z pozostałych pomieszczeń również wyległy grupki ciekawskich, ale przypiekane, cofające się czoła tłumy odrzucały

ich do tyłu. Powstał ścis i tumult.

Rebby przymknęła powieki. Nadal trzymając torebkę pod pachą, wolną ręką uchwyciła się brzoju kontuaru. Bomba? No, doprawdy, niektórzy ludzie mają okropne poczucie humoru... Te krzyki na korytarzu jednak jeszcze bardziej się wzmożyły, zmieszane i połączone w polifoniczną wokalizę — i Rebby nagle dostała zawrótów głowy i mdłości.

Niebawem ona także, wspólnie z resztą osób przebywających w tym schronie, zasiliła szeregi choru, mocno już nadwątlone.



15 kilometrów od punktu „0”. „Później Grant (czy ktośkolwiek inny — uwaga moja) nie mógł uwierzyć, że to wszystko rozegrało się w jednej chwili!” — oto retoryczna figura chętnie używana przez rozmaitych poczytnych autorów, na ogół niezbyt ściśle, manierowane i pochopnie. Ale jeśli przyjąć, że pojęcie chwili obejmuje także okres pięciu bądź dziesięciu sekund, to rzeczywiście w momencie zdarzenia, które rozegrało się w hali na poziomie trzecim pod hangarem F, można zastosować taką retoryczną figurę. Nawet dla Williama Frankleya, tego człowieka z chronometrem w mózgu, zdarzenia te potoczyły się w tempie zawrotnym. Niemniej zdawał on sobie sprawę, że głównych bezpieczników dopadł w siódmej lub ósmej sekundzie po awarii pulpitu rozrządu, a przed upływem sekundy dziesiątej plóropuszy iskier rozplasnęły nad tym pulpitem skarlali i przysgasy kopce fosforowujące. Przez jedenastą i dwunastą sekundę Frankley opierał rękę na dźwigni wyłącznika, potem ruszył w głąb hali, żeby zobaczyć, co z Garym i przetrwał litanie przekleństw motowłoch przez niego w komorze, gdzie stały butle ze sprężonym powietrzem.

I wtedy poczuł, że betonowa posadzka ugięła się pod nim, zadzierając jeden swój bok — zwyczajem łodzi kołysanej gwałtowną falą.

W siedemnastej sekundzie dotrzed tutaj drugi, silniejszy wstrząs i Frankley pomyślał, że to Bog Wszechmogący uderzył pięścią w kontynent Ameryki Północnej.



I znowu 50 kilometrów od punktu „0”. A może dalej? Owszem, zdecydowanie dalej i wysoko, wysoko nad ziemią.

Zdecydowanie dalej od punktu „0” i wysoko, wysoko nad ziemią, bo na pokładzie pasażerskiego samolotu, który odbywał regularny lot ze wschodu na zachód, znajdowała się jedenastoletnia dziewczynka o imieniu Kate. Była dzieckiem wybitnie wrażliwym, wczesnie marzącym, obdarzonym wyobraźnią jak wir Maelströmu, rozczepianym namiętnie w utworach z gatunku fikcji naukowej. Teraz także czytała powieść z tego gatunku; wulniwszy się plecami w oparcie fotela, a ramieniem w miastostwo ramie swojej matki siedzącej obok, chłonięła stronę po stronie, zatracona, w tym czytaniu tak, że w jej umyśle zacierały się granice między światem przedstawionym w książce a otaczającym ją światem realnym. Kate oba te światy traktowała jednakowo poważnie i w obu czuła się jednakowo dobrze. Nie oznacza to wcale, że powieść ta była dziełem o wyszukanych wartościach artystycznych, ale w ujmującym odróżnieniu od innych powieści z tego gatunku, nie szerzyła ona truogii wśród krytyków, a jej autorowi — co jest udziałem naprawdę nielicznych — przy-

konstruowaniu fabuły udało się wznieść nieznacznie ponad infantylny kretynizm. Wymyślił on sobie grupę naukowców, którzy po trwających lata, pracochłonnych, uciążliwych badaniach odkryli drogę do siedziby Szatana. „Szturm do piekieł” — taki tytuł nosiła ta powieść i opowiadała o przygotowaniach do tego szturm i o jego przebiegu.

Kate akurat doczytała do miejsca, w którym dzieł naukowcy — zwani w książce „Rycerzami Pana” (dla nadania im egzotyki oraz heroizmu) — za pomocą ładunków jądrowych wysadzili w powietrze zabarykadowane i opatrzone siedmioma diabelskimi ryglami wrota piekielne, kiedy silny błysk i uderzenie potoki rozżarzonego światła oderwały ją od fotela i kazały jej spojrzeć za okno. Gorejąca kula pędziła tam daleko, przemieszczając blaskiem słońce, z rozrzuconym marnotrawstwem oddając otoczeniu swoje ciepło i prując ku górze. Jej rosnąca powierzchnia nie miała się ruchomymi plamami ognia, jakby ta kula była jedną z baniek puszczonych przez czarującego synka, który nadmuchiwał ją przez płazmoodporną słomkę i swoim oddechem dostarczał do jej wnętrza nowych porcji energii. Pod nią i wokół niej ziała czelusta wypełniona płomieniami, płynnym żarem i lawą podmywającą kruche, topniejące brzozy, i czelusta ta (o kragla jak wejście do piekieł to książkę czytanej przez Kate) rozszerzała się kółkami, podążając za ekspansyjną ścianą ognia, aż miało się wrażenie, że nie jej nie powstrzyma, dopóki nie pochłonie całej Ziemi.

Kate patrzyła na to z zaskaki, którą uniosła, by polonizować. Była przejęta tym widokiem i fabułą powieści. Szepnęła do siebie:

— O mój Boże, zdaje się, że Rycerz Pana nie panuje nad sytuacją.

Nie wiedziała, że parafrazuje historyczne już zdanie wypowiedziane ongiś przez amerykańskiego oficera na pustyni Jornada del Muerto, w pobliżu ruin historycznej miejscowości Alamogordo.

Pilot samolotu zmienił kurs — bez porozumienia z wieżą, która nagle zamilkła. Wyłączył on szczęśliwie, w dużej od-

ległości od punktu „0”, ale Kate i tak nic to nie pomogło. Reszcie pasażerów również. Jeśli nie zostaną oni wcześniej zabici, umrą na chorobę popromienną w ciągu trzech tygodni. Tylko nawigator zdoła przeżyć miesiąc.

PO PIERWSZE... PO DRUGIE... PO TRZECIE...

Przecucie, że uciekinierem z Florydy przyjdzie opamiętanie dosyć szybko, nie zawiodło Briana B. Bliss. Po raz pierwszy od czasu, kiedy władze lokalne ogłosiły komunikat o zamknięciu terenów położonych wzdłuż wschodniej granicy Parku Narodowego Everglades, ceny nieruchomości sąsiadujących z „Trójkątem Florydy” przestały spadać i przejawiały tendencję wzrostową. Sprawiła to zataczająca coraz szersze kręgi i coraz uporczywiej powtarzana pogłoska, która z jednej strony dementowała wiadomość o lądowaniu na południu Florydy krwiożerczych kosmitów, z drugiej niosła wiadomość nową i krępującą, że głoszą tę aferę wywołali zwykli, prozaiczni wyciek skazonego paliwa z rakiety nośnej transportowanej podczas manewrów wojskowych. Jakiś tam jeden marny wyciek? — dziwili się przedsiębiorcy, hotelarze, restauratorzy, właściciele warsztatów, sklepów, posesji, a z nimi ludzie, bez których ci przedsiębiorcy, hotelarze, restauratorzy, właściciele warsztatów, sklepów, posesji po prostu nie mogą się obejść, oraz cwaniacy, którzy nie mogą się obejść bez przedsiębiorców, hotelarzy, restauratorów, właścicieli warsztatów, sklepów, posesji. I — o to ten cały szum? — dziwili się wszyscy. Mnóstwo kufrow i waliz zostało rozpakowanych, zniknęło mnóstwo tabliczek z napisem „Na sprzedaż”, mnóstwo żaluzji z powrotem powędrowało do góry, rozbiły się na nowo mnóstwo neonów.

Przecucie nie zawiodło więc Briana, była to dla niego wszakże słaba pociecha. Do licha, nie była to żadna pociecha. Była to komplikacja.

Była to komplikacja, która wywiązała się dopiero, kiedy

przyjechał do Coral Gables, gdzie w hotelu „Muszla Pacyfiku” czekał na niego pokój wynajęty przez Paula Sacco w roli gangstera. Bo z początku sprawy układały się pomyślnie. Wyjątkowo pomyślnie.

Po pierwsze — ten owy zakład południowej Florydy, jego malejąca wartość. Kilkadziesiąt lat temu tutejsze biura handlu nieruchomościami zarabiały krocie, wprawiając srobnom parweniuszom kupno luksusowych działek budowlanych i domów, a potem sprzedając je wszystkim, co nadawało się jeszcze do sprzedania: bagna, namorzynowe lązy, siedliska aligatorów i wylęgarnie komarów. Teraz ktoś tam na górze najwyraźniej postanowił zmienić zarządców tego spiachetka raju i dać szansę innym biznesmenom, obrotowym i zdolnym, ale pozostającym dotąd w cieniu wielkich interesów, biznesmenom takim jak Brian. Ogarnięci paniką ludzie pozbywali się swoich praw własności za bezcen i wystarczyło szeroko rozprześć ramiona, żeby zagarnąć więcej niżby zdołało się udźwignąć, po czym przeczekać krytyczny okres, rozparcelować skupione tereny i odstąpić je z kolosalnym zyskiem nowym parweniuszom i jeleniom albo tym samym parweniuszom i jeleniom zwrócić te same działki i domy za pięciokrotnie wyższą cenę.

Po drugie — kredyty, olbrzymie kredyty niezbędne, jeśli człowiek zajmuje się handlem nieruchomościami, parcelacją i zabudowywaniem działek. Firma ThreeB's nie była firmą biedną, ale operacja na Florydzie wymagała funduszy przekraczających jej możliwości finansowe. Wymagała kredytów dużych i udzielonych bez zwłoki, prawie z dnia na dzień, co praktykowane jest raczej rzadko. Jednakże dzięki poparciu Franklina Vossa i dzięki małej damie w wielkim gabinecie małej ekspozytury wielkiego banku Brian uzyskał te kredyty, zanim minął tydzień.

Po trzecie — odpowiedni ludzie przedstawieni do przeprowadzenia poszczególnych transakcji handlowych. Ludzie starannie wyselekcjonowani, dobrani i przygotowani do tego zadania, bo czasy kiepsko kojarzących, łatwowiernych dwóch bezpowrotnie minęły i dzisiaj nikt się nie nabierze na gadkę faceta przebranego za farmera, który krąży po okolicy, zdradzając chęć kupienia kawałka ziemi uprawnej. Taki facet to niezawodny znak. że ktoś jest zainteresowany komasacją gruntów, a wtedy najgorzej lachmyta, właściciel szajasy, żądać będzie za swoją działkę worka pieniędzy, i ceny nieruchomości podskoczą jak dziki królik polaskotany strumem w podbrzusze. Nie, operacja na Florydzie, oprócz dużych funduszy wymagała zastosowania udoskonalonych metod, nowych chwytów, bardziej stanowczych form nacisku: wymagała współdziałania całego zespołu ludzi, z których część umiałaby przekonującą odegrać rolę potencjalnych nabywców (niezbyt wymagających, ale też niezbyt mających), a część — wytworzyć atmosferę napięcia, strachu i wrogości, sprawić złudzenie, że gdzieś w okolicy osiedlili się kolorowi i że wkrótce ich przykładem osiedlą się tutaj różne grupy etniczne, co doprowadzi ten rejon do upadku. I Hy Ethonov z Nowego Jorku zmontował dla Briana taki zespół.

Sprawy więc z początku układały się pomyślnie i firma ThreeB's mogła z ufnością patrzeć w przyszłość. Rozległe tereny o nadzwyczajnych walorach turystycznych i wypoczynkowych czekały, żeby je objąć w posiadanie; olbrzymie kredyty czekały, żeby nimi dysponować; trzynastuosobowy zespół starannie wyselekcjonowanych, dobranych i przygotowanych aktorów z off off Broadway czekał, żeby skierować go na linię frontu. Kiedy jednak Brian B. Bliss przybył

do Coral Gables, wywiązały się komplikacje.

Po pierwsze — te oto właśnie rozległe tereny o nadzwyczajnych walorach turystycznych i wypoczynkowych, ponowny wzrost ich znaczenia i wartości (wymiernej także w dolarach), co zdawała się zwiastować malejąca ilość tabliczek z napisem „Na sprzedaż”, z ośląganiem, ale coraz powszechniejszym usuwaniem sprzed willi, ferm, pensjonatów, moteli, sklepów, składów, działek budowlanych, barów, kafeterii, restauracji.

— Mówię panu, że znowu nadchodzi okres prosperity — powiedział pan Russas, właściciel „Muszli Pacyfiku” uprzednio wyszczerczony, promieniejący zadowoleniem.

— Naprawdę? — spytał kwaśno Brian.

— W przeciwnym razie, co by pan tutaj robił, panie Bliss? Pan i wszyscy inni w moim hotelu? — Nie wiedział, czym zajmuje się Brian i jego ludzie. Traktował ich jak zwykłych turystów, którzy przyjeżdżali do Coral Gables, by trochę się zabawić i odpocząć, dowodząc tym, że południowa Floryda nadal jest rejonem atrakcyjnym i już rozważał w duchu, o ile podnieść ceny pokoi od przyszłego tygodnia.

Barżo nie na czasie, barżo nie na rękę był Brianowi ten ponowny wzrost znaczenia i wartości terenów przyległych do „Trójkąta Florydy”, wzrost spodziewany i ujęty w kalkulacjach, ale przedwczesny.

Po drugie — kredyty uzyskane dzięki poparciu senatora Franklina Vossa. W zamian za udział, nie był to jednak epilog tej sprawy. Dopiero tutaj wyszło na jaw, że chwyty ten drań jest tylko pośrednikiem wynajętym przez jeszcze bardziej chciwą i potężną instytucję.

Przez małą damę w wielkim gabinecie małej ekspozytury wielkiego banku Brian został przyjęty jedenaście dni temu. W Coral Gables dyrektor takiej samej małej ekspozytury tego samego wielkiego banku przyjął Briana wczoraj. Zarówno Brian jak i dyrektor mieli złożyć ostatnie podpisy na ostatecznych dokumentach. Oprócz ich dwu w gabinecie obecny był mężczyzna w mundurze wojskowym z dystynkcjami podpułkownika. Aparycja przypominała Davida Nivena, z tym że miał sadystyczny wyraz twarzy i ostry, nieprzyjemny głos.

— Pan pozwoli, panie Bliss — powiedział dyrektor — że przedstawię panu pułkownika E. C. Castro z Szefostwa Kontrowersji i Zabezpieczenia Tajemnic Wojskowej Sił Powietrznych. Hm... czyż nie przechręciłem w tej nazwie?

Pułkownik Castro dokładnie go zignorował.

— Jestem rad, że mogłem pana poznać — rzekł z fotelem, nie racząc nawet zdjąć nogi założonej na nogę i zamarkować ukłonu. — Przejdźmy może od razu do rzeczy.

— Tak oczywiście — dyrektor wskazał Brianowi drugi fotel, sam obszedł biurko i oparł się na papierach zamkniętych w kartonowej teczce. — Pańskie dokumenty, panie Bliss — podjął ważąc słowa — nie budzą specjalnych zastrzeżeń. Istnieje jednak pewien problem związany ze spodziewanym zyskiem. Szacunkowe obliczenia, których pan dokonał, są... no, nadmiernie optymistyczne.

— Co to znaczy?

— Okragła, pyzata i laniasta twarz dyrektora przyobiekła się w ugrzeczny uśmiech.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od redakcji. Tytuł autora „Stem zagrożenia”.



Rys. Janusz Szymański-Glanc